

Mary Stanton
ANIELSCY OBRONCY

Tłumaczył Maciej Płaza

Replika

Jeden

*Ludzi... wiesz się tylko w następstwie tej
niefortunnej okoliczności, że są winni.*

Robert Louis Stevenson i Lloyd Osbourne, Bagaż nie z tej ziemi tłum. Henryk Krzeczkowski

- Skazani na śmierć przez powieszenie... co do jednego - powiedziała z wielkim zadowoleniem Lavinia Mather. A jakże. Są deweloperzy, co daliby mi za to miejsce kupę forsy, gdyby tylko Towarzystwo Historyczne w Savannah pozwoliło mi odkopać nieboszczyków. Ale gdzie tam! To jedyny taki cmentarz w całej Georgii: prywatny, z samymi mordercami, a w dodatku cacany zabytek! - Miękkie białe włosy tworzyły delikatną aureolę wokół jej mahoniowej twarzy, a uśmiech, jakim obdarzyła Briannę, był anielsko słodki. - Pani jest prawniczką, panno Winston-Beaufort?

- Tak, proszę pani - odparła Brianna.
- Coś podobnego! - pani Mather z podziwem potrząsnęła głową. - Mam prawnuki starsze od pani.
Brianna, zgodnie z tradycjami Południa wychowana w szacunku dla starszych, odpowiedziała skromnie:
- To niemożliwe, proszę pani. Zrobiłam aplikację już pięć lat temu. Mam dwadzieścia dziewięć lat.
- Ano, skoro tak twierdzisz, skarbie. Tak czy owak, jeśli jesteś prawniczką, to może byś mi wyświadczyła przysługę i wytoczyła jakiś ładny procesik tym typkom z Towarzystwa Historycznego, żeby poszli z torbami? Jak mnie od nich uwolnisz - mrugnęła szelmowsko - to obniżę ci czynsz.

- Hmm... Broc mruknęła znacząco.

Ze wszystkich sił starała się zataić przed przebojową panią Mather przerażenie, jakie wywołał w niej oplakany stan posesji. Nie dało się ukryć, że cmentarz był jedną wielką zachwaszczoną ruiną. Nie spodziewalibyście się zobaczyć czegoś takiego w centrum Savannah, i to o rzut beretem od modnych okolic West Bay Street. Samotna magnolia straszyla uschniętymi gałęziami. Azalie były zaniedbane. Lebioda zasłaniała nagrobki. Jedynymi roślinami, które przypominały o tym, że znajdują się w najpiękniejszym mieście Georgii, były dęby wirginijskie. Srebrzyste pnącza opląwały porastały gałęzie i zwisały nad grobami.

Kiedy po raz pierwszy Bree przeczytała ogłoszenie, była pewna, że to pomyłka:

Pod wynajem. Doskonały lokal biurowy. 600 stóp kw.

Wspaniała nadrzeczna lokalizacja. 300 \$ mies. Tel. 555 12 25.

Mieszkała w Savannah zaledwie od tygodnia, ale nie trzeba było wiele czasu, by się zorientować, że cena wynajmu sześciuset stóp kwadratowych powierzchni biurowej w okolicy rzeki, i to w jakimkolwiek stanie, byłaby czterokrotnie wyższa niż kwota podana w ogłoszeniu. A przecież Bree musiała gdzieś pracować, dopóki nie skończy się remont biura stryja Franklina. Zadzwoiła zatem, umówiła się na poranne spotkanie i odkryła, że lokalizacja jest lepsza, niż można było oczekiwać; posesja przy Angelus Street 66 leżała między Mulberry Street i Houston Street, o jedną ulicę od East Bay. Ze swojego domu przy Factor's Walk Bree mogła tu przychodzić pieszo.

- Problem w tym - przyznała smutno Lavinia - że wszystkich trochę odstrasza ten cmentarz. - Znad rzeki powiało wilgotnym chłodem. Lavinia zadrżała lekko i otuliła znoszonym swetrem swoje chude ramiona. - Nie byłoby 8 leszcze tak źle, gdybym ruszyła tyłek i żdziebko te groby wysprzątała. Ale mój silnik już nie odpala tak szybko.

Ze smutkiem przygryzła dolną wargę. - No cóż, chyba widziałas już wszystko.

Bree położyła ciepłą rękę na ramieniu starszej pani i powiedziała dyplomatycznie:

- To żaden problem, wystarczy okopcować krzewy i posadzić trochę azalii. Chciałabym zobaczyć biuro. Chyba wspominałam, że potrzebuję go na krótko? Najwyżej na pół roku.

Pani Mather po swoim rozpromieniu się w uśmiechu.

- Może ci się tu spodobać o wiele bardziej niż ci się teraz wydaje.

Lokalem do wynajęcia był parter niewielkiego domu wybudowanego w początkach osiemnastego stulecia - w czasach, gdy na ulicach Savannah zalegało błoto i koński gnój, a na każdym rogu rozbrzmiewały krzyki aukcjonerów prowadzących licytacje niewolników. Dom stał pośrodku niewielkiego cmentarzyku pełnego zaniedbanych grobów. Bree przyszło do głowy, że panujący dokoła brud i rozkład mogły odstraszać potencjalnych najemców. A co powiedzą jej klienci? Brr...

Dom wraz z cmentarzem otaczało ogrodzenie z kutego żelaza; w Savannah nie było to niczym nadzwyczajnym, podobnym płotem ogrodzony był każdy dom w obrębie Historie District. W tym zwracał jednak uwagę brak typowych motywów roślinnych: liści magnolii czy bluszczu. Każdy segment składał się z pięknie wykutych sferycznych form, które zdawały się wirować w promieniach słońca.

Sciany domu wyłożone były od zewnątrz zniszczonymi, wyblakłymi deskami, błagającymi o pędzel i farbę. Dach był jednak nietknięty (przynajmniej sprawiał takie wrażenie), dobrze trzymały się też okna i framugi drzwi. Może wewnątrz domu nie będzie aż tak obskurne.

Wchodząc po osypujących się ceglanych schodkach, Bree na wszelki wypadek trzymała rękę na ramieniu pani

Mather. Staruszcze udało się sforsować zamek i Bree weszła za nią do środka, gdzie wybuchła jej prosto w twarz feeria wspaniałych kolorów.

- Nie do wiary! - wyrwał jej się niegrzeczny okrzyk. Ugryzła się w wargę. - Proszę wybaczyć, pani Mather.

Pani Mather musiała być jednak trochę przygłucha albo po prostu taktownie postanowiła przemilczeć jej wybuch. Znalazły się w niewielkim korytarzu, wyłożonym dobrze utrzymaną podłogą z sosnowych desek. Po prawej stronie widać było strome schody prowadzące na piętro. Pionowe powierzchnie stopni pokrywały wspaniale odmalowane średniowieczne wizerunki aniołów. Ich szkarłatne szaty przybrane były wstążkami barwy głębokiej purpury. Sztwyne złote aureole unosiły się nad głowami aniołów niczym wschodzące słońca. Srebrzyste włosy spływały po ramionach aż do obutych stóp. Aniołowie maszerowali po schodach w zwartym szyku, zmierzając w stronę krótkiego półpiętra, a dalej znikali za rogiem. Bree uczuła, że wzbiera w niej gorące pragnienie obejrzenia całego fryzu. Kontrast między tym plastycznym przepychem i zachwaszczoną ruiną na zewnątrz był zdumiewający. Była już w połowie schodów, kiedy głos pani Mather przywrócił jej przytomność:

- Chodźmy do salonu, skarbie.

Bree z ociąganiem zeszła po pięknych schodach i przeszła przez korytarz do niewielkiego pustego salonu. W drugim końcu pomieszczenia widniał ceglany, pomalowany na biało kominek. Ściany były wyłożone pięknie wypolerowanymi dębowymi panelami.

- Uwaga na głowę - powiedziała Lavinia z wnętrza salonu, gdy Bree wchodziła do środka.

Sufity były niskie, podobnie jak w Plessey, rodzinnym domu Bree w Raleigh. Aczkolwiek - pomyślała ponuro - jedynymi pomieszczeniami w jej domu równie małymi jak ten salon były położone na trzecim piętrze dawne pokoiki dla służby. Przez nikogo już zresztą nieużywane.

Salon mierzył jakieś piętnaście na piętnaście stóp. Kominek z neoklasycystycznym gzymsem zajmował jedną ścianę. Ściana zewnętrzna miała jedno okno, za którym widniała dzika płatanina chwastów. W ścianie naprzeciw okna znajdowały się zamknięte drzwi, a po obu stronach drzwi dwa łukowe przejścia do małych pokojków.

- Tam w lewo idzie się do kuchni - powiedziała zachęcająco Lavinia. - Jak pójdziesz na prawo od drzwi, trafisz do milutkiej jadalni. A za drzwiami jest sypialnia. - Otworzyła drzwi, ukazując pomieszczenie, które ledwie mogło pomieścić wąski tapczan i komodę. - Tutaj możesz sobie urządzić gabinet. We frontowym pokoju posadzisz jakąś sekretarę i co tam jeszcze chcesz, a w jadalni możesz przyjmować klientów.

Bree obeszła dokoła pustego salonu i zatrzymała się przy jedynym oknie. Wychodziło wprost na omszałe nagrobki. Grunt przed nagrobkami był pozapadany. Studiując na Uniwersytecie Duke, Bree zaliczyła kurs śledczy i wiedziała, co to oznacza: ciała grzebane bez trumny rozkładają się tak szybko, że ziemia, którą je przysypano, w ciągu miesiąca zaczyna się zapadać, czasem nawet na stopę głęboko. Bree przyglądała się grobom poprzez nierówną okienną szybę. Wszystko wskazywało na to, że ciała wrzucano bezceremonialnie do dołów, oczywiście bez trumien. Może nawet bez jakiegokolwiek całunu.

Fuj. Nie był to najlepszy widok dla przyszłych klientów. Nagle poczuła na karku ciepły oddech i aż podskoczyła.

- Rusza się tam coś? - Lavinia oparła o nią swoje kruche ciało i spojrzała przez ramię na zewnątrz. - To pewnie Josiah Pendergast.

- Rusza się? - wykrzyknęła zdumiona Bree. - Nie, proszę pani, skądże.

- To dobrze - powiedziała Lavinia z zadowoleniem. - Może to miejsce już zaczyna na ciebie działać.

- Ale co ma pani na myśli - spytała Bree po długiej, podszytej niepokojem chwili, wpatrując się w nagrobek opatrzony napisem: „R.I.P. J. Pendergast” - pytając, czy coś się tam rusz?

-No cóż, musiałś mnie o to spytać, ale ja nie muszę ci odpowiadać. Ktto jak kto, ale ty sama powinnaś to wiedzieć, skarbie. Z nagłą zaciekłością Lavinia wyduła dolną wargę. No dobra, bierzesz ten dom?

-No cóż... wyjąkała Bree, odwracając się od okna. Cmentarz! Jej rodzina wpadnie w szal. - Nie spodziewałam się, że będę szukać lokalu na biuro - przyznała. - Mój stryjeczny dziadek Franklin zmarł niedawno. Przekazał mi w testamentie swoją kancelarię w Savannah.

- Franklin Winston-Beaufort - strapiona Lavinia zasłoniła dłonią usta. - Ten pożar go załatwił, zgadza się? Biedaczek. Biedaczek. Mierzył za wysoko, daję słowo. Uratowały się jakieś meble? Czy wszystko poszło z dymem? - przez krótką chwilę Bree miała wizję starszej pani w płomieniach. Siwe włosy otaczały jej ciemną, pomarszczoną twarz niby ognista aureola.

Bree mimowolnie cofnęła się o krok i złudzenie pierzchnęło. Głosem niewiele głośniejszym od szeptu spytała stanowczo:

- Co pani wie o moim wuju? Lavinia powoli pokręciła głową.

- W takim mieście trudno nie słyszeć o takich wypadkach - powiedziała. - Chyba się domyślasz.

- Domyślam się - odpowiedziała Bree jak echo. Potarła oczy. Od przyjazdu do Savannah nie spała najlepiej. Była przemęczona. - Niewiele ocalało. Jego biurko. Fotel. Pożar, w którym zginął, był gwałtowny, ale spalił tylko kancelarie prawne. Reszta budynku ocalała.

- Mówisz o tym budynku naprzeciw Świątyni, zgadza się? Słyszałam, że go remontują od góry do dołu.

Bree odpowiedziała jej smutnym uśmiechem.

- Deweloper przeprowadza generalną renowację budynku i nie mogę się tam teraz wprowadzić. Testament wuja był dość osobliwy. Pozostawił mi w spadku swoich klientów. Rozglądałam się więc za tymczasowym biurem, mam na oku parę różnych lokali, a to...

- Parę lokali - przedrzeźniała ją zgryźliwie Lavinia. Jasne. Czy któryś z tych lokali leży w odległości czterech ulic od twojego domu?

- No... nie - Bree przebierała palcami we włosach. Skąd staruszka wiedziała, gdzie ona mieszka?

- No więc te miejsca. Można tam trzymać psy? Bree zamrużyła oczami.

- Pani Mather, ja nie mam psa. I na pewno nie wspominałam pani o tym, gdzie mieszkam.

Lavinia wyciągnęła kościsty palec w stronę Bree i dotknęła jej pięknie skrojonego, szarego, prążkowanego kostiumu, prosto z drugiego piętra Saks Fifth Avenue w Raleigh--Durham.

- Jeśli to nie jest psia sierść - powiedziała zwięźle - to ja jestem holenderskim białasem. Samotna dziewczyna zazwyczaj więcej zajmuje się swoim psem niż swoją mamą.

Bree otrzepała spódnice. Lśniło na niej kilka złotych klaczków, jak gdyby duży golden retriever otarł się głową o jej kolano. Otworzyła usta, żeby zaprotestować. Nie miała psa. Nie natknęła się na żadnego psa, idąc na spotkanie. A swoją drogą skąd Lavinii przyszło do głowy, że to właśnie psia sierść? Bree potarła odrobinę klaczków między palcami.

W zasadzie wyglądały zupełnie jak sierść psa. Zatem Lavinia się nie myliła. Ale Bree na pewno zapamiętałaby, gdyby tego ranka głaskała jakiegoś psa.

- A skąd wiem, gdzie mieszkasz? - ciągnęła Lavinia. - Phi! Mój siostrzeniec Rebus już dawno temu zainstalował mi taki aparat, co identyfikuje numery. Cyfry 848 to te stare rezydencje przy Factor's Walk. To stary numer. Co znaczy, że już trochę tu mieszkasz.

- No cóż, moja rodzina trochę już tu mieszka - przyznała Bree. - Właśnie w jednej z rezydencji. Przyjeżdżaliśmy tam każdego lata razem z moją siostrą Antonią.

-No proszę! Dopiero co opuściłaś cacaną firmę prawniczą swojego papy w Północnej Karolinie, przyjechałaś tutaj, żeby zdobywać świat, i nie chcesz wynająć tego biura za trzysta dolarów miesięcznie?

Czy Bree wspomniała jej o firmie prawniczej ojca? Raczej nie.

-Cóż... - Bree znów zaczęła się plątać, a to nie było w jej stylu. Jeśli przez trzy lata prawniczej praktyki czegośkolwiek się nauczyła, to właśnie zdecydowania. - Po prostu nie jestem pewna, pani Mather.

- Mów mi Lavinia, skarbie - powiedziała starsza pani. - Wiesz, jednej rzeczy w dzisiejszych czasach nie znoszę: manier młodziaków. Ale widzę, że twoja mama trochę cię nauczyła, więc opuszczaj śmiało tę panią Mather i mów mi po imieniu.

- To miłe z pani strony - odparła Bree z roztargnieniem. Z miejsca, w którym stała, mogła zajrzeć do małej kuchni. Zobaczyła lodówkę - starego, garbatego kolosa, jakiego można jeszcze zobaczyć w powtórkach Leave It to Beaver albo innych seriali z lat pięćdziesiątych.

- Chciałabym wiedzieć - mówiła dalej Lavinia z emfazą w głosie - gdzie spodziewasz się znaleźć dobry i równie tani lokal?

Jeszcze raz, tym razem uważniej, Bree obejrzała pokoje. Sekretarka z asystentką mogą siedzieć razem w salonie. I chyba nawet zmieści się tam jeszcze mała sofka i stolik do kawy. W sypialni da się urządzić niezłe biuro. Do małej staroświeckiej kuchni wstawi się mikrofalówkę i będzie tam zupełnie niezłe pomieszczenie socjalne. Miała nadzieję, że urządzenie biura nie będzie jej zbyt wiele kosztowało; im mniejszy lokal, tym mniej potrzeba mebli.

- Moje pokoje i warsztat są na górze - powiedziała Lavinia. - Ale ja pracuję zazwyczaj w nocy, więc nie będę ci ani trochę przeszkadzać. I będę pilnować, żeby moi milusińscy nie schodzili na dół i nie sprawiali ci kłopotu.

Bree udało się ukryć zdziwienie.

Masz dzieci?

Chichot, jakim wybuchła Lavinia, był tak zaraźliwy, że Mier sama zaczęła się śmiać.

W moim wieku, moja panno? Nie, nie mam tam żadnych dzieci.

A więc zwierzęta. Bree ufała ludziom, którzy trzymają zwierzęta. Jeszcze raz rozejrzała się dokoła. Lavinia miała incję. Lokal był naprawdę okazyny, nawet uwzględniając ohydne otoczenie i tajemniczą złotą sierść. A jeśli chodzi o cmentarz - kilka weekendów z motyką i sekatorem odmieni go nie do poznania.

Bierz. - Bree usłyszała głos w swojej głowie. Ufała temu wewnętrznemu głosowi. Towarzyszył jej przez całe życie. Kazał jej iść na studia prawnicze, potem do pracy w firmie ojca, a wreszcie przysłał ją tutaj, do Savannah. Próbował ją też ostrzec przed jej ostatnim facetem, Szczurem Pay-tonem. Wówczas już go nie posłuchała. No i proszę, jakie nieszczęście z tego wynikło.

Weźmie ten lokal.

- Byłabym bardzo wdzięczna, mogąc wynająć od ciebie ten lokal, Lavinio.

- Byłabym szczęśliwa, mogąc ci go wynająć, skarbie.

Uroczyście uściśnieły sobie dłonie. Lavinia miała suche i chłodne palce, w dotyku przypominały kości małych ptaków.

Podjąwszy wreszcie decyzję, Bree odetchnęła z ulgą.

- Czy mogłabym teraz rzucić okiem na umowę? - Była już w swoim żywiole; do tej pory czuła się niepewnie, jakby ktoś ją wyrzucił poza znany jej teren.

- Umowę? - prychnęła Lavinia. - Skarbie, po cóż mi umowa? Jak będzie ci tu dobrze, możesz wynajmować ode mnie to miejsce tak długo, jak zechcesz. Jak ci się nie spodoba, rozstaniemy się w pokoju.

- Ależ to dla mnie poważna inwestycja, pani Ma... to znaczy Lavinio. I nie wierzę, żeby żadna z nas...

Żadnej umowy - Lavinia potrząsnęła głową. - Nie ufam sądom. Nie ufam prawu. Ufam Bogu. I temu - dodała stanowczo - co sama dobrze przetrawię.

Bree zawahała się.

Ona ma rację.

Naprawdę ufała temu głosowi; w końcu była to jej własna, doskonale rozwinięta intuicja, czyż nie? To ona wyciągnęła ją z Raleigh, uwolniła od pracy dla zwariowanego, choć cudownego ojca, Roya Winston-Beauforta, i przywiodła tutaj, do Georgii, gdzie powietrze aż pachniało wolnością. Nie musiała przejmować klientów po stryjecznym dziadku; testament nakazywał tylko „pilnować, czy niczego im nie potrzeba” i jeśli naprawdę nie będzie miała ochoty się nimi zajmować, może odesłać ich do innych firm. Mimo wszystko Savannah była dla niej szansą zdobycia niezależności i tego należało się trzymać.

- Więc dobrze - powiedziała Lavinia, jakby słyszała ten wewnętrzny dialog. Wymaszerowała z jadalni i przez salon wyszła na korytarz. Bree ruszyła za nią. Nogi miała długie, zwłaszcza w porównaniu z malutką Lavinią, ale musiała się spieszyć, żeby za nią nadążyć. Lavinia już niecierpliwie kręciła gałką u drzwi.

- Skarbenku, mam mnóstwo roboty na górze. Więc jeśli nie masz nic przeciwko, zechciej, jak to się mówi, odprowadzić się sama. Możesz zacząć się wprowadzać już jutro

- wyrzła na zewnątrz i rozejrzała się na wszystkie strony.

- Tylko dobrze zatrzaśnij drzwi. Sąsiedzi są w porządku, ale te dzisiejsze dzieciaki są nieobliczalne. Nie wspominając o Josiahu Pendergaście z parszywego starego świata. Cmentarz morderców to jedyne miejsce dla takiego potwora.

Prawniczy zmysł podsunął Bree pewną myśl:

- A czy nie przydałaby ci się umowa najmu ot tak, dla własnego bezpieczeństwa, Lavinio? To znaczy, oczywiście bardzo mi pochlebia, że wierzysz mi na słowo. Ale masz zupełną rację: świat naprawdę potrafi być okrutny. Co byś powiedziała, gdybym jutro przyniosła ze sobą standardową umowę, tak na wszelki wypadek?

- Phi! - odparła Lavinia. - Możesz sobie wsadzić swo-|i| standardową umowę tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Uniosła rękę i nawinęła sobie na palec kosmyk włosów Ilrce. - To chyba naturalny kolor, skarbie?

No... tak - Bree zarumieniła się. Nie była zbyt podatna iui pochlebstwa, ale miała kilka słabych punktów. Jednym / nich były włosy: bujne, długie, bardzo jasne i puszyste.

Lavinia przybliżyła się do niej. Bree poczuła korzenny zapach suszonych ziół i jeszcze jakiś, słodszy, jakby woń egotycznych kwiatów.

- Widzisz te anioły wymalowane na schodach? Twoje włosy są dokładnie tej samej barwy co włosy najdzielniejszego i najlepszego spośród nich. - Uśmiech rozjaśnił jej twarz niczym słońce wynurzające się zza horyzontu. - To miejsce jest ci przeznaczone. To pewne.

Pewne jest to, myślała potem Bree, że jej nowa gospodyni ma lekkiego świra. Ale świr Lavinii był zdecydowanie mniejszy niż ciotki Corinne-Alice czy stryjecznego dziadka Franklina. Tych dwoje parało się naprawdę niesamowitymi rzeczami. A mimo to Bree przeżyła w ich towarzystwie całkiem udane dzieciństwo.

- W takim razie do jutra - powiedziała. I dziękuję... Lavinia rozwiała się na ozdobnych schodach jak obłoczek dymu, zostawiając za sobą tylko zapach ziół i kwiatów.

- Pani Mather? Lavinio?

Odpowiedziało jej tylko zdecydowane trzaśnięcie drzwi na piętrze. Bree powiedziała nieco głośniej:

- Przyjdę o dziesiątej, dobrze?

Nie usłyszała już ani słowa od swojej przyszłej gospodyni. Od strony schodów płynął tylko zapach nieznanego kwiatów, słychać było też dreptanie małych stóp. To pewnie kot, może niewielki pies. Zapach był całkiem miły, Bree zaciągała się nim z przyjemnością. Pewnie róże, może coś jeszcze. Bree odczekała dłuższą chwilę, na wypadek gdyby Lavinia jednak zdecydowała się jej odpowiedzieć, po czym wyszła frontowymi drzwiami.

Z zachodu powiała mocniejsza bryza, przynosząc znad cmentarza woń rozkładu. Bree zastygła w przerażeniu. Wewnątrz Lavinia na pewno stosowała odświeżacz powietrza; tu, przed domem, smród był straszliwy. Aż dziw, że nie poczuła go wcześniej.

Niezdecydowana stała na szczycie schodów, porażona nagłym przeświadczeniem, że wynajęcie domku było wyjątkowo głupim pomysłem. Jeśli klienci wuja Franka nie mieli uszkodzonego narządu węchu, żaden z nich nie przyjdzie na drugie spotkanie. A nowi klienci będą też musieli mieć wyjątkowo słaby wzrok, żeby nie odstręczył ich zapuszczony cmentarz. Towarzystwo Historyczne pewnie nie miałooby nic przeciwko temu, żeby posadzić tu trochę roślin i okopcować krzewy, ale Bree szczerze wątpiła, czy przystaloby na propozycję przekształcenia tego miejsca w bardziej przyjazne poprzez przeniesienie grobów na normalny cmentarz.

Nagle pomyślała o Pendergaście. Lavinia była przekonana, że Josiah zupełnie nie zasługuje na spoczynek na normalnym cmentarzu. „To jedyne miejsce dla takiego potwora” - powiedziała.

Bzdury. Trupy nie były mieszkańcami posesji, zajmowały tylko miejsce. Jak meble. Choć patrząc z perspektywy przyszłego klienta, wyjątkowo nieciekawe meble, w dodatku nienadające się do wyrzucenia na śmietnik.

Z drugiej jednak strony dom był zaciszenie położony. Znajdował się na tyle daleko od Bay Street, że miejski i portowy hałas nie był głośniejszy od zwykłego pomruku. A to z pewnością był duży plus.

Zgniły odór unosił się jednak wokół niej jak upiorna peleryna. Bree zatkała sobie nos, ale nic to nie dało. Smród był wszędzie. Nie, cisza jednak nie wystarczy. Nic z tego nie będzie. Odwróciła się w stronę frontowych drzwi i wyciągnęła rękę, żeby zapukać. Powie pani Mather, że przykro jej, ale rezygnuje. Na pewno znajdzie się inny najemca.

Wtem krzyk cierpienia rozdarł powietrze.

Dwa

Daj pokój jego duchowi.

William Shakespeare, Król Lear tłum. Maciej Słomczyński

Bree zastygła z uniesioną ręką. Krzyk wybrzmiał jeszcze raz; nie był to, co natychmiast sobie uświadomiła, głos człowieka - raczej skowyt cierpiącego zwierzęcia. I dochodził zza uschniętej magnolii. Zanim zdążyła pomyśleć o tym, by wykonać ruch, już zbiegła ze schodów i pędziła w stronę nagrobków.

Skowyt przeszedł w ciche skomlenie. Bree stanęła jak wryta pośrodku cmentarza. Wzięła głęboki, uspokajający oddech. To było głupie, tak biec bez zastanowienia w stronę miejsca, z którego dochodził krzyk. Przyjrzała się bacznie starej magnolii. Była już niemal zupełnie pozbawiona liści, a pień dorównywał szerokością jej ramionom. To stamtąd musiał dochodzić straszliwy głos. Bree położyła aktówkę na ziemi i ściągnęła żakiet.

- Hej! - zawołała. - Hej! Skomlenie stopniowo ucichło.

Aż podskoczyła, słysząc szelest zeschniętych liści. Kątem oka zobaczyła chudą postać spowitą w obłoczek dymu czy mgiełki. Bree zamrugowała mocno i potarła oczy.

- Ej, ty tam! - zawołała. - Czekaj no.

Na dźwięk jej głosu postać odwróciła się. Przez mgnienie oka Bree widziała bladą twarz i usta wyszczerzone w straszliwym uśmiechu. Odór rozkładających się zwłok przybrał na sile. Bree mimo woli cofnęła się o krok. Usłyszała jakiś łomot, a potem jeszcze jeden - jakby kija czy laski uderzającej w żywe ciało. Zwierzę znów zawyło. Bree krzyknęła i rzuciła się naprzód, z rozsądkiem niemal zupełnie zaćmionym wściekłością.

Wycie ucichło. Kimkolwiek lub czymkolwiek to było, w jednej chwili przeskoczyło żelazny płot i zniknęło za ceglany magazynem sąsiadującym z posesją. Skomlenie przechodziło powoli w ochryple, rozdzierająco bolesne sapanie.

Bree rzuciła się z powrotem do swojej aktówki, wyciągnęła telefon i wsunęła go do kieszeni spodnicy. Podniosła jedną z grubych, uschniętych gałęzi leżących na ścieżce. Przykucnęła pod wilgotnymi pnączami oplątwy, na podobieństwo włosów zwisającymi z gałęzi magnolii, i niecierpliwymi ruchami ręki odgarnęła je na boki.

Za pnem magnolii leżał skurczony pies. Kiedy się zbliżyła, uniósł głowę i zawarczał, odsłaniając zęby. Bree odsunęła się nieco do tyłu i odezwała głosem, którym uspokajała żrebaki i jagnięta, gdy mieszkała w Plessey.

- No, już dobrze - powiedziała. - Już dobrze.

Pies spróbował usiąść. Był duży, mniej więcej wielkości labradora. Skołtuniona złota sierść była pełna rzepów i patyków. Zwierzę było straszliwie wychudzone, jakby nie jadło od wielu dni.

Bree odłożyła gałąź. Tylna łapa psa tkwiła w stalowej szczęce wnyków. Cóż, biedak przynajmniej nie rzuci się na nią z zębami, jeśli się wystraszy.

- Spokojnie - powiedziała Bree pogodnym, kojącym tonem. Pies opadł znowu na stertę liści. Lekko zamachał ogonem. Bree przysunęła się do niego na kolanach, niemal śpiewnie powtarzając: - Już dobrze, już dobrze. - Położyła dłoń na głowie psa, który zaczął lizać jej nadgarstek. Przesunęła ręką po skołtunionej sierści, od wystających żeber aż do uwięzionej łapy. Znała takie pułapki. Jej dziadek zakazał używania ich w okolicach Plessey, ale wcześniej zdążył nauczyć Bree i jej siostrę Antonię, jak uwalniać złapane w nie zwierzęta. Nacisnęła zapadkę i stalowa szczęka otworzyła się z nagłym brzęknięciem. Pies odskoczył od jej dłoni i ciężko stanął na nogach. Właśnie stanął, nie stanęła, jak Bree zauważyła po chwili.

- No, chłopcze - powiedziała. - Teraz spokojnie.

Spokojnie.

Przez moment jej wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem ciemnobrązowych psich oczu. Bree objęła dłonią pysk zwierzęcia i delikatnie obmacała zranioną łapę.

- Na pewno jest złamana - powiedziała miękko. - Muszę cię stąd zabrać, piesku. Pozwolisz mi na to?

Pies uniósł głowę i spojrzał na nią, jakby chciał to przemyśleć. Potem opadł bezsilnie na stertę liści. Bree wsunęła mu jedno ramię pod żebra, a drugą pod tylną część ciała. Potem podniosła się energicznym ruchem. Na rodzinnej farmie zdarzało jej się ciągnąć nawet cetnarowe worki z końską paszą; pies ważył mniej, choć trzeba przyznać, że niewiele mniej. Chwiejnym krokiem opuściła cmentarz i skierowała się w stronę swojego fiata zaparkowanego przy krawężniku. Nie było sensu angażować w to Lavinii. Sama wsiadła do samochodu, a potem zadzwoniła na policję i do towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Pies ledwo zmieścił się na tylnym siedzeniu. Leżał cicho, choć wbrew obawom Bree nie stracił przytomności, tylko pominie poddał się jej zabiegom. Bree ułożyła go możliwie najstaranniej i wróciła po swoją aktówkę i żakiet. Czy powinna wziąć wnyki jako dowód? Może lepiej je zostawić. Policja zazwyczaj nie życzy sobie, żeby zabierać cokolwiek z miejsca przestępstwa, prawda? Pułapka była nowa; na szczęce z nierdzewnej stali zostały plamy psiej krwi. Leżała na przewróconym nagrobku. Bree przykłękała i odgarnęła liście przykrywające napis, uważając, żeby nie zostawić na wnykach swoich odcisków palców.

Olivia Pendergast 1 Krn 29:15

- Krewna niespokojnego Josiah - powiedziała do siebie. - O matko.

Wstała i popatrzyła w stronę płotu, szukając wzrokiem bladej kreatury albo przynajmniej jakiegoś śladu po niej. Nie zauważyła niczego. Przeszukała jeszcze pokrótce okolice magnolii, po czym zadzwoniła na policję i zgłosiła fakt znęcania się nad zwierzęciem niedaleko East Bay, przy bocznej Mulberry Street.

Patrol zajeżdżał pod dom tak szybko, że ledwie zdążyła schować telefon. Bree podniosła rękę i podeszła do krawężnika. Syrena była wyłączona, ale migające czerwono i pomarańczowo światło policyjnego koguta wyglądało tym bardziej złowrogo. Bree zerknęła z troską w stronę okien na piętrze, ale zasłony nawet się nie poruszyły. Bardzo chciała ukryć to zdarzenie przed Lavinią. W znęcaniu się nad zwierzętami było coś szczególnie odrażającego, a staruszka była delikatna. Choć starała się wyglądać na hardą, mogła się przerazić.

Radiowóz zatrzymał się przy niej bezszelestnie. Policjant za kierownicą był młody, różowy na twarzy i siedział w samochodzie sam.

Bree uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję, że tak szybko pan przyjechał.

- Przejechałem akurat sąsiednią ulicą, proszę pani. Bree spojrzała mu przez ramię na tacę z kawą ze Starbucks leżącą na fotelu pasażera.

- Chłopaki wysłali... to znaczy zgłosiłem się na ochotnika, że przywiozę kawę. A skoro przejeżdżałem tuż obok, kiedy usłyszałem zgłoszenie, powiedziałem, że się tym zajmę. - Zaparkował wóz i wysiadł. Jego mundur wyglądał jak zdjęty z wieszaka. Czarne buty lśniły nowością. Przy pasku miał lśniącą pałkę, ale żadnej broni. Wyciągnął rękę i przedstawił się: - Oficer Dooley Banks, do usług.

Bree uściśnięła mu dłoń z lekkim wahaniem. Nie miała wielkiego doświadczenia w kontaktach z policją. Ale ten chłopiec z pewnością nie zachowywał się jak gliniarze z seriali kryminalnych.

- Brianna Winston-Beaufort - przedstawiła się. Po czym dodała: - Adwokat.

Policjant dotknął daszka swojej czapki.

- Panno Beaufort, czy chciała pani zgłosić skargę dotyczącą znęcania się nad zwierzętami?

- Myślę, że naprawdę miałam szczęście - mówiła Bree do telefonu kilka godzin później. - Ten oficer Banks zjawił się na miejscu w pięć minut. Albo i szybciej.

- Szczęście? - powtórzyła matka. - Szczęście? Skarbie, nawet się nie zbliżaj do tego miejsca. To wszystko brzmi groźnie. Mówisz, że dom stoi pośrodku cmentarza?

- To bardzo urokliwy cmentarzyk - odparła Bree, starannie krzyżując palce. - A pani Mather jest bardzo miła. Jest dobrze po siedemdziesiątce, o ile się nie mylę. To miła starsza pani, mamó.

- A co ma do tego szczęście? - odezwał się ojciec. - Jeśli tylko ktoś w Savannah będzie ci sprawiał jakieś kłopoty, zaraz daj mi znać, słyszysz?

Mimo że od rodzinnego domu dzieliło ją dwieście mil, na dźwięk troskliwych, choć wścibskich pytań ojca Bree odruchowo się wyprostowała. Opowiadając o swojej przygodzie, pominęła zresztą najbardziej upiorne szczegóły. Odpowiedziała jednak grzecznie:

- No wiesz, pies ze złamaną łapą to raczej sprawa dla Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt niż dla policji. Ale oficer Banks spisał raport bez mrugnięcia. Czyn był popełniony w złej intencji, więc jeśli złapią sprawcę, na pewno stanie przed sądem.

- Mam nadzieję, że odwiozłaś psa do schroniska? - spytała matka. - Wiesz, jakie zasady obowiązują w miejskich rezydencjach.

Bree gapiła się w sufit. Znajdowała się w salonie. Na sosnowej podłodze leżały wschodnie dywany, wyblakłe już ze starości. W kącie przy kominku stał babciny fortepian. Jedną ścianę zajmowały w całości półki z książkami, ciągnące się po obu stronach francuskich drzwi aż do balkonu. Przez drzwi balkonowe widać było rzekę Savannah. Wszystko było znajome i kochane.

- Listwy sufitowe trochę już się łuszczą - powiedziała. - Może powinnam wezwać malarzy, jak sądzisz?

Zgodnie z jej oczekiwaniami pytanie odwróciło uwagę matki.

- Przecież malowaliśmy cały dom nie dalej niż pięć lat temu - powiedziała z oburzeniem w głosie.

- Dziesięć - odezwał się niecierpliwie ojciec. - Dziesięć lat temu albo i więcej, Francesco. Może rzeczywiście trzeba by wezwać malarzy, skarbie. Jeśli chcesz, sami wpadniemy to obejrzeć. Będziemy u ciebie w pięć godzin. Jeśli nie szybciej.

- Nie, nie ma pośpiechu - szybko zapewniła Bree. - Przyjrzałam się lepiej, to tylko pajęczyny. - Mocniej zacisnęła dłoń na słuchawce telefonu. - No dobrze, słuchajcie, bardzo się cieszę, że zadzwoniliście, ale muszę jeszcze przejrzeć trochę papierów.

- Już jest dobrze po ósmej - zaprotestowała matka.

Bree nic nie odpowiedziała. Rodzicielska troska - natrętna, szczerza, kochana, doprowadzająca do obłędu - była jednym z powodów, dla których znalazła się w Savannah, zamiast spokojnie pracować w rodzinnej miejscowości.

- Przecież wiem, że zarywasz noce - naciskała dalej Francesca. - Ale chyba wysypiasz się ostatnio, kochanie? Royal, ona znowu nic nie jadła. Jestem tego pewna.

- Nie martw się, jadłam - powiedziała Bree z naciskiem.

- I po takim dniu zamierzasz jeszcze pracować? - dopytywała się matka.

- Muszę znaleźć kogoś do pomocy w kancelarii. Dałam ogłoszenie w „Savannah Daily” i dostałam już kilka sensownych odpowiedzi. A skoro jutro się wprowadzam, przydałaby mi się chociaż para rąk przy urządzaniu biura, i to jak najszybciej. Dlatego muszę zadzwonić w kilka miejsc.

-Właśnie dlatego, moja droga - wpadł jej w słowo - możemy do ciebie przyjechać, będziesz miała do pomocy aż dwie pary rąk.

-No właśnie - dodała matka. - Ktoś musi też pomóc ci wybrać odpowiedni kolor farby. A co z zasłonami? Bree stłumiła jęk.

-Kochani, doceniam to, naprawdę. Ale muszę już koń-i/yć. Dziękuję wam za telefon. Zadzwonię do was za kilka dni.

Ależ Bree... - powiedział ojciec.

- Już dobrze, Royal - odezwała się matka. - Nie zrzedź. Bree, daj mi tylko znać, jaki kolor będzie tam pasował, zamówię kilka próbek...

Bree desperacko potarła słuchawkę telefonu i zawołała: Halo? Halo? Mamo? Przystaję cię słyszeć!

- Tracimy połączenie, Bree! - krzyknęła matka. - Royal, to znowu ten beznadziejny operator! Przysięgłabym, że uwzieli się na ciebie, Bree.

- Wybacz, mamo! Rozłącza nas! Pa, mamo! - Bree odłożyła słuchawkę i z westchnieniem ulgi zatopiła się w stojącym obok fotelu. - Uff - powiedziała.

- Uff - odezwał się pies leżący u jej stóp. Bree wychyliła się ku niemu.

- A ty - powiedziała surowo - jesteś nielegalnym imigranem, piesku.

Pies spojrzał jej w oczy i grzecznie zamerdał ogonem. Leżał na posłaniu zrobionym ze starej kołdry, którą Bree znalazła w szafie na pościel. Zraniona łapa od biodra aż po staw skokowy obandażowana była schludnym opatrunkiem. W klinice weterynaryjnej, do którego zabrała go Bree, wykapano go też i przystrzyżono. Wymyte i wyczyszczone ze strzępków liści futro odzyskało żółty kolor; po kilku dniach dobrego odżywiania załśni prawdziwym złotem.

- W miejskich rezydencjach nie wolno trzymać zwierząt przekraczających czterdzieści funtów wagi - dodała.

- Więc to twój tymczasowy dom. Dopóki nie staniesz na nogi.

Pies ze smutkiem zadarł głowę i położył uszy po sobie. Bree stłumiła w sobie poczucie winy.

- Kiedy poczujesz się trochę lepiej, pomyślimy o odwiezieniu cię do Plessey. Mama z tatą mają lepsze warunki niż ja albo Antonia.

Pies odwrócił głowę w drugą stronę; wyglądał chyba jeszcze żałośniej niż przed chwilą. Bree spojrzała niego z irytacją.

- Na litość boską, psie, ja tylko... - urwała w pół zdania. Czy to możliwe, że tłumaczy się przed psem?

Energicznie podniosła się z fotela.

- Może byś jeszcze coś zjadł, piesku? - spytała. Weterynarz był wstrząśnięty, widząc, w jakim stanie jest zwierzę. Kilka uncji lekkostrawnej karmy co trzy godziny - to było wszystko, czym należało go karmić przez kilka najbliższych dni. Przed paru godzinami, zaraz po przyniesieniu go do domu, Bree dała mu miseczkę gotowanego ryżu i hamburgera. Pora na następny posiłek.

Pies podniósł się z trudem.

- Nie, nie. Połóż się. Nie chcesz chyba uszkodzić sobie tej łapy?

Pies zaległ z powrotem na kołdrze i westchnął z rezygnacją. Weterynarz określił go jako krzyżówkę rosyjskiego mastiffa z golden retrieverem.

- Okrągła czaszka to charakterystyczna cecha goldena, panno Beaufort. A ten kwadratowy, niegłupi pysk to wykapany mastiff.

- Niegłupi pysk - powiedziała na głos Bree, przypominając sobie rozmowę. - Ty mądry piesku, ty.

Pies radośnie wyszczerzył zęby. Bree przypominała sobie własnego, od dawna już nieżyjącego goldena Sunny Skies. Uśmiechał się do niej dokładnie w taki sposób - aż do dnia, kiedy zapadł w swój wieczny sen.

- Ty słodki staruszk - czule powiedziała Bree. Pies troszeczkę przypominał jej Sunny'ego. - Mogę się założyć, że miałeś kiedyś dobrego właściciela, co? Lgniesz do ludzi.

Ale nie mogę ciągle mówić do ciebie „piesku”. - W zamyśleniu podrapała się w ucho. - Co powiesz na imię Sam? Pies spojrzał na nią i wywiesił jęzor.

- Nie? A może Goldy - Złotko? Takiego koloru będzie twoja sierść, kiedy już wydobrzejesz.

Pies zamknął oczy, a potem na powrót je otworzył.

- Cóż, nie wydaje mi się, żebyś ty miał jakieś pomysły - powiedziała Bree z lekką irytacją.

Pies kichnął raz i drugi. Kichnięcie zabrzmiało dziwacznie, jakby sycząco.

- Sneezy, czyli Apsik - natychmiast powiedziała Bree.

- Jak jeden z siedmiu krasnoludków.

Zwierzak skrzywił się w niemal szyderczym grymasie. Bree parsknęła śmiechem. Jej młodsza siostra Antonia zakochałaby się w tym psie. I na pewno wymyśliłaby mu jakieś dobre imię. Tylko że Antonia była w sąsiednim stanie, na Uniwersytecie Południowej Karoliny.

- Czyli jednak sama muszę coś wymyślić. Pies znowu kichnął, jakby naumyślnie.

- Sza! Szaa!

- Sasza - powiedziała Bree. - To jest to. W końcu po części jesteś Rosjaninem.

Sasza wydał głębokie westchnienie ulgi i złożył głowę na łapach. Zadowolona z siebie Bree przyniosła mu miseczkę z jedzeniem, a potem usiadła przy nim w fotelu, ze stosem papierów na kolanach i własnym posiłkiem składającym się z łososia i sałatki.

Ogłoszenie, które umieściła w „Savannah Daily”, było proste:

*Milego asystenta do jednoosobowej kancelarii adwokackiej.
Obsługa komputera. Doświadczenie.*

Odpowiedzi były rozmaite, od beznadziejnie pełnej nadziei: „Myślę, że pracować dla prawnika, to byłaby niezła fucha. Mogę przychodzić codziennie po szkole” do komicznie desperackiej „Zrobiłem doktorat z literatury angielskiej na Uniwersytecie Północnej Karoliny. Będę pracował za jedzenie”.

Bree przejrzała pół tuzina odpowiedzi i wybrała dwie. Podniosła pierwszą do góry, poddając ją ocenie Saszy.

- Ta wygląda najlepiej, piesku. Pisze jakaś wdowa. Biedactwo, pracowała w kancelarii swojego męża do jego śmierci. Zupełnie niezłe referencje, jak mi się wydaje.

- A ten... - spojrzała na drugie podanie i przeczytała je jeszcze raz. - Ten jest na tyle interesujący, że również mogłabym go zaprosić na rozmowę.

Sasza podniósł głowę i wlepił w nią wzrok.

- Jest dekoratorem witryn. Albo był. I chce zmienić zawód. Twierdzi, że chodzi do szkoły wieczorowej, żeby się rozwijać. Aż chce się do takiego wyciągnąć rękę.

Sasza sprawiał wrażenie uprzejmie zainteresowanego.

- Z drugiej strony ta wdowa ma doświadczenie. No i wygląda na to, że jest w tarapatkach, choć nie mówi tego wprost.

Sasza warknął cicho.

- Słusznie, piesku - powiedziała Bree z rozbawieniem. - Mieszka w nieprzyjemnej dzielnicy. Może więc jej też przyda się pomocna dłoń.

Sasza warknął ponownie. Tym razem już nie żartował. Bree odłożyła papiery na stolik i wstała. Pies podparł się przednimi łapami. Wbił wzrok we francuskie drzwi wychodzące na balkon i groźnie wyszczerzył zęby. Warczenie przeszło w szczekanie.

- Cicho, Sasza - Bree podeszła do szklanych drzwi. Prawą ręką oparła się o regał z książkami i wbiła wzrok w ciemność. Księżyc w pierwszej kwadrze świecił na zamglonym niebie. Na brzegach rzeki migotały światła miasta. - Nic tam nie ma. Nic oprócz księżycy.

Raptem Sasza skoczył do drzwi, odpychając ją na bok i warcząc jak demon.

Tuż za delikatną szklaną barierą wyszczerzyła się do niej blada twarz. Biała twarz spowita obłokiem dymu.

Trzy

Wzgardzon przez głupców, odpowiem im wzgardą -Pod taką przyszło mi żyć dewizą hardą.

Jonathan Swift, Do dra Delany'ego w związku z pisanymi nań paszkwilami

Sasza okręcił się dokoła i wpadł na Bree, przewracając ją na sofę. Niezdarnie skoczył jej na kolana, aż Bree, zdumiona i przywalona przeszło stafuntowym cielskim psa, na chwilę straciła dech. Położyła obie ręce na muskularnej psiej piersi i mocno pchnęła.

- Zepsujesz sobie tę łapę! Zejdź ze mnie! Sasza wsadził jej nos pod pachę i zawarczał. Bree z całych sił starała się opanować.

- Zaczynam tracić cierpliwość - powiedziała łagodnie. - Policzę do trzech. Lepiej żebyś w tym czasie zszedł na podłogę.

Sasza uniósł głowę, sapiąc jej ciężko w twarz. Bree zauważyła, że sama się zadyszała.

Raptem zadźwięczał dzwonek u drzwi. Sasza odwrócił głowę, zeskoczył na dywan i z uszami położonymi po sobie pokuśtykał w stronę drzwi wejściowych. Dzwonek wybrzmiał raz jeszcze. Bree zerwała się z sofy, obciągnęła bluzkę i pobiegła za psem. Serce łomotało jej w piersi i z przerażeniem stwierdziła, że drżą jej nogi. Twarz na balkonie miała w sobie coś potwornego, podobnie jak tamta na cmentarzu. Bree wzięła powolny, głęboki oddech i zdusiła w sobie chęć sięgnięcia do szafy po stary kij baseballowy. Spojrzała przez wizjer. Prychnęła i zmierzyła psa wzrokiem.

- To kurier z UPS. A właściwie kurierka. Uszy Saszy powędrowały do góry.

- Możesz się domyślić z tonu mojego głosu, że ani trochę nie podoba mi się twoje zachowanie. Przyznaję: ta biedna dziewczyna nie powinna była się dobijać do balkonowych drzwi. Nie sądzisz jednak, że trochę przesadziłeś z reakcją?

Ogon Saszy zamachał w lewo i w prawo.

- Jeśli uważasz, że ja trochę przesadziłam, to masz cholerną rację.

Sasza kiwnął głową.

- Czy mógłbyś się wreszcie położyć i zachowywać jak należy?

Sasza osunął się niezgrabnie na podłogę. Bree otworzyła drzwi. Powietrze na zewnątrz było łagodne, wilgotne i przesycone mocnym zapachem spalonych zapalek. Na wycieraczkę stało duże kartonowe pudło. Dziewczyna z UPS była już w połowie drogi do furgonetki.

- Dziękuję! - zawołała za nią Bree. Potem z wahaniem wyszła na betonowy placik służący za ganek i rozejrzała się po ciemnej okolicy. Pusto. Dobiegał do niej tylko znajomy zgiełk z Market Street. Potarła ramiona, czując nienaturalny chłód, po czym podniosła pudło i wniosła je do środka.

Było dość ciężkie. Kiedy Bree nim potrząsnęła, zawartość przesunęła się odrobinę. Położyła je na stole w salonie i przeczytała adres odbiorcy: J. W. Pani Brianna Winston--Beaufort.

- Profesor Cianąino! - wykrzyknęła z radością na widok adresu zwrotnego. - Wiesz, kto to taki, piesku? Mój profesor prawa z Duke. Odszedł na emeryturę w tym samym roku, kiedy ja zrobiłam aplikację. Ma ładne mieszkanie nad rzeką na przedmieściach Savannah. Jeśli będziesz się zachowywał na tyle przyzwoicie, żeby cię zatrzymać, będziesz mógł go poznać.

Sasza podrapał łapą w krzesło i z zainteresowaniem wystawił nos w jej stronę. Bree zerwała taśmę i otworzyła paczkę.

Pudło było wypełnione po brzegi. Na wierzchu leżała mała koperta i nowiutki, jeszcze nierozpakowany telefon komórkowy. Resztę zawartości stanowiły przybory biurowe. Bree zaczęła od otwarcia koperty. Znalazła w niej kartkę z wytłoczonym na przedzie nazwiskiem profesora: Armand Cianąino, profesor emeritus historii prawa. Na dole znajdowało się zdanie wypisane małym drukiem: „Bądźcie sprawiedliwi! 5.11.” W środku - lapidarna odręczna notka: „A więc wydano bitwę, moja droga Bree! Twój kochający Armand.”

Bree wyciągała po kolei zawartość paczki. Były to dwie ryzy papieru listowego z nagłówkiem, paczka wąskich kopert, rolka zadrukowanych nalepek adresowych oraz sto standardowych kopert z adresem zwrotnym w lewym górnym rogu. Bree otworzyła małe kwadratowe pudełko zawierające wizytówki i przyjrzała im się bacznie.

Brianna Winston-Beaufort
Angelus 66
(555) 567 95 61

Krój czcionki był wyrafinowany, może nieco staromodny, wyglądał na odmianę Edwardian Script. Bree zupełnie nie była przekonana do pompatycznego złotego logotypu: pary pierzastych skrzydeł obejmujących wagę Temidy. Czy prawnikowi w ogóle potrzebne jest logo? Numer telefonu na wizytówkach był najwidoczniej numerem zapakowanej komórki... Wyglądało na to, że profesor Cianąino chciał ją porządnie wyposażać na starcie praktyki zawodowej.

Było to bardzo dziwaczne. Profesor Cianąino nie miał w zwyczaju obdzielać dobrym słowem swoich studentów i absolwentów, w zasadzie nie okazywał żadnych ludzkich uczuć. Oddawał cześć dwóm bliźniaczym bóstwom – logice i rozsądkowi. Skąd więc nagle ta „droga Bree”? Skąd wyprawka w postaci kosztownych, niechcianych przyborów biurowych, a do tego cytaty z Koranu - od człowieka, który prędzej podpisałby się pod maksymami Konfucjusza, o ile w ogóle uznawał jakąkolwiek religię? Poza tym skąd znał adres jej tymczasowego biura? Przecież wynajęła je dziś rano.

No i jeszcze jeden prezent, czyli telefon.

Bree wzięła do ręki pudełko. Był to najnowszy model Apple'a, elektroniczna zabawka wyposażona w najróżniejsze dzwonki i gadżety, które zachęcają raczej do zabawy niż do zwykłego użytkowania. Zwróciła kiedyś uwagę na ten model, ale miała już telefon, i to doskonały. Przybory biurowe może sobie zostawić, ale telefon odeśle profesorowi Cianąino z najserdeczniejszymi podziękowaniami za pamięć, uzupełnionymi małym wykrętem, że już ma telefon i nie potrzebuje nowego.

Komórka zadzwoniła, wygrywając początkowe takty O Thou That Tellst Good Tidings To Zion. Bree poznała melodię tylko dlatego, że mając szesnaście lat, musiała ją śpiewać podczas uroczystości bożonarodzeniowych w kościele episkopalnym św. Krzysztofa. Pierwsza linijka pieśni powtarzała się w kółko: O thou that teWst... O thou that tellst..., aż Bree krzyknęła ze zniecierpliwienia i zatkała sobie uszy.

Dzwonek ucichł wreszcie i przez opakowanie Bree usłyszała pocztę głosową: „Tu poczta głosowa panny Winston--Beaufort. Proszę zostawić wiadomość, nazwisko i swój numer telefonu po usłyszeniu sygnału”.

Potem rozległ się drżący, skonsternowany głos bardzo starego człowieka:

- Niech to szlag! Do diabła, gdzie oni wsadzają ludzi? - Starzec odchrząknął i ryknął: - Czy jest tam po drugiej stronie jakaś zatracona ludzka łepetyna? Mówi Benjamin Skinner. Chcę rozmawiać z człowiekiem, do cholery. A jak już ktoś odbierze, niech mi załatwi prawnika!

Wybrzmiał dźwięk przerwane połączenia. Benjamin Skinner - o ile faktycznie był to Benjamin Skinner - odłożył słuchawkę.

Bree popatrzyła na pudełko. Benjamin Skinner, zwany Czarnym Sercem, był największym odludkiem wśród miliarderów. Od dawna miał w zwyczaju pozbawiać wielkie korporacje wewnętrznych aktywów.

- Dzięki czemu, piesku, jest najbogatszym człowiekiem w Georgii, o ile nie w całych Stanach Zjednoczonych. A przy okazji najpodlejszym. Przynajmniej ostatnio. Po co więc do mnie dzwoni?

W odpowiedzi nie usłyszała żadnego „uff”. Zajrzała pod stół. Sasza leżał zwinięty na dywanie, pogrążony we śnie.

Nie minął więc nawet tydzień, odkąd wyzwoliła się z uścisku rodziny, a już była zmuszona pytać psa o radę.

- Gdybyś nawet mógł mi coś doradzić, wyglądasz tak załóżnie, że byłoby mi wstyd cię budzić. - Bree wstała. Potrzebna jej była lampka wina i lista rzeczy do zrobienia; właśnie w tej kolejności. Wino ją uspokoi, a lista pozwoli uporządkować pytania, które tłukły się jej po głowie jak samochodziki w objazdowym lunaparku.

Mogłaby też oddzwonić do pana Skinnera, korzystając z komórki od profesora Cianąina, i uzyskać natychmiastową odpowiedź na dwa zasadnicze pytania:

Dlaczego zadzwonił pan akurat do mnie, a nie do którejś z szacownych kancelarii prawniczych, które działają w Savannah jeszcze od czasów wojny secesyjnej?

I czego pan chce?

Zerknęła na zegar nad kominkiem. Było wpół do dziesiątej. Za późno, żeby dzwonić do profesora, choć z pewnością nie za późno na telefon do pana Skinnera. Przypomniała sobie artykuł o nim, który czytała w „Forbesie”. Skinner nie tylko chorobliwie unikał telewizyjnych kamer, ale był też znany z nocnego trybu życia, ponoć wystarczały mu dwie, trzy godziny snu.

- Nie żebym choć przez chwilę w to wierzyła - mruknęła Bree. Artykuł był dla niej jasny: facet zatrudniał firmę dbającą o jego publiczny wizerunek, i to na tyle potężną, że mogła nabrać najlepszego dziennikarza. Bree usiadła przy stole, końcem paznokcia rozerwała celofan okrywający pudełko i otworzyła je. Zawahała się i przygryzła wargę.

Telefon, jak każdy fabrycznie nowy aparat, był jeszcze w częściach.

Ładowarka znajdowała się w zapieczętowanej plastikowej torebce. Podobnie jak aparat. Bateria także.

Jakim więc cudem ktoś się do niej dodzwonił? I jak mogła usłyszeć nagraną wiadomość?

Wcisnęła przez plastikową folię zielony klawisz. Wyświetlacz pozostał ciemny. Telefon był niemy. Bree z narastającym zaciekawieniem złożyła aparat i włączyła go. Ekran zaświecił. Pojawiła się wiadomość: „Nieodebrane połączenie”. Bree wcisnęła klawisz i na ekranie wyświetlił się numer zidentyfikowany jako „Skinner”. Ponownie wcisnęła zielony klawisz. Sygnał wybrzmiał trzy razy, wreszcie ktoś odebrał i młody męski głos powiedział ostro:

- Kto mówi?

- Tu Brianna Beaufort - odpowiedziała lekko rozdrażniona Bree. - Jestem adwokatem. Z kim rozmawiam?

- Jezu - odparł głos z obrzydzeniem. Potem, zwracając się do kogoś w tle, dodał: - Już zaczynają krążyć. - Jego głos znów pojawił się w słuchawce: - Proszę zadzwonić rano. Ale najlepiej proszę w ogóle nie dzwonić.

Bree przygryzła wargę, i to mocno, dzięki czemu udało się jej zachować grzeczność:

- Przepraszam, że pana niepokoję. Oddzwaniam, bo zadzwonił do mnie ktoś, kto przedstawił się jako Benjamin Skinner. Czy mogłabym z nim rozmawiać?

- Mówi Grainger Skinner, jego syn. Pan Skinner nie może rozmawiać - powiedział stanowczo. - Jeśli ma pani jakąś sprawę do naszej rodziny, sugeruję, żeby poczekała pani z tym do jutra.

- Pan Skinner chciał, żeby oddzwonić do niego natychmiast - odparła grzecznie. - Czy mógłby pan mi przekazać, że oddzwoniłam najszybciej, jak mogłam?

- A jednak nie dość szybko, panno Beaufort. Proszę włączyć telewizor. Dziś po południu pan Skinner zmarł w swoim domu na Tybee Island.

Bree poczuła, że policzki zaczynają ją palić z zakłopotania i wstydu. Telefon od Skinnera był żartem. Psikusem. Ktoś robił sobie z niej jaja, i to z rozmachem. Miała ochotę wczołgać się pod stół i usiąść obok Saszy. Udało jej się jednak wziąć głęboki wdech i wyjąkać:

- Panie Skinner, jest mi naprawdę bardzo przykro, że pana niepoko... - zanim Skinner junior z zupełnie zrozumiałą irytacją rzucił słuchawkę.

Bree włączyła wieczorne wiadomości, żeby posłuchać o śmierci Skinnera, choć było to jak sypanie soli w otwartą ranę. Nalała sobie wina i w pokutniczym nastroju usiadła na sofie.

O zdarzeniu mówiono na wszystkich kanałach. Nie było w nim nic niezwykłego. Osiemdziesięcioletni Benjamin Skinner o Czarnym Sercu wraz ze swoim synem i synową pływał właśnie jachtem, kiedy dopadł go fatalny zawał serca; Skinner wypadł za burtę i utopił się w przybrzeżnych wodach Atlantyku. Rodzina wyciągnęła go i odwiozła do jego monstrualnej posiadłości na Tybee Island, jednak - jak zakomunikowała energiczna prezenterka - „wszelkie próby reanimacji zawiodły”.

Reporterzy zdążyli już dopaść kilku współpracowników Skinnera i poprosić ich o wypowiedź. Śmierć niespecjalnie polepszyła opinię świata biznesu na jego temat. Douglas Fairchild, uprzejmy, choć podejrzany wspólnik Skinnera w miejscowych inwestycjach budowlanych, skomentował rzecz następująco: „Jesteście pewni, że nie żyje? Bennie to kawał zdradzieckiego (biiip)...syna. Niech go Bóg błogosławi”. Wrogości nie krył także Carlton Montifiore, powód w jego ostatnim i najbardziej niesławnym procesie: „Zawał serca? Dobre sobie. Ten (biiip) nie miał serca”.

Śmierć Skinnera wzbudziła natomiast nieklamany żal w podrasowanej silikonem blondynce zajmującej penthouse w apartamentowcu na Tybee Island. Island Dream, luksusowa, usytuowana frontem do oceanu rezydencja dla multimilionerów, była jedną z ostatnich inwestycji Skinnera.

- On mnie kochał! - dyszała do telewizyjnych kamer Chastity McFarland. - I chciał mi dać wszystko, co tylko sobie wymarzę. Chociażby to mieszkanie. Jak wychodził dziś rano, to mówił, że jedzie do prawników spisać dla mnie tytuł własności. Obiecał mi to. - Spojrzała gniewnie w kamerę. - I nie ruszę się stąd, (biiip), ani na centymetr. Mam do tego prawo, rozumiecie? A jeśli jesteście ciekawi, co sędzę o jego śmierci - pochyliła się do przodu, pozwalając kamerzyście zajrzeć jej głęboko w dekolt - to wam powiem, że to było morderstwo!

Później pokazali materiał sprzed miesiąca, przedstawiający Skinnera we własnej osobie - chudą postać w niebieskim garniturze zasłaniającą twarz gazetą przed wścibskim spojrzeniem kamer. Wychodził właśnie jako zwycięzca z Sądu Hrabstwa Chatham po kolejnym procesie z powództwa grupowego w związku ze stosowaniem farb ołowiowych w należących do niego nowojorskich slumsach. Jego prawnik John Stubblefield odmówił komentarza. Skinner opuścił gazetę i cisnął w obiektyw kamery wściekle spojrzenie błękitnych oczu.

- Chcecie komentarza? - warknął. - No to macie komentarz. Powiedziałem tym pajacom, żeby sobie wsadzili ten pozew w (biiip), gdy po raz pierwszy spróbowali się ze mną sądzić. - Zachichotał, aż gazeta zadrzała mu w dłoni: - Dostałem prezent od naszego wspaniałego wymiaru sprawiedliwości.

Kamera jeszcze raz pokazała energiczną blond reporterkę stojącą na plaży Tybee Island. Za jej plecami wznosił się wielopiętrowy apartamentowiec. Na różowo otynkowanej ścianie widniał napis ISLAND DREAM.

- Śmierć Benjamin Skinnera to ostatnia, ale nie jedyna tragedia, jaka dotknęła zamożne Island Dream. Dziś wczesnym rankiem rejonowy inspektor budowlany Rebus Kingsley poniósł śmierć, wypadając z penthouse'u...

- Biedactwo... - pożegnała Bree nieszczęsnego Rebusa Kingsley a, po czym wyłączyła telewizor i zamyśliła się nad Benjaminem Skinnerem.

Miał charakterystyczny głos. Zgrzytliwy, wysoki, łatwy do podrobienia. Bree zmarszczyła brwi, wpatrzona w ciemny ekran. Kto ją wrobił? I dlaczego?

Odpowiedź na pytanie „kto” była łatwa. Była tylko jedna osoba, która w wolnych chwilach zajmowała się doprowadzaniem jej do obłędu.

- Antonia - powiedziała gniewnie.

Ton jej głosu wybudził Saszę z głębokiego snu. Pies uniósł głowę, niespokojnie zamachał ogonem, po czym wskoczył niezgrabnie na sofę i położył jej głowę na kolanach.

- Nie znasz jeszcze Antonii, piesku. To moja cudowna młodsza siostra.

Numer do Antonii miała zapisany w pamięci telefonu. Zerknęła na zegarek. Była za kwadrans jedenasta. Akurat tego wieczoru Antonia powinna być w Richmond Hill Community Theater, gdzie grała niewielką rolę we wznowionym niedawno spektaklu Oklahoma! Finałowe Okla-Okla-Homa-Homa powinno być zostać odśpiewane jakieś piętnaście minut temu. Siostra odebrała po trzecim sygnale.

- Breenie!

- Nie mów do mnie Breenie - automatycznie powiedziała Bree. - Gdzie jesteś?

- W teatrze.

- Wiem, że jesteś w teatrze. Co robisz w tej chwili?

- Wybieramy się z całą obsadą na imprezę do Tybałta. Dziś było ostatnie przedstawienie. Tylko raz wywołali nas przed kurtynę, Bree. Myślałam, że będzie owacja na stojąco, ale gdzie tam. Czy wiesz, dlaczego połowa widowni wstała?

- Żeby zdążyć przed korkami - powiedziała Bree.

- Żeby zdążyć przed korkami - przyznała Antonia z oburzeniem. - Masz pojęcie? My tam śpiewamy, tańczymy, teatr aż się trzęsie od naszych małych nóżek, a tamci chcą po prostu pójść wcześniej spać. Powiedz mi, gdzie się podziała zwykła przyzwoitość? Gdzie się podziały dobre obyczaje? Czy nikt już nie docenia prawdziwego kunsztu? Przede wszystkim to jest po prostu niemiłe.

- Wiesz, skoro już mówimy o zwykłej przyzwoitości, o dobrych obyczajach, o tym, co jest miłe - powiedziała Bree, nagle doprowadzona do wściekłości - to wyobraź sobie, że nie potrafię w żadnym stopniu, w żadnej formie ani w żadnej postaci zaakceptować twojego dzisiejszego figielka.

- Jakiego figielka?

- Powiem to w trzech słowach: Benjamin Skinner

- Czarne Serce.

- To cztery słowa. Kto to taki?

- Podejrzewam, że ani ty, ani profesor Cianquino nie mogliście wiedzieć, że on akurat dzisiaj umrze i narobi mi takiego wstydu - przyznała Bree. - Ale ten stary pryk właśnie to zrobił, dziś po południu, a ja oczywiście odzwoiłam do niego, i oczywiście odebrał ktoś z rodziny, no i zostałam kompletnie, ale to kompletnie upokorzona.

- Bree poczuła, że głos jej się łamie. Nie zdziwiło jej to. Dręczony pies, nawiedzona staruszka na cmentarzu, policja, kurierka z UPS, która napędziła jej stracha... dzisiejszego dnia stanowczo nie mogła uznać za udany. - To nie było zabawne!

- Ty płaczesz? - zawołała Antonia. - Bree, od kiedy skończyłaś liceum, mogłabym policzyć na palcach jednej ręki, ile razy zdarzyło ci się płakać ze smutku. No, może obu rąk - przyznała. - Raz, kiedy rozstałaś się ze Szczurem i'aytonem. Drugi raz po śmierci starego Sunny'ego. Tylko nie każ mi liczyć tych wszystkich sytuacji, kiedy płaczesz, bo jesteś wkurzona - to zupełnie inna bajka i w ogóle się nie liczy; musiałabym chyba być stonogą.

- Zaczekaj chwilę, co? - Bree wyciągnęła chusteczkę z kieszeni dzinsów i wysiąkała nos. - Po prostu miałam męczący dzień. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie udał ci się ten żarcik.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Naprawdę. Chcesz mi o tym opowiedzieć? Chcesz, żebym zostawiła tę imprezę przyjechała teraz do ciebie?

- Od ciebie do Savannah jest kawał drogi, a już dochodzi jedenasta. Nie, nie chcę, żebyś tu przyjeżdżała. Poza tym nie masz przypadkiem jutro wykładu?

- Ech, szkoła - powiedziała Antonia zatroskanym głosem i zamilkła.

Bree nie przerywała ciszy, jaka zapadła w słuchawce; miała wrażenie, że milczenie siostry jest podszyte poczuciem winy. Jej irytująca siostrzyczka najprawdopodobniej wyleciała z kolejnej uczelni. No, to by rozwścieczyło rodziców. Bree nie zamierzała jednak zwracać sobie tym teraz głowy.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie wycięłaś mi tego kawału na spółkę z profesorem Cianquino?

- Mówisz o tym starym pryku z prawa? Nie widziałam go od twojego ostatniego zjazdu absolwentów.

- Nie nazywaj go starym prykiem - powiedziała Bree. - Tak, właśnie o nim mówię. Skąd ci przyszło do głowy, że nie mogę sama sobie kupić przyborów biurowych?

Antonia nagle zaczęła dokładnie wypytywać.

- Może w końcu powiedziałabyś mi, o co chodzi? Bree powiedziała jej.

- Nie! Za nic w świecie, nie ma mowy. I ten stary pierdoła dziś po południu kopnął w kalendarz? O Boże. No, to na pewno nie ja. Obrażasz mnie, myśląc, że to ja. - Antonia westchnęła, jej głos złagodniał. - Ktoś ci wywinął wyjątkowo wredny numer, siostrzyczko. Szczerze współczuję.

- Jeśli nie ty, to kto?

-O Jezu, nie wiem. Może Szczur Payton? To mi wygląda na numer żadnego zemsty ekschłopaka.
 -Payton - powiedziała Bree. - A niech mnie. Może i masz rację.
 Ich związek skończył się fatalnie. To by nawet częściowo wyjaśniało, dlaczego profesor Cianquino pozwolił Paytonowi kupić telefon. Payton ukończył studia z wyróżnieniem w tym samym roku, co ona. Profesor Cianquino wyjątkowo go szanował za jego inteligencję. I nie mógł wiedzieć o ich rozstaniu, które nastąpiło raptem przed trzema tygodniami.
 - Jesteś tam jeszcze? - spytała Antonia. - Powiedz, jeśli to Payton, to czy masz zamiar go odszukać i odwiedzić z grabiami w ręku?
 - Jestem. Jeśli to Payton, nie mam zamiaru go odwiedzać z żadnym ogrodniczym narzędziem.
 - Grabiami potraktowałaś tamtego złodzieja w Home Depot - przypomniała jej Antonia.
 - Bo uciekając ze sklepu, pchnął na ziemię dzieciaka - przypomniała jej Bree. - Ostatnio tak łatwo tracę cierpliwość, że już mnie to nie bawi - wcisnęła chusteczkę z powrotem do kieszeni. - Wybacz, że się mażę. Chyba tracę zawodowe opanowanie.
 - Zachowaj je dla klientów - doradziła Antonia. - Nikt nie ma więcej zawodowego opanowania niż ty. Ale mnie możesz płakać do ucha, kiedy tylko chcesz.
 - Dobrze. Dzięki.
 - Oczywiście nikt też nie traci go lepiej niż ty.
 - Mogłabyś już przestać? - powiedziała Bree.
 - Co tam grabie. Pamiętasz, jak kiedyś w sądzie przechyliłaś się przez biurko i złapałaś tamtego gościa za gardło? Słyszałam, że zrobiłaś to w dwie sekundy.
 - Źle słyszałaś.
 - Na długo cię wtedy zawiesili? - niewinnie spytała Antonia.
 - Na jeden dzień. Złożyłam przeprosiny. W zasadzie wiałam się po ziemi jak robak - powiedziała ponuro Bree. Ale to było już parę lat temu. Czy od tamtego czasu zdarzyło mi się zrobić coś podobnego? - Nie.
 - Wiesz, myślę, że chyba jednak przyjadę, jeśli nie masz nic przeciwko. I tak chciałam wpaść do ciebie na parę dni. Wygląda na to, że przyda ci się pomocna dłoń.
 - Mam coś przeciwko. I niczego mi nie potrzeba - stanowczo powiedziała Bree. - Jutro wybiorę się do profesora Cianquino, może mi to wyjaśni. Potem mam kilka rozmów z ludźmi w sprawie biura. A ty wracaj na uniwersytet.
 - Ech, szkoła - powiedziała Antonia swoim zatroskanym tonem. - Wiesz, jeśli chodzi o szkołę...
 - Jeśli rzucisz uczelnię, mama z tatą obsiada cię jak pchły jeża. I nie licz na to, że ich wtedy powstrzymam.
 - No tak, to by było na tyle, jeśli chodzi o siostrzaną solidarność.
 - Skończ wreszcie te studia - ucięła Bree - bo na razie chyba nawet nie wiedziałabyś, jak to poprawnie napisać. Antonia rozłączyła się z szyderczym piskiem. Bree przełknęła resztkę wina.
 - Pomyślmy o tym jutro - zwróciła się do psa. Wzięła gorący prysznic, włożyła rozciągniętą koszulkę i poszła do łóżka. Kiedy już zasypiała, twarz ujrzana w balkonowym francuskim oknie pojawiła jej się przed oczami jak wyciągnięta z kapelusza. Usiadła, nagle zdjęta trwogą. To wcale nie była kurierka z UPS. Była tego pewna. Twarz za szybą należała do mężczyzny, miała najzimniejsze niebieskie oczy, jakie Bree kiedykolwiek widziała, i owinięta była pogrzebowym całunem.

Cztery

Wrrr... no dalejże, ohydo!

Robert Browning, Monolog z hiszpańskiego klasztoru

Spała. A kiedy spała, powrócił do niej dawny koszmar.
 Śniło się jej, że słyszy wrzaski tonących ludzi. Obudziła się z krzykiem, z prawą ręką wyciągniętą w stronę krzyczących, jakby chciała ich wyciągnąć z ciemnego, burzliwego morza. Ptaki za oknem królowały już na drzewach. Bree owinięła sobie koldrę wokół ramion, a potem wściekle potarła twarz obiema dłońmi.
 Ten sen nawiedzał ją w dzieciństwie. Nigdy się nie zmienił. Unosiła się na powierzchni nieznanego oceanu. W oddali majaczyła jakaś postać. Była to kobieta, czarnowłosa i bladooka, z rysami twarzy rozmytymi przez gęsty cień. Słyszała natrętny szum skrzydeł. Nie, nie szum - bicie skrzydeł, dudniące jej w głowie, w piersi i w płucach.
 I nagle w przestworach nieba rozlegał się huk rozdzierającego wybuchu, a morze podnosiło się, żeby ją zatopić. Niebiosa błyskały niekiedy mrocznym, śmiertelnym ogniem, a czasem światłem tak olśniewającym pięknym, że Bree aż chciało się płakać.
 Ogień i światło jednak wieszczyły śmierć. Ciała wynurzały się z głębin morza i spadały z burzowego nieba. Bezgłośnie i lekko wirowały wokół niej, muskały palcami jej policzki, omiały włosami jej ręce. Spadały jak liście z drzew. Raz po raz zanurzała się, by je ratować, lecz ciała wciąż się jej wymykały, a czarnowłosa kobieta bez twarzy wołała: „Bree”!
 Od wielu już lat nie śnił się jej ten koszmar.
 I nagle wrócił? Teraz, po tylu latach, tutaj, w tym komfortowym łóżu, w którym czuła się tak bezpieczna?

Bree poczuła dreszcz paniki i ściślej owinęła się kołdrą. Gdy była małą dziewczynką, a Antonia jeszcze brzdącem, matka przychodziła do niej w nocy ze słodką, gorącą herbatą i rozmawiała z nią, żeby odpędzić koszmar. Sen opuścił ją wreszcie, gdy miała dwanaście lat - zdawało się, że na dobre.

I oto powrócił.

- To ci nowina - powiedziała na głos. Włożyła szlafrok i spojrzała w lustro sekretarzyka. Spoglądała na nią jej własna dorosła twarz. Czoło miała zmarszczone, drżała jej dolna warga. A za jej plecami, przez ramię spoglądało na nią... co takiego? Obróciła się na pięcie, ale nie zobaczyła nic oprócz łóżka z baldachimem, pomietą pościelą i poduszkami rozrzuconymi po różowym dywanie. - Za dużo niesamowitości naraz - powiedziała głośno. - Weź się w garść, Beaufort. Od tej pory pijesz tylko dwie lampki wina. - Zanurzyła dłoń we włosach i mocno szarpnęła.

Poszła do kuchni zrobić sobie kubek mocnej kawy. Wypuściła Saszę na podwórko, a potem wpuściła z powrotem do domu. Później włożyła dres i poszła nad rzekę pobiegać. Kiedy wróciła, przyjemnie rozluźniona, koszmar był już tam, gdzie jego miejsce - głęboko w dzieciennych wspomnieniach. Potrafi o nim zapomnieć. Z całą pewnością potrafi o nim zapomnieć.

Nałożyła Saszy do miski trochę karmy z puszki, sobie nałożyła sobie do miseczki dwa opakowania jogurtu, dodała potężną garść słodkich płatków i usiadła przy kuchennym stole. Oboje jedli w zgodnym milczeniu. Sasza skończył pierwszy, po czym przykuśtykał do stołu i spojrzał na nią najwymowniej, jak tylko się dało: Co teraz?

Bree popatrzyła na niego.

- Co teraz? Praca. Spodziewam się, że z czasem będziesz potrzebował większych ilości tej swojej karmy, a ona nie jest za darmo.

Pierwsze pół godziny dnia postanowiła spędzić przy telefonie, umawiając się na wstępne rozmowy kwalifikacyjne. Resztę ranka poświęciła na zakup mebli i wyposażenia biurowego.

Obie wytypowane osoby zastała w domu. Ronald Parchese wręcz desperacko palił się do zmiany posady dekoratora witryn w sklepie Dillarda na bardziej sterylne środowisko kancelarii prawnej.

- Wymawia się Par-cze-ze - tłumaczył gorliwie. - Tak jak nazwę gry planszowej, tylko bardziej arystokratycznie.

Rosa Lucheta wspomniała dość nieśmiało, że zaliczyła wieczorowy kurs na asystenta prawnego i że tęskniła za emocjami prawniczego życia. Bree umówiła się z nimi na rozmowy w środę po południu przy Angelus Street, ufając, że do tego czasu zdoła przynajmniej częściowo wyposażyć biuro. Zadzwoiła do profesora Cianquino i zostawiła mu wiadomość, że dziękuje za prezent. Zaproponowała mu również, że kiedy tylko będzie wolny, mogą zjeść razem lunch w wybranej przez nich restauracji. Wreszcie usiadła do komputera i napisała zdawkowy list do pozostałych osób, które odpowiedziały na jej ogłoszenie; potem wydrukowała go i włożyła do kopert. Wzięła prysznic, przebrała się w jeden ze swoich eleganckich kostiumów służących za oficjalny strój i o dziewiątej zasiadła do drugiego kubka kawy. Jak na tę porę sporo już udało się jej zrobić.

- Tylko nie wymyśliłam jeszcze, co zrobić z tobą, Sasza. Zerknął na nią szybko, gdy usłyszał swoje imię. Leżał zwinięty na posłaniu z kołdry. Obandażowana tylna łapa sterczała pod nieprzyjemnym kątem, a gojące się rany na bokach musiały go swędzieć. Bree pamiętała o przykazaniu weterynarza, aby w ciągu kilku najbliższych dni dawać psu małe ilości jedzenia co dwie lub trzy godziny. Jak sobie poradzi z przeprowadzeniem rozmów, urządzeniem biura i opieką nad psem jednocześnie? Nie miała pojęcia, jak młode matki godzą karierę zawodową z opieką nad dziećmi.

Nie mogła zaniedbać pór karmienia. Rany na udach Saszy już zaczęły się goić. Oczy mu błyszczały i były pełne nadziei. Nawet futro wyglądało jakby schludniej. To zdumiewające, jak wiele potrafi zdziałać dobrze przespana noc i odpowiedni posiłek.

Bree oceniła w myślach stan swoich finansów i z miejsca odrzuciła myśl o wynajęciu kogoś do opieki nad psem.

- Może będę cię trzymać w samochodzie - powiedziała z wahaniem. - Pogoda jest całkiem przyjemna. - Rzeczywiście, dzień zapowiadał się jasny i przyjemnie chłodny. W październiku w Savannah nie było już wyczerpujących upałów, a posłanie wymoszczone na tylnych siedzeniach samochodu powinno zapewnić Saszy dostateczną wygodę. Alternatywą było wpadanie co jakiś czas do domu w ciągu dnia.

Nagle przyszło jej do głowy trzecie wyjście i uśmiechnęła się do siebie. Powinna była pomyśleć o tym wcześniej.

- Nic a nic nie przejmuj się tym psem - powiedziała z przekonaniem Lavinia, gdy Bree z wysiłkiem postawiła Saszę u jej stóp. - Przecie opatrzę mu te paskudne rany. Dajesz mu karmę ze sklepu? - cmoknęła z dezaprobatą. - Mam trochę duszonego kurczaka i ryżu. Zobaczysz, to go postawi na nogi. - Surowo spojrzała na Saszę. - Wiesz, co oni pakują do tych puszek? Gdybym ci powiedziała, ani chybi zwróciłabyś śniadanie.

Bree przyniosła z samochodu zrolowaną kołdrę, miskę na wodę i tekturowe pudełko z psią karmą, maścią i czystymi bandażami. Postawiła to wszystko u stóp schodów w korytarzu. Sasza pokuśtykał dokoła salonu, a potem wrócił i zwinął się w kłębek koło schodów.

- Jestem pani naprawdę wdzięczna, pani Mather.

- Lavinio. Musisz znowu zacząć mi mówić Lavinia.

Tym razem zamiast miękkiego swetra z szarej wełny miała na sobie miękki sweter z lawendowej wełny. Czarna spódnica sięgała jej aż do stóp obutych w domowe pantofle. We włosach upiętych w kok tkwiło coś, co wyglądało jak rumianek. Lavinia skrzyżowała ramiona i uśmiechała się promiennie do swojego zgnębnego pacjenta niczym niesforna matka chrzestna.

- Lavinio - posłusznie powiedziała Bree. - Jesteś pewna, że to nie za wielki kłopot? Wczoraj rano napomknęłaś o swoich pupilach, więc pomyślałam, że mogłabyś się troszkę zaopiekować i nim. - Spojrzała w stronę cudnie malowanych schodów prowadzących do mieszkania staruszki. Wyraźnie czuła przyjemny ziołowy zapach, ale z piętra nie dochodził żaden dźwięk. - Naprawdę nie chcę cię wykorzystywać.

- Nie tacy jak ty próbowali - odparła Lavinia. - To naprawdę drobiazg.

- Dziękuję - Bree wyciągnęła z aktówki kopertę z czynszem. - Wypisałam czek na dwa miesiące z góry i dodatkowo równowartość jednego miesięcznego czynszu jako kaucję. Jest tu też umowa. Chciałabym, żebyś rzuciła okiem na warunki i zastanowiła się, czy ją podpisać.

Lavinia przyjęła kopertę z wyraźnym zadowoleniem.

- Teraz wychodzę, muszę poszukać mebli i kupić parę rzeczy do biura.

- Po meble to tylko do ludków na Second Hand Rows - powiedziała Lavinia. - To taka misja dobroczynna przy Sinai Tempie. Znajdziesz ich przy bocznej Whitaker Street, koło Montgomery. Kupiłam u nich wiele rzeczy w dobrej cenie. Zdziwisz się, jak zobaczysz, co ludzie potrafią wyrzucić: zupełnie dobre sofy i inne takie. Wszystko przekazane na rzecz tych biedaczków, niech ich Bóg błogosławi.

Bree podziękowała jej za sugestię, choć nie była pewna, czy Lavinia błogosławi biedaczków czy ludków z Second Hand Rows. Nieliczne meble, które zostały jej po stryju, czekały w magazynie, aż skończy się remont starego biura.

Biec miała zamiar wstawić sobie do tymczasowego biura siarę biurko i fotel, musiała jednak urządzić miejsce pracy dla asystenta.

- Chciałabym zacząć się wprowadzać jutro rano. Na popołudnie mam umówione rozmowy kwalifikacyjne.

- Dobrze, że znów zamieszkają tu żywi ludzie - powiedziała Lavinia.

- No to jadę. - Bree pochyliła się nad Saszą i łagodnie pogłaskała po głowie. Pies z zadowolonym westchnieniem przycupnął niezgrabnie na drugim schodku. Jeden z pięknych renesansowych aniołów ze złocistymi warkoczami zerkał spomiędzy jego uszu.

- Zupełnie jakby go strzegł - zauważyła Lavinia, wskazując na malowaną postać. - A ty, piesku, wydobrzej jak najszybciej, żebyś mógł z powrotem strzec nas.

- Wrócę po niego przed szóstą - obiecała Bree. - Trzymajcie się z tym aniołem.

Wybiegła po ceglanych schodkach, uśmiechając się na myśl o dziwactwach staruszki, uradowana, że tak dobrze zaczął jej się dzień.

Jej gospodyni nie myliła się co do Second Hand Rows. Bree znalazła wygodną skórzaną kanapę i fotel, do tego starą skrzynię, na której można by serwować kawę i położyć czasopisma dla oczekujących klientów, oraz duży dębowy stół, tylko odrobinę nadgryziony zębem czasu.

- Dostałem to, jak zamykali bibliotekę przy Hudson Street - oznajmił lakoniczny sprzedawca. - Nie ma co, nie znajdzie już pani stołu tej wielkości. Dwanaście stóp długości, jeśli nie więcej. - Wyćwiczonym ruchem języka przesunął wykałaczkę z lewego do prawego kącika ust. - Czego pani sobie jeszcze życzy?

- Biurka, jeśli można - odparła Bree.

Sprzedawca potrząsnął głową. Był wysoki i chudy, miał zapadłą, suchotniczą pierś. Na wyblakłej koszulce z trudem dało się odczytać logo The Grateful Dead. Na prawym rękawie miał przylepioną papierową karteczkę z napisem: Cześć, jestem Henry.

- Biurka właśnie wyszły. Bree wyjęła kartę kredytową.

- W takim razie pozwól, że ureguluję rachunek, Henry. Henry skinął głową, zliczył wszystko w kasie i przesunął kartę przez czytnik.

- Myślisz, że dałoby radę zawieźć to na miejsce?

- Dowóz-dużych-mebli-gratis-do-dziesięciu-mil-od--sklepu - wyrecytował Henry, najwyraźniej mając praktykę w powtarzaniu tej formułki. - Urządza pani mieszkanie? Czy jak?

- Czy jak - odpowiedziała Bree. - Biuro. We wspaniałym starym domu przy cmentarzu na Angelus Street. Jestem prawniczką, właśnie otwieram kancelarię.

Henry popatrzył na nią.

- No ładnie. Angelus, he? Pani Mather przysłała panią?

- Znasz ten adres? To taki mały stary domek pośrodku cmentarza. Wiem, trochę dziwne miejsce na kancelarię prawną, ale Market Street jest blisko, no i czynsz jest przyzwoity. W salonie urządzam poczekalnię dla klientów. Są tam dobre drewniane podłogi, kominek, boazeria. Wygląda naprawdę, ale to naprawdę profesjonalnie.

- To nie mnie musi pani o tym przekonywać. Bree uśmiechnęła się do niego i zachichotała.

- Racja. Chyba trochę się wszystkim denerwuję. To raczej moich nowych klientów powinnam przekonać. O ile w ogóle będę jakichś miała - dodała z niepokojem.

- Angelus Street, mówi pani? Mam tu coś, co może chciałaby pani zobaczyć - poszedł na zaplecze i pochylił się nad stosami ubrań, garnków, patelni i naczyń. Pogrzebał w jednej ze stert w najdalszym kącie zaplecza i wyciągnął obraz. Uniósł go wysoko, trzymając tyłem do Bree. Obraz był całkiem spory, mierzył co najmniej czterdzieści cali długości. Bree wzięła głęboki oddech, spodziewając się, że za chwilę będzie zmuszona w czarujący, ale bezwzględny sposób podziękować i oświadczyć, że nie, nie życzy sobie mieć nad kominkiem w salonie żadnych klaunów, Elvisów w czarnych aksamitach, psów grających w pokera czy innych rewelacji.

Henry odwrócił obraz w jej stronę.

Bree niezdarnie cofnęła się o krok, jakby ktoś ją uderzył. Światło i dźwięk runęły na nią wściekle na podobieństwo olbrzymiego wodospadu.

Był to pejzaż z jej koszmaru. Ciemna, krwawa woda wirowała wokół wyciągniętych rąk utopionych i tonących ludzi. Na horyzoncie majaczyła niewyraźna sylwetka wraku okrętu, a na jego pokładzie stała ciemnowłosa, bladooka kobieta z niewyraźną twarzą, wyciągając ręce w geście rozpacz. Na niebie rozpościerał skrzydła olbrzymi ptak, zew śmierci i zniszczenia. Bree pojęła, że to kormoran, Król Rybak wśród ptaków, jak twierdzili niektórzy - wcielony diabeł.

Drżącymi rękami Bree zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu. Musiała do kogoś zadzwonić, musiała... co?

Weź się w garść, weź się w garść, weź się w garść! Uszczypnęła się mocno w ramię, samymi paznokciami, a potem jeszcze raz, aż na skórze pojawiła się kropelka krwi.

Nieświadom niczego Henry przyglądał się obrazowi.

- Ocean - powiedział. - Coś jakby wrak, a cała załoga w wodzie. - Podniósł wzrok. - Żdziebko ponure, nie?

Bree usiadła na rozklekotanym metalowym krześle i wcisnęła głowę między kolana. Tylko raz w życiu zdarzyło jej się zemdleć. Było to wtedy, gdy założyła się z siostrą o to, która z nich szybciej wjedzie pod Market Hill. Nie, teraz nie będzie drugiego razu. Nie będzie, jeśli się pozbiera.

- Chyba nie jest pani w ciąży? - spytał grzecznie Henry. - Mojej żonie się tak robiło, jak zaszła pierwszy raz. Ale tylko zaraz na początku.

- Nic mi nie jest - powiedziała Bree najspokojniej, jak tylko mogła. Uśmiechnęła się blado. - I na pewno nie jestem w ciąży.

Henry zamachał obrazem. Bree spojrzała na pejzaż, na ocean z jej koszmaru, i powiedziała stanowczo:

- Dziękuję, Henry, ale chyba lepiej będzie, jeśli najpierw umebluję sobie biuro, a potem pomyślę o... sztuce.

- Był tu kiedyś jeden koleś - mówił, że to obraz gościa nazwiskiem Turner. Albo kopia... czy jakoś tak.

- Chodziło mu pewnie o Statek niewolników - powiedziała Bree. Była dumna, że udało jej się opanować głos. - To bardzo znany obraz angielskiego malarza J.M.W. Turnera. Pod koniec osiemnastego wieku kapitan pewnego statku wyrzucił za burtę wszystkich chorych i rannych niewolników. To była straszna tragedia. Turner ją unieśmiertelnił.

Zmusiła się do tego, by dokładniej przyjrzeć się obrazowi. Może była to jednak kopia posępnego i straszliwego dzieła Turnera, a nie bezimienny ocean z jej snów. Niebo płonęło piekielną czerwienią, pomarańczą i żółciami. Morze wrzało gniewnymi barwami. Okręt wyglądał jak trumna.

Nie. To był jej ocean. Jej koszmar. Była tego pewna. Choćby ten cień olbrzymiego ptaka z rozpostartymi skrzydłami wiszący na niebie. Jeśli strach miał jakiś widzialny kształt, to był nim właśnie ten ptak. A twarze tonących rozbitków mieniły się kolorami wszystkich ludzkich ras. To nie był Statek niewolników, tylko coś bardzo podobnego.

Odwróciła się i wyszła ze sklepu na drżących nogach.

Dziesięć minut później siedziała nad filiżanką Java Jolt w ogródku kawiarni przy uczelni plastycznej na rogu Liberty i Abercrombie. Było jeszcze za wcześnie, żeby napić się wina. Zamówienie lampki wina przed obiadem nie oznaczałoby chyba, że jest skończoną alkoholiczką, prawda? Oczywiście, że nie. O tej porze jednak nie było co marzyć o znalezieniu otwartego baru. Choć na przykład taki Hooligan's przy Liberty Street na pewno był już otwarty, n tam mogli jej zaszerwować coś jeszcze mocniejszego od wina. Wzięła drżący oddech, zaśmiała się z siebie i zignorowała zaniepokojone ukradkowe spojrzenia studentów siedzących przy sąsiednim stoliku.

Kiedy zadzwoniła jej komórka, sięgnęła po nią tak niezgrabnie, jak gdyby palce miała połamane artretyzmem, a zarazem tak desperacko, jak gdyby to była kamizelka ratunkowa.

- Panna Beaufort?

- Profesor Cianquino! - opadła na oparcie metalowego krzesła. Spokojnie. Musi się uspokoić. Wbiła paznokcie w kolano; ukłucie bólu pomogło jej się skupić. - Tak się cieszę, że pan dzwoni - powiedziała radośnie. - Chciałam tylko podziękować panu za pamięć; to był naprawdę piękny prezent;

- Więc dotarł wczoraj wieczorem - powiedział profesor. Miał spokojny, jasny, wysoki głos. Kiedy coś go rozbawiło - co rzadko się zdarzało - wpadał w nadszpodziewanie piskliwy chichot. Ów śmiech w połączeniu ze zwartą, muskularną sylwetką i młodzieńczą energią sprawiał, że profesor kojarzył się Bree z gwiazdorem filmów akcji Jackie'em Chanem. Częściej jednak przypominał jej surowe wizerunki Boga z fresków Michała Anioła. Profesor Cianquino był znany z bezwzględności, z jaką wymagał od studentów intelektualnej dyscypliny, i narzucanych im rygorów. Na jego publiczne wykłady z historii prawa przychodziły tłumy. Jednak tylko garstka studentów odważyła się zapisać na jego seminarium. Dla tych, którzy to zrobili i wytrwali, zazwyczaj było ono przepustką do kariery uniwersyteckiej. Bree przebrnęła przez jego kurs na litościwych trójkach, a i tak uważała, że miała szczęście.

- UPS przywiozło mi paczkę do domu. Mam nadzieję, że odsłuchał pan moją wiadomość z podziękowaniami? Z przyjemnością zabrałabym pana na obiad.

- Obawiam się, że ostatnio raczej siedzę w domu - odparł profesor. - Odnowił mi się dawny problem.

- Bardzo mi przykro to słyszeć - powiedziała Bree i zamilkła, odrobinę zmieszana. Profesor Cianquino był człowiekiem oficjalnym i pełnym rezerwy. Nie było mowy, żeby się dopytywać o jego zdrowie. Ale przecież powiedział, że siedzi w domu, a nie, że leży w łóżku. Mieszkał w Melrose, nad samą rzeką. Bree była tam kiedyś na seminarium i mimo że urzekła ją kurtuazja profesora Cianquino, dom nie spodobał się jej, choć to dziwne, bo był naprawdę wspaniały, a sam profesor okazał się cudownym, choć nieokazującym serdeczności gospodarzem. Otrząsnęła się z wahania. - Czy mogę pana odwiedzić? - Przypomniała sobie, że mieszkanie profesora miało taras wychodzący na ogród. - Jeśli nie zacznie padać, wpadłabym do pana na mały piknik.

- Chemie - powiedział bez emocji. - Sympatyczny pomysł. Proponuję dwunastą trzydzieści.

- Czy jest coś, czego nie wolno panu teraz jeść?

- Ja mam problem z nogą, Bree. Nie z trawieniem - powiedział szorstko.

Bree rzuciła w odpowiedzi:

- Tak-jest! - i z trudem powstrzymała się przed zaskutkowaniem do telefonu. - W takim razie jesteśmy umówieni.

Wyłączyła telefon i skrzywiła się. Wśród uczestników owego seminarium w Melrose był Payton MacAllister. Szczur Payton. Zakochała się w nim, gdy siedzieli w porośniętej różami altance na tyłach domu profesora. Payton popisywał się długą, erudycyjną, pełną pasji obroną ustawy antytrustowej Sullivana; paradował alejką, a pod koszulką i szortami, które miał na sobie, widać było dostatecznie dużo mięśni, by Bree zaczęła wyobrażać sobie niewidoczną resztę.

Nie czuła się teraz na siłach, by stawić czoła tym wspomnieniom.

Zresztą nie tylko im. Sam dom miał w sobie coś nieprzyjemnie drażniącego. Może po prostu resztką zdrowego lo/sądku podpowiadała jej wówczas, że Payton zamierza /Inać jej serce. A może zwyczajnie zaczynała ją dopadać grypa, a ona potraktowała gorączkę i dreszcze jako skutki działania złej atmosfery domu. Jakkolwiek rzeczy się miały, mieszkanie profesora Cianquino przyprawiało ją o dreszcze i komfortowo czuła się w nim tylko w towarzystwie gospodarza. Zresztą czy to naprawdę był dobry pomysł, łchy rozmawiać z profesorem o wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin, wspominając jednocześnie l'uytonowe oczy, usta i mocną, muskularną pierś?

Może udałoby się jej podprowadzić profesora do samochodu i zabrać go gdzieś na obiad. Jeśli już od dawna siedzi w domu, pewnie nie miałby nic przeciwko temu

Głupia! - powiedziała do siebie głośno. Brakowało jej snu - to wszystko. Niespodziewany powrót dawno zapomnianego koszmaru również zrobił swoje. Niespecjalnie cieszyła ją też konieczność osobistej konfrontacji z Paytonem - o ile rzeczywiście to on był durniem, który udawał Skinera w jej telefonie.

Mięczak. Była mięczakiem. Z obrzydzeniem potrząsnęła głową, co studenci przy sąsiednim stoliku skwitowali prrsknięciami śmiechu, po czym wyszła do Park Avenue Market poszukać odpowiedniego prowiantu na piknik. Jeśli dopadł ją stres związany z Paytonem albo smuteczki na tle wydarzeń w Melrose, powinna spróbować odtruc Mię w towarzystwie biednego profesora albo dać sobie ze wszystkim spokój.

Pięć

Abym z pomocą wiecznej Opatrzności Umiał wyłożyć ludziom sprawy Boże.

John Milton, Raj utracony tłum. Maciej Słomczyński

Wyłożyć sprawy Boże ludziom Lepiej niż Milton umie wódzia.

A. E. Housman, Terence, to jakieś głupoty

Mieszkanie profesora Cianquino mieściło się na parterze Melrose, osiemnastowiecznej rezydencji plantatorów, zwróconej frontem do rzeki Savannah. Melrose'owie uprawiali bawełnę, mieli niewolników i jako jedni z pierwszych zaciągnęli się do armii konfederatów podczas wojny secesyjnej. Po bitwie pod Appomattox, która przypieczętowała klęskę Południa, wzburzony Francis Melrose sprzedał dom wraz z majątkiem bankierowi z Chicago i razem z żoną, siostrą i dwiema córkami wyjechał na Jamajkę. Tam zaczął uprawiać trzcinę cukrową i zmarł jako zgorzkniały staruch w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat.

Chicagowski bankier, który - jako zatwardziały Jankes - traktowany był przez mieszkańców Savannah z lodowatą niegościnnością, sprzedał posiadłość sufrażyście, z wyznania baptystce, która założyła w niej szkołę biblijną dla dobrze urodzonych pań. Po zamknięciu szkoły Melrose wielokrotnie przechodziło z rąk do rąk. W latach sześćdziesiątych piękny stary dom został skrupulatnie odrestaurowany przez architekta z Nowego Jorku, który następnie zbankrutował, doprowadzony do ruiny kosztami remontu. Dom został kupiony na aukcji przez pewnego emerytowanego sędziego, który z kolei podzielił go na sześć luksusowych mieszkań. Wynajął je ludziom podobnym do profesora Cianquino - lokatorom ceniącym sobie odosobnienie, ciszę i sąsiedztwo rzeki.

Z torbą pełną jedzenia na fotelu pasażera Bree podjechała długą drogą dojazdową do rezydencji i zwolniła. Dom wyglądał identycznie jak na widokówkach, tchnął atmosferą miejsca, które burzliwą przeszłość ma już za sobą i zażywa spokojnej, kojącej starości.

Melrose było oczywiście nawiedzone, choć Bree zupełnie nie przyjmowała do wiadomości, że towarzyszący jej ta niepokój może mieć coś wspólnego z duchami.

Bree za grosz nie wierzyła w duchy ani w życie pozagrobowe, ale bardzo jej się podobała opinia towarzysząca Savannah, jakoby było to najbardziej nawiedzone miasto w Stanach Zjednoczonych. Większość tutejszych duchów snuła się w pobliżu starych domów i cmentarzy w Historie District, wiele zamieszkiwało też stare plantacje na przedmieściach, takie jak Melrose. Bree nie pamiętała, ile dokładnie duchów nawiedza Melrose, ale była pewna, że co najmniej dwa. Jednym z nich, tym hałaśliwszym, była Marie-Claire. Za życia była kochanką rzeźnego pirata; utopiła się ze zgrzyoty, gdy pirat porzucił ją, zerwał z rozbojem i ożenił się z córką sędziego. Drugim duchem był prawdziwie przerażający syn pierwszych Melrose'ów; swojego ziemskiego żywota dokonał w przytułku dla

obłąkanych, gdzie wtrącono go po tym, jak w ataku szału zaszlachtował kilku niewolników. Spośród tych dwojga Bree wolałaby spotkać Marie-Claire. Razem poużalałyby się nad swoim brakiem szczęścia do mężczyzn.

Bree siedziała w samochodzie i zmagła się z kompletnie irracjonalnym pragnieniem, żeby zawrócić i odjechać do domu w Raleigh. Podjazd do posiadłości wysadzany był dębami wirginijskimi porośniętymi oplątą. W ogrodach wokół domu królowały późne odmiany róż, wybuchające ciemnożółtym, różowym, czerwonym i kremowobiałym kwieciami. Po obu stronach ceglanoego chodnika wiodącego do zielonych drzwi wejściowych kwitły wielkimi kulami dziurawiec.

Było tu naprawdę pięknie. Jeśli rzeczywiście zagościł tu smutek i nieszczęście, to raczej w jej sercu i jej myślach, a nie w murach domu.

Bree wysiadła z samochodu, przeszła ceglany chodnikiem, przerzuciła z ręki do ręki papierowe torby z Park Avenue Market i pchnęła drzwi wejściowe. W domu unosił się zapach starych książek i cytrynowego aerozolu do mebli. Podłoga w korytarzu była wyłożona sosnowymi deskami, wypolerowanymi na miodowozłoty kolor. Pod ścianą naprzeciwko drzwi stał piękny, stary mahoniowy kredens, a po obu stronach przysiadły olbrzymie orientalne wazy wypełnione suszonymi hortensjami. W tylnej części korytarza widać było szerokie schody prowadzące do mieszkań na pierwszym i drugim piętrze.

Profesor Cianquino mieszkał po prawej stronie, w apartamencie numer 2 - dawnej sali balowej. Bree zadzwoniła do drzwi, zastanawiając się, czy lepiej wejść do środka, czy poczekać, aż biedny profesor dokużyty przez cały salon, żeby jej otworzyć. Trzymała rękę na klamce. Zanim zdążyła się zdecydować, drzwi otworzyły się i ukazały profesora Cianquino - nie o lasce, lecz w fotelu na kółkach.

W pierwszej chwili Bree aż straciła dech. Profesor wyglądał bardzo źle. Nie dalej niż sześć miesięcy temu widziała go na wykładzie ze średniowiecznego prawa kanonicznego, na który wybrała się z kilkorgiem przyjaciół. Teraz była w szoku, widząc, jak bardzo się zmienił. Wychudł. Włosy miał zupełnie białe. Zapuścił też elegancką wąską bródkę, która nadała mu wygląd konfucjańskiego ascety.

Bree zamaskowała zaskoczenie uśmiechem i burzą powitalnych okrzyków. Jadąc na swoim wózku, profesor poprowadził ją z salonu do kuchni.

- Wstąpiłam do Park Avenue Market i uznałam, że najlepiej będzie nam smakować sałatka z kurczaka z curry, a na orzeźwienie nie ma nic lepszego niż sorbet owocowy.

Profesor zmierzył ją wzrokiem ze swojego wózka i powiedział sucho:

- Zwracasz się do mnie z kurtuazją prawdziwego południowca, Bree. Zachowujesz się tak tylko w chwilach, gdy jesteś wytrącona z równowagi. Musisz zachować zimną krew, moja droga. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś już na swoim. Czekają cię rozprawy sądowe.

- No tak. - Bree położyła torby na kuchennym stole.

- Cóż, oczywiście ma pan rację. Po prostu trochę się o pana martwię, to wszystko. Wygląda pan nie najlepiej... to znaczy, jakby już od dawna się pan kurował.

Wysłuchał ją uważnie, marszcząc brwi, i spytał z zainteresowaniem:

- Czyżbym aż tak bardzo się zmienił od naszego ostatniego spotkania?

- Jest pan znacznie chudszy - palnęła prosto z mostu Bree. - I zupełnie pan posiwiiał. No i ta bródka... - Ugryzła się w wargę. Antonia miała kiedyś koszulkę z napisem „Ratunku! Pomocy! Gadam i nie mogę się zamknąć!” Przydałaby się jej teraz: przypominałaby jej, żeby nie paplać bez zastanowienia.

- Wszystko się trochę... skomplikowało. Ale o tym porozmawiamy za chwilę. - Zerknął na torby z wiktuałami.

- Ależ smakowity zapach dochodzi z tych toreb. Sałatka z kurczaka z curry, mówisz? Mam Cabernet Franc, będzie do niej pasowało. A do sorbetu może Pinot Gris?

- Brzmi cudownie - najzupełniej szczerze powiedziała Bree. - Nakryć w ogrodzie?

Uśmiechnął się do niej.

- Przykro mi, ale nie mamy za dużo czasu na posiłek. Nakryj w moim gabinecie, dobrze? Musimy przedyskutować parę spraw, a czasu mamy niewiele. Mam pewne akta, z którymi powinnaś się zapoznać. Chciałbym ci przedstawić pewnego klienta. Bree była zdziwiona.

- Nie wiedziałam, że prowadził pan własną praktykę. Profesor uśmiechnął się blado.

- Miałem z tym trochę do czynienia. - Wprawnym ruchem nadgarstka obrócił w miejscu fotel. - Znasz drogę?

- Kiedy ostatnio ta byliśmy, chyba nie zapraszał nas pan do gabinetu.

- Za salonem. Na prawo od kominka. Rzeźbione drewniane drzwi. Przywiozę tylko wino.

Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. W oczach profesora znać było delikatność, surową inteligencję i coś jeszcze, co widziała po raz pierwszy. Może żal? Nie była pewna. Ale co mogło wzbudzić w nim żal?

Bree wzięła talerze, sztućce i kieliszki do wina. Z niemałym trudem udało jej się przenieść to wszystko wraz z jedzeniem przez cały salon. Gdyby profesor umeblował swoje mieszkanie tak jak jej ciotka Cissy, która uwielbiała rozmaite etażerki, małe stoliki i tapicerowane podnóżki, nie doniosłaby wszystkiego w komplecie. Profesor Cianquino miał jednak ascetyczny gust. Kremowa skórzana sofa przed kominkiem; fotel do czytania z dobrą lampą; sosnowe podłogi bez dywanów - to było wszystko. A na końcu salonu znajdowały się rzeźbione dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do jego gabinetu.

Przejście przez salon trwało długo. Czas wydawał się elastyczny jak guma. Było to drażniące uczucie, które jeszcze bardziej zintensyfikowało niepokój, jaki Bree zapamiętała z pierwszej wizyty. Dotarła do dwuskrzydłowych drzwi z uczuciem, jakby przebyła długą drogę.

Zawahała się przed wejściem do gabinetu.

Z trudem zwalczyła pokusę obejrzenia się przez ramię. Pomyślała o twarzy profesora Cianquino, z malującym się na niej dziwnym połączeniem smutku i determinacji. Ponownie skupiła uwagę na drzwiach. Były wykonane / drewna różanego i starannie rzeźbione w sferyczne motywy, tak pięknie ukształtowane, że aż zdawały się emanować delikatnym światłem.

Widziała już te sfery. Na ogrodzeniu otaczającym posesję Angelus Street 66.

Zaciekawiona otworzyła drzwi i weszła do środka.

Prostota i schludność salonu sprawiły, że zaskoczył ją nieład panujący w gabinecie. Zdumiona zamarła na moment. Czegokolwiek się spodziewała, ujrzała coś zupełnie innego. Miała osobliwe uczucie, jakby wróciła do domu. Pragnienie ucieczki odezwało się w niej ze zdwojoną siłą.

Niepewna, gdzie postawić naczynia, a jeszcze mniej pewna swoich uczuć, Bree zmusiła się do przekroczenia progu.

Pokój w całości wypełniały regały na książki, od samej podłogi aż po wysoki sufit. Półki były zapchane do granic możliwości. Książki były wszędzie. Oprawne w skórę, w twardych i miękkich okładkach, cienkie i grube - była ich nieprzebrana liczba. Jedną z półek zajmowało kompletne wydanie Oxford English Dictionary. Pod nim rozciągały się długie rzędy tomów oprawnych w brązową skórę, z czerwonym paskiem biegnącym przez grzbiety. Bree uczuła, że dręczące ją sprzeczne emocje ustępują uczuciu zupełnego zadowolenia. Znalazła się w bibliotece, a przecież zawsze kochała biblioteki. Obok regałów stał skórzany fotel. Bree postawiła na nim naczynia i torby z jedzeniem, po czym przesunęła dłońmi po brązowych tomach. Grube złote litery na czerwonym pasku wyglądały znajomo. Miała chyba do czynienia z kompletnym wydaniem Corpus Juris Secundum, klasycznej encyklopedii amerykańskiego prawa. Bree uśmiechnęła się z zadowoleniem. Drukowane wydania Corpus Juris Secundum można było znaleźć już tylko w najstarszych firmach prawniczych. Prawo zwyczajowe nieporównanie łatwiej i wygodniej było przeszukiwać w bazach internetowych, takich jak Lexis.

Bree zachichotała. Czas zaprezentować profesorowi Cianąquino zalety baz internetowych. Szukanie precedensów w klasycznej książce mogłoby być niesamowite, ale trwałoby wieki. Dzięki wyszukiwarce można było zaoszczędzić mnóstwo czasu.

Bree rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby nakryć do posiłku. Przez środek pokoju biegł dębowy stół, długi na jakieś piętnaście stóp - jeśli nie więcej. Piętrzyły się na nim najrozmaitsze kurioza: gliniane garnki, waga, stos ubrań uszytych z czegoś, co wyglądało jak stęchłe workowe płótno. Leżał tu nawet okazały miecz w grubej pochwie.

Zaś na środku stołu stała duża klatka z ptakiem.

Bree zamrugała do niego. Ptak odmrugnął do niej i powiedział:

- Cześć.

- Cześć - odpowiedziała Bree.

- Cześć.

Za jej plecami rozległo się skrzywienie wózka, odwróciła się więc i powitała profesora uśmiechem.

- Pewnie mógłby tak przez cały dzień?

- Nie sądzę - powiedział ptak.

- Czy to żako? - spytała Bree z zainteresowaniem. - Czytałam gdzieś, że takie papugi mogą się nauczyć ponad dwustu słów.

- Papugi! - powiedział ptak i splunął. - Nie sądzę!

- Cicho, Archie. - Profesor Cianąquino trzymał na kolanach dwie butelki wina. Wskazał kąt pokoju, w którym stał mały stolik do gry w karty. - Myślę, że tam możemy usiąść.

Bree zdjęła ze stolika ryżę papieru, kilka teczek z aktami i bieżące wydanie „Savannah Daily”. Wetknęła to wszystko na najbliższą półkę, nad serię książek pod tytułem Koran z komentarzem.

- Zostaw tę niebieską teczkę i gazetę. Chcę, żebyś przejrzała i jedno, i drugie, kiedy będziemy jedli.

Bree spojrzała na niego zdziwiona. Profesor uśmiechnął się.

- Wynajęłaś lokal na kancelarię i zaczynasz własną praktykę?

- No tak. Właściwie zamierzam zacząć. Kupiłam dziś Irochę mebli. Zaplanowałam też układ biura, ale właścicielka posesji nie chce podpisać umowy.

Wzruszył ramionami.

- Może umowa nie będzie ci potrzebna. Mam dla ciebie sprawę. Kiedy już się urządzisz, możesz ją wziąć. Ale o szczegółach porozmawiamy po posiłku.

Bree nałożyła sałatkę do przekrojonych maślanych bułeczek, profesor nalał wino do kieliszków. Siedziała na bardzo niewygodnym, rzeźbionym drewnianym krześle, z talerzem na kolanach, lampką wina w dłoni, i postanowiła: teraz albo nigdy.

- Profesorze Cianąquino, jestem panu bardzo wdzięczna za pamięć. Te przybory biurowe - i telefon! Jest cudowny! Chociaż mam już telefon i nie jestem pewna, czy mogę zerwać moją umowę z Verizonem. Ale i tak serdecznie panu dziękuję.

Uśmiech profesora jeszcze się rozszerzył.

- Uwielbiam te południowe maniery. Czasami przypominają mi maniery Chińczyków, którzy są ludźmi o niebywałej wręcz kurtuazji. Nie muszę chyba mówić, że pod twoją uprzejmością słyszę ukryte „ale”.

- Ten prezent podcina mi skrzydła - powiedziała Bree ze smutkiem. - To jest jak...

- Oczywiście nie musisz przyjmować tego prezentu. Jednak zanim go zwrócisz, chciałbym, żebyś przemyślała wszystkie konsekwencje tej decyzji. Chodzi mi zwłaszcza o telefon. To środek komunikacji, z którego raczej nie powinnaś rezygnować.

- Nie jestem pewna, czy pana rozumiem - powiedziała Bree.

Profesor wsparł łokcie na oparciach swojego fotela i zaplótł palce.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, od czego zacząć. - Myślał przez chwilę, a potem spytał: - Czy odebrałaś telefon od Benniego Skinnera?

Bree zatrzymała bułeczkę w pół drogi do ust.

- Słucham?

Profesor zastygł z lekko pochyloną głową, jak gdyby nasłuchiwał.

Bree odłożyła swoją kanapkę na talerz. Nie była głodna.

- Raczej nie. Nie odebrałam. - Spojrzała na niego przymrużonymi oczyma. - Wie pan, że on zmarł wczoraj po południu?

Profesor Cianąquino wskazał jej gazetę. Nagłówek na czołówce oznajmiał: Sławny miliarder nie żyje.

Bree znów wzięła do ręki kanapkę i z powątpiewaniem wpatrywała się w gazetę.

- UPS dostarczyło mi paczkę najwcześniej o ósmej trzydzięci. Telefon rozpakowałam około dziewiątej. Zadzwoił jakieś dziesięć minut później. Myślę, że połączenie musiało nastąpić z jakimś opóźnieniem. - Machnęła bułką w powietrzu, rozsypując sobie na kolanach kawałki kurczaka. - Chyba musiał być jakiś techniczny defekt, bo przecież ten biedak nie mógł zadzwonić do mnie po śmierci.

- Miał prawo do jednego telefonu - powiedział profesor Cianąquino w zamyśleniu.

Bree przełknęła, zakrztusiła się i spróbowała się zaśmiać najbardziej beztruskim śmiechem, na jaki było ją stać.

- Jest jeszcze taka możliwość, że to jakiś żartowniś zadzwonił i udawał, że jest Skinnerem. Myślałam nawet, że ktoś panu pomagał przygotować ten prezent... - zawahała się. - Wie pan, ktoś, kto mnie dobrze zna. A potem może ten ktoś sobie pomyślał, że byłoby zabawnie zrobić sobie ze mnie żarty.

- Masz na myśli Paytona McAllistera? - profesor Cianquino uśmiechnął się. - To nie on. Owszem, ktoś mi pomagał, ale nie w taki sposób. I nie było żadnego technicznego defektu.

Bree odłożyła kanapkę i sięgnęła po kieliszek wina. Czy każdy mieszkaniec południowo-wschodnich Stanów wiedział, że Szczur Payton ją zostawił? Wypiła porządny łyk, żeby ukryć rozdrażnienie. Profesor skrzywił się z dezaprobatą. Przyznała w myślach, że to rzeczywiście zbyt dobre wino, żeby je pić takimi haustami, ale w końcu co tam. Dopiero po chwili dotarła do niej reszta z tego, co mówił profesor Cianquino, i wypila kolejny łyk. Następnie zadała uprzejmie pytanie:

- Czyli chce mi pan powiedzieć, że ten Benjamin Skinner o czarnym sercu zadzwonił do mnie po śmierci? Że to był telefon od ducha?

Mówiła grzecznym i rozsądnym tonem. Najwyraźniej nie tylko noga doskwierała profesorowi Cianquino. Przez króciutką chwilę wybrzmiał jej w głowie wers z Hamleta: „O, jak szlachetny umysł tu zniszczono!”¹

Profesor wpatrywał się w nią uparcie.

- Powiedz mi, co jest najcenniejszą informacją spośród wszystkich, jakie wyniosłaś z moich zajęć?

Bree nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią. Profesor wbijał to do głów wszystkim studentom.

- „Prawdę wskaże ci doświadczenie”.

- I jaki wyciągasz z tego wniosek?

Bree spojrzała na niego, niepewna, do czego zmierza.

- No cóż, chyba taki, że można sobie o czymś gadać do woli, ale i tak nie można tego pewnym, dopóki nie spróbuje się samemu.

Skinął głową.

- Że jedynym sposobem osiągnięcia prawdziwej wiedzy jest doświadczenie. Mogę gadać sobie do woli o tym, kto do ciebie dzwonił i dlaczego zależy mi na tym, byś wzięła tę sprawę, ale dopóki nie doświadczysz tego osobiście, i tak mi nie uwierzysz. - Wyciągnął rękę nad stołem i na krótką chwilę położył ją lekko na jej dłoni. - Zapewniam cię, że odróżniam jastrzębia od gołębia.

- Hamlet, Hamlet, Hamlet! - zawołał ptak.

- Cicho bądź, Archie. - Ptak usiadł, nadąsany, na swoim drażku. - Chciałbym, żebyś wzięła sprawę Skinnera, Bree. Zależy mi tylko na tym, żebyś dobrze zaczęła swoją praktykę.

Bree spojrzała na kieliszek, który trzymała w dłoni. Był pusty. Ostrożnie odstawiła go na stół.

- Z całym szacunkiem, panie profesorze... Usłyszeli daleki dźwięk dzwonka. Profesor Cianquino uruchomił wózek.

- O, jest przed czasem.

Bree wlepiła w niego wzrok. Przecież Benjamin Skinner był martwy. Reporterzy trzech stacji kablowych nie mogli się pomylić. Nie mogli, prawda?

- Pozwól, że cię przeproszę, muszę ją przyprowadzić. Może mi to zająć chwilę. Zaczekaj, proszę. Skończ w tym czasie swój posiłek.

Profesor wyjechał z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Bree skubała resztę swojej bułki. Nalała sobie kolejną lampkę wina. Próbowowała nie myśleć o tym, że najbardziej szanowany wykładowca prawa z jej uczelni zaczyna bredzić jak wariat.

Uruchomiła logiczne myślenie. Przecież powiedział „przyprowadzę ją”. Skoro powiedział „ją”, to nie przyprowadzi żadnego widma, ducha, zjawy, upiora, rozkładających się zwłok ani żadnych innych pozostałości po Benjaminie Skinnerze. Benjamin Skinner to z pewnością był „on”, zgodnie z tym, co wczoraj wydyszała do telewizyjnych kamer jego pneumatyczna blond lala.

Bree oparła się na krześle. To głupota. Profesor Cianquino nie zbzikował. To ona zbzikowała. Z kilku złych snów, telefonicznego żartu i paru przywidzeń ulepiła sobie coś dziwnego. Czy profesor wspomniął choć jednym słowem o duchach? O życiu pozagrobowym? O wampirach? Ani jednym.

Bree sięgnęła po niebieską teczkę i otworzyła ją. Były tam informacje na temat niejakiej Liz Overshaw, będącej - jak się zorientowała, przebiegając wzrokiem po aktach - większościowym udziałowcem w firmie Skinner Worldwide Inc. No proszę. A zatem nie dość, że bogata klientka, to jeszcze sprawa z jej ogródka. Bree miała w małym palcu korporacyjne prawo podatkowe. Rzuciła teczkę z powrotem na stolik i zaczęła chodzić niespokojnie po pokoju.

- Ty wiesz, czym głównie zajmowałam się na studiach, prawda? - spytała ptaka. - Był to...

- Biznes - odparł ptak. - Korporacyjne prawo podatkowe. Bree przełknęła, wzięła głęboki oddech, a następnie podeszła do stołu, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Jak go nazywał profesor? Archie.

- Hej, Archie - zagadnęła.

Ptak mrugnął jednym okiem, przesunął się na drażku i zaczął gorączkowo dziobać zawieszony w klatce kawałek mątwy. Jeśli to było afrykańskie żako, nie przypominało żadnego żako, jakie Bree kiedykolwiek widziała. Ptak był duży, wielkości żako, ale upierzenie miał w kolorze sepii czy brązu, z czarnymi i złotymi prążkami. Jeśli przypominał jakiś gatunek ptaka, to raczej sowę. Tylko że z tego, co wiedziała (a skąd wiedziała, było dla niej zupełną zagadką miała skłonność do gromadzenia dziwnych oderwanych faktów), sowy nie mówią. Co więcej, wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu należą do najgłupszych ptaków w całej podniebnej hierarchii.

- Kto jest głupi? - spytał wyzywająco Archie i kłapał swoim śmiertelnie wyglądającym dziobem. Zabrzmiało to jak dźwięk kosy wbijającej się w ciało.

Nagle Bree zauważyła, że po pierwsze, klatka pozbawiona jest drzwiczek, a po drugie, Archie ma szpony długości jakichś dwóch cali. Cofnęła się. Podeszła do drzwi

i zawahała się, słysząc dobiegające z drugiej strony głosy. Liz Cwershaw jako pierwsza klientka to był nie lada kąsek. Profesor kazał jej zaczekać. Może zaczekać. Wróciła do półek z książkami, pogwizdując beztrudnie i próbując nie zerkać nerwowo przez ramię.

- Wzięła do ręki pierwszy tom Corpus Juris Secundum, podziwiając miękkość cielejącej skóry. Przesunęła palcami po wypukłym złotym literactwie na grzbiecie i w łagodnym świetle gabinetu odczytała tytuł. Nie było to Corpus Juris Secundum. Złote litery oznajmiały:

Corpus Juris Ultima

Ostateczność, kompletność - w prawie precedensowym?

Z książki wysunęła się znajomo wyglądająca zakładka. Ekslibris był kopią starego drzeworytu i przedstawiał mężczyznę w średniowiecznym stroju, spiczastej czapce na głowie i z gęsim piórem w dłoni. Pod ryciną widniał napis:

Z księgozbioru Franklina Winston-Beauforta

Książki ze zbiorów stryja Franklina? Bree zanurzyła dłoń we włosach. Zapamiętała stryja jako surowego, zasadniczego mężczyznę, który każdego człowieka traktował z jednakową galanterią. Był sędzią, przez wiele lat zasiadał w sądzie siódmego okręgu. Nie wyobrażała sobie, żeby ktokolwiek mógł być w mniejszym stopniu zainteresowany wydumanymi, fantastycznymi żartami.

A może chodziło o przypadki rozstrzygane tylko w Sądzie Najwyższym? Otworzyła książkę i przeczytała:

Lucyfer kontra Sąd Niebiański (rok 1)

Bree gapiała się w książkę jak sroka w gnat. Co to za szaleństwo?

Corpus Juris Ultima ze zbiorów stryja Franka był wydany identycznie jak Corpus Juris Secundum.

Tylko że opisywane przypadki były kompletnie niedorzeczne.

Przedmiotem sprawy Lucyfer kontra Sąd Niebiański było bezprawne zwolnienie z pracy. Powód utrzymywał, że padł ofiarą uprzedzeń klasowych; powoływał się na jedną z siedmiu cnót kardynalnych, mianowicie caritas, która, o ile Bree sobie dobrze przypominała, stanowiła najwyższą formę miłości. Argumenty obrony powoływały się na wszystkie siedem grzechów głównych, szczególnie mocno - i szczególnie przekonująco - akcentując grzech pychy. Bree z niemałym zdumieniem przejrzała streszczenie obrony; Lucyfer miał całkiem niezłą kartotekę. Czytała dalej, chichocząc; był to wymuszony, przerażony chichot - ale jednak chichot. Jako pastisz było to całkiem zabawne. Wydumane, ale całkiem zabawne. Postanowienie sądu nie było zaskoczeniem: Lucyfer został odesłany do aresztu i skazany na odsiadkę w piekle przez całą wieczność, mając niewielkie - o ile w ogóle jakiegokolwiek - szanse na apelację.

Ktoś musiał spisywać to wszystko przez długie lata. Chyba nawet cała grupa ktosiów. Ale ten wytwór wybudanej fantazji nie był przecież odosobniony. Wystarczyło wejść do pierwszej z brzegu księgarni Borders, żeby znaleźć uczone tomiścza poświęcone jednorożcom, smokom i wiedźmom. Nie wspominając o wampirach, wrózkach i wilkołakach.

Zresztą jeśli już ktoś miał ochotę na takie fanaberie, prawo niebiańskie było tematem stosunkowo racjonalnym. Na pewno lepiej się nadawało do akademickich rozważań niż na przykład elfy. Bree przebiegła wzrokiem po rządach wspaniale oprawionych tomów. Fanaberia stryja Franklina miała po prostu wyjątkowy rozmach. Widać było, że parał się nią człowiek, który niczego nie robi na pół gwizdka.

Drzwi do salonu się otworzyły. Bree podskoczyła, speszona, jak gdyby przyłapano ją na czytaniu cudzej korespondencji.

- Odłóż-to, odłóż-to, odłóż-to - zakrzeczał Archie. Bree rzuciła ptakowi gniewne spojrzenie, ostrożnie zamknęła tom pierwszy i wsunęła go z powrotem na półkę.

- Czekamy na ciebie, Bree - powiedział profesor Cianquino. - Pozwól do nas, proszę.

Bree wzięła niebieską teczkę z informacjami na temat Liz Cwershaw i śladem jego wózka skierowała się do salonu.

Sześć

Nie proszę rajów odległych widoku, Starczy promy czek dla jednego kroku.

John Henry Newman, Prowadź mnie, Światło...

tłum. Zygmunt Kubiak

Liz Cwershaw siedziała na kremowej skórzanej sofie naprzeciw kominka, z nogą założoną na nogę. Bree знаła ją ze zdjęć w gazetach i czasopiśmie. Liz była główną dyrektorką finansową w Skinner Worldwide Inc. Jej sukces rzucany był mediom w twarz przez światek amerykańskiego biznesu, ilekroć przed jakimś sądem federalnym dochodziło do procesu

Odyskryminację płciową. Liz dobiegała pięćdziesiątki, była bardzo chuda, a do tego sprawiała wrażenie wypolerowanej

Inapiętej, co zdradzało spore sumy pieniędzy wydawane na chirurgów plastycznych. Ubrana była u Armaniego, w konwencjonalny kostium z beżowej gabardyny. Na ręce miała wysadzane szafirami i diamentami Rolexa, a w uszach olbrzymie kolczyki z pereł, najwyraźniej prawdziwych. Jej siwiejące włosy były krótko ostrzyżone, nieuczesane i tęskniły za szamponem. Szminka na jej wargach była w znacznej części zjedzona, zaś w worki pod oczyma - jak powiedziała by Antonia - można by włożyć zakupy.

Liz wpatrywała się zamyślonym wzrokiem w podłogę i palcem wskazującym nerwowo obracała Rolexa wokół nadgarstka. Podniosła wzrok na zbliżającą się Bree, a potem spojrzała z ukosa na profesora Cianquino.

- Wygląda jak albinos.

- To przez te włosy, Liz - odparł profesor. - Rzeczywiście, taki srebrny blond jest rzadko spotykany.

- Na twoim miejscu bym je ufarbowała - Liz zwróciła się do Bree. - Ale ty pewnie lubisz zwracać na siebie uwagę. Powiem ci coś, młoda kobieto. Jeśli chcesz być poważnie traktowana przez poważnych ludzi, nie możesz wychodzić przed orkiestrę. A już na pewno nie powinnaś wyglądać jak głupia modelka. Świat biznesu jest już wystarczająco nieprzyjazny dla kobiet, zwłaszcza na Południu.

Bree wzięła głęboki oddech, otworzyła usta, a potem zaczęła chichotać. Najpierw gadające sowy, potem wielotomowa encyklopedia niebiańskiego prawa, a teraz bezsprzecznie najbardziej nieprzyjemna kobieta, jaką kiedykolwiek zdarzyło jej się spotkać. To wcale nie Szczur Payton był winien, że tak źle się czuła w Melrose, tylko szaleńcy, którzy się tu pojawiali.

- Ojej - powiedziała. - Tak mi przykro. Powiem pani, panno Overshaw, że ostami kontakt z modelkami miałam jakieś dwadzieścia pięć lat temu, kiedy lepiłam w przedszkolu ludziki z plasteliny. A co do głupoty, to oceni pani sama po naszej rozmowie.

Liz Overshaw spojrzała na nią zimno.

- Cianquino, to pomyłka.

- Przekonasz się, że to idealny prawnik do tej sprawy.

- Profesor wskazał Bree drugi koniec sofy. - Usiądź, proszę.

Jego chłodny profesjonalizm zgasił atak wesołości Bree jak kubek zimnej wody. Usiadła.

- To jest Liz Overshaw. Bree skinęła głową.

- Miło mi.

- A mnie, do diabła, wcale nie jest miło. - Liz odchrząknęła z nieprzyjemnym bulgotem. - Ta sprawa ze Skinnerem...

- znów odchrząknęła. - Musimy coś z tym zrobić.

- Była pani - i pewnie nadal jest - starszą współpracowniczką w jego najbardziej znanej firmie, Skinner Worldwide Inc.? - zagadnęła Bree. Jej matka lubiła przypominać obu swoim córkom, że do łapania much lepszy jest miód niż ocet, dlatego dodała: - Oraz, jak wiedzą wszystkie kobiety w biznesie, skuteczną i powszechnie podziwianą dyrektorką finansową.

Liz przeczesła włosy obiema dłońmi.

- Taaa. I jeżeli uda mi się ogarnąć finanse firmy, będę leż jej większościowym udziałowcem. Skinner pozostawił swoim partnerom możliwość dysponowania jego akcjami. Musimy tylko - to znaczy muszę - zdecydować, czy wykupię je sama, czy znajdę odpowiedniego kupca.

Taki układ nie był niczym nadzwyczajnym; często się zdarzało, że właściciele akcji swoich spółek nie chcieli dopuścić, by po ich śmierci kontrolę nad firmą przejęła rodzina. Bree zrobiła notatkę w aktach.

- Czy to jakiś problem? Liz z irytacją machnęła ręką.

- Nie, na miłość boską. Nie dlatego tu jestem. Czy myślisz, że gdybym potrzebowała doradcy finansowego, rozmawiałabym z tobą? - spojrzała z ukosa na Bree i ściągnęła usta. - Nie, żebym uważała, że jesteś niekompetentna. Cianquino nie zadaje się z idiotami.

- Jak zatem mogę pani pomóc?

- Powiedziałam ci już. Muszę coś zrobić ze Skinnerem, zanim mnie zamkną w psychiatryku. - Wbiła wzrok w profesora. - Jesteś pewien, że mogę jej zaufać?

Profesor uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie mógłbym ci zarekomendować nikogo lepszego. Jej kwalifikacje są wyjątkowe.

- No dobra - powiedziała kwaśno. - Świetnie. - Nabrała powietrza, a potem wypuściła je z głośnym „paa!” - Czytałaś doniesienia o śmierci Skinnera?

- Tak, w gazecie - odparła Bree. - Sporo też mówili o tym w telewizji.

- Raport koronera stwierdza, że Skinner zmarł na serce. Że dostał zawału i utonął. Ale on wcale nie utonął.

- Zawał serca nie jest rzadkością wśród mężczyzn na stanowiskach, którzy przekroczyli sześćdziesiątkę - grzecznie powiedziała Bree. - Zresztą, czy to możliwe, żeby lekarz sądowy się pomylił? Zwłaszcza badając kogoś tak znaczącego, jak Skinner?

- Znaczącego sukinsyna, chciałaś powiedzieć - powiedziała Liz. Znowu wydała z siebie to charkliwe chrząknięcie, niczym Felix Unger w Dziwnej parze, nieustannie powtarzanej w telewizji. Bree spuściła wzrok i zaczęła się przyglądać swoim palcom u nóg. Liz nie mogła tego opanować, najwyraźniej miała problemy z gardłem. Ale z pewnością mogła to robić nieco ciszej.

- On został zamordowany. Bree podniosła wzrok.

- Słucham?

- Został zamordowany. Ale nie powie mi jak. Nie może mi powiedzieć jak, bo rzeczywiście trafił go zawał i następną rzeczą, jaką pamięta, było to, że unosi się nad swoim ciałem leżącym w kostnicy i zastanawia się, co, do diabła, się stało. Widziałaś te wywiady po jego śmierci? Jedno z tej czwórki jest mordercą.

Bree nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

- Carlton Montifiore, Douglas Fairchild, John Stubble-field i Chastity McFarland - powiedziała Liz ze zniecierpliwieniem. - Widziałas ich?
- Tak, widziałam te wywiady - Bree starała się nie patrzeć na profesora. Gdyby napotkała jego spojrzenie, przestraszyłby się wyrazu jej twarzy. - Tak chyba twierdziła ta młoda kobieta, która była jego ostatnią partnerką
- powiedziała dyplomatycznie. - Że został zamordowany.
- Tak, ta głupia dziunia - bez emocji powiedziała Liz.
- Do diabła, może ona rzeczywiście coś wie. - Zaciśnęła usta i wpatrywała się w swoje dłonie, najwyraźniej nie mając ochoty nic więcej mówić.
- Pani natomiast wie, że został zamordowany, bo...
- zaczęła Bree i zawiesiła głos.
- Bo mnie nawiedza! - wybuchła Liz. - Ten gnojek nie chce zostawić mnie w spokoju!

Bingo. Liz była nawiedzana przez ducha. No jasne. Trzeba przyznać, że w Savannah było to zupełnie na miejscu. Najlepszym miejscem, żeby poskarżyć się na ducha, było najbardziej nawiedzone miasto w Ameryce. Cóż, trzeba przyznać, że wyznanie Liz częściowo wyjaśniało jej ordynarne zachowanie. Bree nie umiałaby chyba na tyle zaufać zupełnie obcej osobie, żeby powierzyć jej taką bzdurę. Agresja Liz bez wątpienia miała charakter obronny.

Bree nie pozwoliła sobie na głośny komentarz. Skinęła tylko skwapliwie głową i powiedziała:

- Rozumiem.
- Cholera jasna, dobrze wiem, że mi nie wierzysz warknęła Liz. - Myślisz, że jestem wariatką.

Pierwszą rzeczą, jakiej każdy przyszły prawnik uczy się na studiach, jest to, że pełnomocnictwo jest rzeczą świętą. Prawnik ma absolutny obowiązek obrony swojego klienta i dbania o jego interesy przy użyciu wszystkich środków prawnych, jakie tylko ma do dyspozycji. Nie istnieje odpowiednik przysięgi Hipokratesa dla prawników, ale Bree była pewna, że gdyby istniał, brzmiałby mniej więcej tak: „Przysięgam troszczyć się o interesy, prawa i dobro klienta aż do ostatniej kropli mojej krwi, unikając osobistych uprzedzeń i jakiegokolwiek stronniczości”.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że trafiła na wariatkę. Gdyby profesor Cianquino nie siedział na wózku, Bree przyłożyłaby mu w głowę czymś dostatecznie dużym, by raczył zwrócić na to uwagę. To on chciał, żeby wzięła tę sprawę. Zarekomendował ją jednej z najbardziej wpływowych kobiet w kręgach biznesowych stanu Georgia. Gdyby Bree zdarzyło się kiedyś sporządzić listę klientów, dla których życzyłaby sobie pracować przyszła firma Beaufort sp. z o.o., na pewno znalazłaby się na niej ta szalona kobieta.

Ale przecież może wstać i powiedzieć „nie”. No tak, tylko że równałoby się to popełnieniu zawodowego samobójstwa, i to zanim jeszcze zdąży wstawić sobie do kancelarii biurko i podłączyć telefon. Ze smutkiem pomyślała o swoich przyborach biurowych; przynajmniej to już miała J z głowy. Dlatego powiedziała tylko:

- Uważam, że jest pani pod wpływem olbrzymiego stre- ; su. Bardzo mi z tego powodu przykro. I w miarę możliwości chciałabym pani pomóc.
- Cianquino twierdzi, że możesz. - Liz wzięła głęboki, drżący oddech. - Dłużej już tego nie znoję. Dziś w nocy] nie zmrużyłam oka.

Bree spojrzała na jej obgryzione paznokcie, nieumyte i włosy, a przede wszystkim wyczuwała w niej desperację. Szczerze jej współczuła. Liz Cwershaw naprawdę była doprowadzona do ostateczności. Może udałoby się ją przynajmniej namówić, żeby poszła do lekarza i wzięła tabletki nasenne.

- Oczywiście postaram się pani pomóc - powiedziała z niekłamana delikatnością. - Jakich efektów pani oczekuje? Co mam zrobić?
- Najlepiej gdybyś odesłała Skinnera z powrotem tam, skąd przyszedł - odparła Liz. - Cianquino jednak twierdzi, że nie da się tego zrobić. Przynajmniej nie teraz, tak? - uniosła pytająco brew.
- Nie teraz - zgodził się profesor.
- Odesłać go? - spytała Bree.

Profesor Cianquino upomniał ją surowym spojrzeniem. Bree posłusznie zamilkła.

Liz znów zaczęła obracać zegarek na nadgarstku.

- Dlatego, skoro nie możemy odesłać go z powrotem tam, skąd przyszedł, chcę, żebyś udowodniła, że został zamordowany. On właśnie tego żąda ode mnie. Żebym złapała jego mordercę. On chce zemsty. Chce sprawiedliwości. I tak jak miał to w zwyczaju za życia, nie da mi teraz spokoju, dopóki się nie dowiem, kto go zabił, albo przynajmniej nie wynajmę kogoś, kto to zrobi. - Zamknęła na chwilę oczy, po czym otworzyła je. - Podsumowując: zatrudniam cię, żebyś się dowiedziała, kto zamordował Benjamina Skinnera. - Schyliła się, sięgnęła do aktówki leżącej u jej stóp i wyciągnęła książeczkę czekową i pióro. Jaka jest twoja zwykła stawka? Bree otworzyła usta. Nie wydała z siebie ani jednego dźwięku. Czowała się jak Alicja wpadająca przez króliczą norę do Krainy Czarów. Wreszcie wydusiła:
- W zasadzie nie ustaliłam jeszcze...
- Liz machnęła ręką, jakby mówiła „zamknij się”.
- Zapłacę ci dziesięć tysięcy. Powinno ci to wystarczyć na wynajęcie prywatnego detektywa i wyciągnięcie wszystkich raportów od glin i z biura koronera. - Spojrzała na Bree zwięzonymi oczyma. - Tylko pamiętaj o jednym: nic wolno ci nikomu pisać o mnie słowa. Widzę, że się zastanawiasz, dlaczego sama nie wynajmę detektywa. Bóg mi świadkiem, że już i tak dostatecznie dużo płacimy tym krwiopijcom z firm ochroniarskich. - Pochyliła się w kierunku Bree i wyciągnęła do niej palec niczym rozsierdzony gliniarz z drogówki. - Ponieważ nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że to ja za tym stoję. Jeśli „The Wall Street Journal” wywęszy, że słucham rozkazów nieboszczyka, nigdy nie znajdę kupca na akcje Benniego. A co gorsza, zostanę zwolniona przez radę nadzorczą, najpewniej pod pretekstem słabości psychicznej albo czegoś w tym stylu.
- Niepełności władz umysłowych - powiedział profesor Cianquino. - A muszę przyznać, Liz, że twój umysł jest jednym z najświetniejszych, jakie znam.

Bree wyciągnęła pióro z kieszeni zakiem i udawała, że robi notatki na marginesach akt.
- Czy to jest dla ciebie zupełnie jasne? - spytała Liz. - Moje nazwisko pozostaje z dala od sprawy.

- Bezwzględnie.
- Cianquino powiedział, że mogę ci zaufać.
- Tak - powiedziała po prostu Bree. - Może pani.

Liz wydarła czek z książeczki, rzuciła go przed siebie na stół i podniosła aktówkę.

- Na mnie już czas, Cianquino. - Ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się w pół drogi i popatrzyła na Bree, marszcząc brwi. - Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz już j coś miała; nie wcześniej.

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

Bree wzięła do ręki czek. Przeczytała: „Wypłacić na żądanie Brianny Winston-Beaufort dziesięć tysięcy dolarów I (10 000,00 \$)”. Wystawiony był na First Bank of Savan-nah. W lewym dolnym rogu Liz dopisała: „Dot: Skinner”. Zapadła długa cisza.

- A więc - powiedziała - chciałabym wiedzieć, co się | tutaj dzieje.

- To, co widzisz. Bree odchrząknęła.
- Mam kilka pytań.
- Spróbuję na nie odpowiedzieć.
- Pan nie wierzy, że Benjamin Skinner nawiedza Liz Cwershaw. Prawda?
- Liz jest twoją klientką. Masz bezwzględny obowiązek działania w jej najlepszym interesie.
- Czy obejmuje on także umówienie wizyty u dobrego psychologa?

Profesor Cianquino zmarszczył brwi.

- Liz Overshaw jest najzupełniej zdrowa na umyśle. Choć nie da się zaprzeczyć, że znajduje się pod wpływem wielkiego stresu. Chciałbym, żebyś zaczęła traktować tę sprawę trochę poważniej i odpowiedzialniej. Nie zniósłbym myśli, że mogłem się pomylić, polecając jej twoją osobę.

Ita mówi człowiek, który w swoim gabinecie gromadzi stosy materiałów na temat anielskiego prawa zwyczajowego? Bree otworzyła usta, żeby go o to spytać. Chciała go też zagadnąć o tę papugę/sowę/cośtam. Chciała wiedzieć, czy to wszystko ma coś wspólnego z przerażającym obrazem, przez który omal nie zemdląca dziś rano. Chciała wiedzieć, czy człowiek, który potrafił zastraszyć przyszłych sędziów Sądu Najwyższego, nie miał przypadkiem kuku na muniu.

To twoja pierwsza sprawa - powiedział profesor (Cianquino, dając jej znak do odejścia. - Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miała jakieś problemy?

Zawrócił wózek i pojechał w kierunku wyjścia.

Bree udało się zachować spokój tylko dzięki temu, że zwyciężyły w niej południowe maniery. Oraz dzięki przekonaniu, że nie przystoi zadawać impertynenckich pytań emerytowanemu profesorowi jednej z najlepszych uczelni prawniczych na świecie. Założyła torebkę na ramię i wstała.

- Ta sprawa jest właściwie do zrobienia - powiedziała, idąc za nim. - Liz Overshaw może i jest szalona, ale sama sprawa niekoniecznie.

Profesor otworzył drzwi i odsunął się na bok, żeby ją przepuścić. Bree miała ochotę zagadnąć go o książki stryja Franklina, ale Cianquino wyglądał wyjątkowo surowo i nieprzystępnie.

- Chodzi mi o to, że mogę wszcząć prywatne śledztwo, które wyjaśni sprawę śmierci Skinnera. Czy sądzi pan, że Liz będzie usatysfakcjonowana, jeśli udowodnię, że on zmarł naturalną śmiercią?

- Wszystko jest możliwe - powiedział chłodno. - Ale, ale. Jeśli potrzebujesz dobrego detektywa, polecam ci tę agencję - wyciągnął wizytówkę z kieszeni marynarki. - Szef nazywa się Gabriel Striker.

Wzięła wizytówkę i razem z czekiem schowała ją do torebki. Profesor uśmiechnął się do niej.

- Dobrze. Wspaniale. - Potem dodał: - Powodzenia, moja droga. Czy wiesz już, od czego zacząć?

Bree przesunęła ręką po włosach - Głupia modelka, też coś - pomyślała.

- Żeby pan wiedział.

- Problem w tym, kotuniu, że masz ich po prostu za dużo. - Fontina zebrała w dłoniach gęstwinę srebrnych włosów i potrząsnęła nią. Idąc tutaj, Bree gotowa była się założyć, że fryzjerka w Savannah będzie nosiła jakieś stare, dobre południowe imię w rodzaju Ashley albo Sarah-Anne. Na małym, dyskretnym szyldzie na frontowych drzwiach salonu widniało jednak imię Fontina, a poleciła ją Bree - jako najlepszą fryzjerkę w Savannah - elegancka ciotka Cissy.

Bree nie miała zamiaru mówić Fontinie, że opatrzyła swój salon nazwą wyjątkowo pysznego sera; gotowa była się założyć, że już niejeden klient żartował sobie z niej w ten sposób. Fontina była wysoka, chuda, a jej włosy przecinały jasnopurpurowe pasma.

- Nie zrażaj się tym, że żuje gumę, ani tym, jak sobie ufarbowała włosy - uprzedziła ją ciocia Cissy. - Ona jest genialna. A jeśli rozpowiesz o niej wszystkim swoim przyjaciółkom i potem będę musiała czekać miesiącami na wizytę, rzucę na ciebie kłótnię i wyłysiesz jeszcze przed trzydziestką.

- Kotuniu? - zagadnęła Fontina. - Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że mam je obciąć?

- Przepraszam - Bree wyprostowała się odrobinę w miękkim fotelu. - Krótco spałam i miałam wyjątkowo dziwny dzień, dlatego już trochę odpływam. Co do włosów... nie wiem, co z nimi zrobić, nie chcę tylko, żeby rozpraszały moich klientów. Dziś dostałam moją pierwszą sprawę, mówiłam ci o tym?

Fontina skinęła głową.

- Pewnie, że mówiłaś. Powiedziałaś też, że to pilne.

- No tak, to prawda. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że wyglądam zbyt młodo albo zbyt niepoważnie; poza tym pierwszy raz w swoim zawodowym życiu będę się stykać z prywatnymi detektywami, z policją, z koronerem. Chcę wyglądać jak ktoś, kto chce coś osiągnąć. I to osiągnąć coś ważnego - bo moja pierwsza sprawa jest odrobinę... odrobinę...

- Odjechana? - grzecznie podpowiedziała Fontina.

- Odjechana. Dokładnie tak. Dlatego zadzwoniłam do cioci Cissy, a potem do ciebie. Ciocia Cissy poradziła, żebym zdała się na ciebie w stu procentach. Co o tym sądzisz?

- O cioci Cissy czy o twoich włosach? Bree wyróciła oczami.

- Lubię twoją ciocię Cissy - powiedziała Fontina. Nagania mi tylu klientów, że nie mogę ich obrobić tygodniami. Ani się obejrzałam, a już muszę rozwinąć interes. A jeśli jest coś, czego naprawdę nie chciałabym robić, to właśnie rozwijanie interesu. - Spytała szorstko: - A więc nie chcesz chyba obciąć tego cudu świata?

Bree pacnęła się desperacko w głowę.

- Chcę tylko, żeby one jakoś wyglądały. Otwieram kancelarię prawną. Chcę wyglądać profesjonalnie i kompetentnie. Jutro rano przeprowadzam rozmowy z przyszłymi pracownikami. Dostałam już pierwszą sprawę. Jeśli się wyrobię, do końca tygodnia chciałabym już przyjąć nowe zlecenia. Zrobienie porządku z tymi włosami to po prostu konieczny pierwszy krok, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Westchnęła. - Może uczesanie na pazia by mi pasowało?

Fontina potrząsnęła głową.

- Mowy nie ma. Pokażę ci, co będzie pasowało.

Siedem

Jeśli zabrzmi krok lub dźwięk ludzkiej mowy, Czy słyszac intruza, nie zbudzi się duch?

Algemon Charles Swinburne, Opuszczony ogród

- Warkocze! - wykrzyknęła Lavinia Mather, kiedy Bree, spóźniona o pół godziny, weszła do domu, żeby zabrać psa. - Wyglądasz nie byle jak. Hm, hm... A niech mnie, Bree, naprawdę mi się to podoba.

Bree nerwowo pogładziła się po głowie.

- Na pewno ci się podobają?

Fontina rozdzieliła jej włosy na cztery grube warkocze, które następnie zaplotła misternie wokół głowy. Bree czuła się wyjątkowo profesjonalnie; co więcej, czuła się, jakby była opancerzona.

- Wyglądasz jak królowa - powiedziała Lavinia. Położyła dłoń na ramieniu Bree i delikatnie odwróciła ją w stronę schodów. - Z każdym dniem coraz bardziej upodabniasz się do Niej - wskazała na renesansowego anioła z koroną srebrnych włosów.

Bree potrząsnęła głową i zaśmiała się.

- Zdążyłam już zapomnieć o twoich malowanych aniołach, Lavinio. Anioł ze mnie żaden, ale ta fryzura chyba rzeczywiście do mnie pasuje.

- Jest szlachetna - rzekła Lavinia. - Wyglądasz szlachetnie.

- Dziękuję - pokornie powiedziała Bree. Schyliła się i pogłaskała rozradowanego psa. - i dziękuję ci za opiekę nad Saszą. Z każdą minutą wygląda lepiej.

- On też miał dziś swój dzień - zapewniła Lavinia. - To dzięki niemu stara ciotuchna nie dała się wyrolować tym licctom od mebli.

- Meble już są?

- Wejdz i zobacz.

Bree skierowała się za Lavinią do wejścia do salonu. Skórzana sofa i fotel utworzyły miły zakątek przy kominku. Dębowy stół stał na środku jadalni, zajmując akurat tyle miejsca, ile trzeba.

- Wyglądają wspaniale. Ale jak to - przewoźnicy próbowali cię wyrolować?

- Mało brakowało, a zapomnieliby o obrazie, ot co.

Bree weszła do środka i zastygła. Obraz stał oparty o kominek. Zakreśliło jej się w głowie i pociemniało w oczach. Przez chwilę miała wrażenie, że namalowana woda faluje, jak gdyby machały do niej namalowane ręce. A na rozszalałym karmazynowym niebie nad rozbitym okrętem unosił się wielki ptak, wydając skrzydłami zabójczy, tnący odgłos. Bree poczuła, że uginają się pod nią nogi; zachwiała się, ale Lavinia zdążyła chwycić ją oburącz za ramię.

Staruszka stanęła na palcach i prosto do ucha wyszeptwała jej słowa, które niemal niknęły w narastającym szumie wichru:

- Próbowali mi wmówić, że za niego nie zapłaciłaś. Ale ja wiedziałam lepiej i Sasza też. Płacisz za ten obraz już od wielu lat. - Spojrzała na Saszę. - Ty im to powiedziałaś, prawda, piesku? Mówię ci, warczał jak jakiś filmowy potwór, aż pojechali z powrotem do sklepu i przywieźli obraz.

Sasza szczechnął ostro i Bree momentalnie doszła do siebie. Spojrzała na Lavinie. Staruszka odpowiedziała jej spojrzeniem swoich niezgłębionych czarnych oczu.

- Problem w tym, skarbenku - odezwała się po dłuższej chwili - że są rzeczy, których wolałabyś nie widzieć, prawda? Ale jak je schowasz w ciemnościach, to one i tak stale rosną. Musisz stawić im czoła. Wyciągnij je na światło. W promieniach słońca rosną tylko dobre rzeczy.

Bree podeszła do obrazu i dotknęła jego powierzchni. Papier i farba. Nic, tylko papier i farba.

- Dobrze się czujesz, Bree? - usłyszała miękki głos Lavinii.

Przez jedną obłądną chwilę Bree bała się odwrócić. Wcale nie Lavinie miała za plecami. Stało tam coś innego. Coś tak wielkiego, że wypełniło pokój i przesłoniło światło popołudnia wpadające przez okno. Rosło i rosło, a potem zniknęło z trzepotem olbrzymich skrzydeł.

- Wszystko w porządku? - powtórzyła Lavinia.

Bree nie odwróciła się. Gdyby to zrobiła teraz, z miejsca zażądałaby zwrotu czynszu. Wyszłyby stąd bez psa i bez kancelarii, zostawiając za sobą ten przekłety obraz. Przejechałaby trzysta pięćdziesiąt mil do Raleigh-Durham, usiadłaby przy starym biurku w ojcowskiej kancelarii i poważnie pomyślała o poślubieniu jakiegoś sympatycznego chłopaka i założeniu rodziny. Jednak ponownie wyciągnęła rękę w stronę obrazu.

- No cóż, Lavinio, jeśli to prawda, mam dość światła u siebie w domu. To malowidło będzie ostatnią rzeczą, jaką oglądam przed snem i pierwszą, jaką widzę po przebudzeniu.

Lavinia ścisnęła jej ramię.

- Nie, Bree. Nie. Powinno zostać tutaj.

- Nonsens - Bree podniosła obraz oburącz. Był lżejszy, niż się wydawało. - Jeśli tylko zechcę, w każdej chwili mogę spalić to cholerstwo.

- Na twoim miejscu spaliłabym to cholerstwo - powiedziała Antonia. - Co ci przeszkadzało lustro, które wisiało nad kominkiem? Było w rodzinie od miliona lat.

Chodziło o lustro stryja Franklina. Bree pamiętała dzień, kiedy zawiesił je nad kominkiem. Miało ciekawie pozłacaną ramę. Kiedy je zdejmowała, żeby na jego miejscu powiesić obraz, okazało się nadspodziewanie ciężkie.

- Podobało mi się - poskarżyła się Antonia. - A to coś wcale mi się nie podoba.

- Schowałam je do szafy w korytarzu. I nie mam ochoty rozmawiać o tym obrazie. - Bree odwróciła się, spojrzała na swoją siostrę wylegającą się na perkalowej kanapie i heroicznym wysiłkiem próbowała zachować spokój. - Nie mogę uwierzyć, że przyjechałaś tutaj, nie zadając sobie nawet trudu, żeby mnie uprzedzić przez telefon.

Antonia rozłożyła się swobodnie na sofie. Jej plecak leżał na bujanym fotelu przy kominku. Tuż przy drzwiach wejściowych stał duży, wypchany worek podróżny. Mało brakowało, a Bree złamałaby sobie kark, kiedy potknęła się Oniego wchodząc do domu.

- Nie przypominam sobie, żeby akurat tobie zapisano ten dom - powiedziała opryskliwie Antonia. - Mam komplet kluczy, tak jak każdy w naszej rodzinie. - Wyciągnęła się na kanapie jak długa. Bree stała przy kominku obok obrazu opartego o ścianę. Sasza krążył między nimi w podskokach.

- Leżeć, Sasza - powiedziała Bree, wskazując na podłogę.

Z ciężkim westchnieniem pies spoczął przy stoliku.

- Wstydzilibyś się. Denerwujesz biednego psa. - Antonia pogładziła poduszki i cmoknęła. - Chodź, słodziutki. Połóż się koło mnie.

- Tak, z pewnością uda mu się ze złamaną łapą wskoczyć na kanapę. - Bree odrzuciła na bok plecak Antonii i zatopiła się w bujanym fotelu. Popatrzyła na siostrę i wydała z siebie westchnienie tak podobne do westchnienia Saszy, że jej siostra i pies aż podskoczyli.

Antonia była sześć lat młodsza od Bree i w niczym nie przypominała swojej siostry. Bree miała zielone oczy, ona brązowe; Bree miała włosy srebrnoblond, ona kasztanowe, a ponadto mierzyła zaledwie pięć stóp i trzy cale. Jedyną oznaką pokrewieństwa było podobne brzmienie ich głosów, które jeden z mniej rozgarniętych chłopaków Antonii porównał kiedyś do płynnego miodu.

W wieku piętnastu lat, po pięciokrotnym obejrzeniu Grease w wykonaniu teatru objazdowego, Antonia postanowiła, że zostanie aktorką. Lata ćwiczeń sprawiły, że jej głos pogłębił się i wzmocnił, lecz do tej pory obie siostry łatwo było pomylić przez telefon.

- Chyba ustanowiłaś rekord, jeśli chodzi o czas pobytu na uczelni? - zagadnęła Bree. - Jak długo chodziłaś na wykłady? Dwa dni?

Antonia wyciągnęła się na tapczanie, a potem uniosła nogi nad głowę, zachowując idealnie proste plecy.

- Parę tygodni. I zwrócili mi czesne. - Opuściła nogi, a potem bez wysiłku powtórzyła ćwiczenie.

- Mówiłaś, że jaki to był powód tym razem? - retorycznie spytała Bree, po czym plasnęła się w czoło. - Ależ oczywiście. O ja głupia. Szansa na przesłuchanie w Telewizji Savannah. Nie żadne tam Jesteśmy umówieni, proszę przyjść o szóstej" - co to, to nie - tylko szansa.

- Szansa na to, że oddzwonią - łagodnie poprawiła ją Antonia. - Przesłuchanie miałam już dziś po południu. Bree, oni się we mnie zakochali!

- Oczywiście, że się w tobie zakochali. Jesteś absolutną sensacją. Twój talent nie podlega dyskusji. Wygląda jednak na to, że jeśli porzucisz uczelnię, będziesz sensacyjną, utalentowaną półanalfabatką. Co to za rola tym razem?

Antonia usiadła na kanapie.

- Tym razem rola Ireny Adler w tej niesamowitej nowej sztuce o Sherlocku Holmesie.

- Ireny Adler? Tej, którą Sherlock Holmes nazywał po prostu kobietą? - W szkole średniej Bree przeczytała całego Conan Doyle'a. - Najpiękniejszej kobiety w Londynie?

- Otóż to. A co się tyczy kariery, to mam szansę zostać członkiem zespołu.

Bree nie odezwała się. Nie musiała nic mówić.

- No dobra. Powiedzmy, że jedną na dziesięć.

- Pomnóż to przez sto - zaproponowała Bree.

- Ale za to szansa na pracę asystentki inspicjenta jest jak jeden do dwóch.

- Naprawdę? - spytała Bree. - To płatna praca?

- Taa.

- A zapłacą ci niby ile? Antonia powiedziała jej.

- Aha, czyli zostajesz tutaj?

- Albo tu, albo na ławce w parku. - Antonia wyglądała na zaniepokojoną. - Ej, chyba nie masz nic przeciwko temu? Przecież nawet jak mieszkaliśmy razem w Raleigh i spotykałaś się z Paytonem, jakoś sobie nie przeszkadzałyśmy.

- Nie chodzi o to.

- A więc o co?

Bree popatrzyła na nią. Jak ma powiedzieć Antonii o prześladowającym ją wrażeniu - z każdą godziną coraz silniejszym - że angażuje się w coś, nad czym nie może zapanować? Coś dziwnego i niebezpiecznego?

Raptem zadrżała, zdjęta nagłym przeświadczeniem, że jest obserwowana, że obie są obserwowane, że szum skrzydeł dotarł za nią aż tutaj, do jej jedyne go schronienia. Odwróciła głowę i napotkała poważny, uporczywy wzrok Saszy.

Kormoran. Wszystko przez tego kormorana.

- Nie rozumiem - powiedziała głośno. - Nie pojmuję tego. Czego ode mnie chcecie? Czego?!

- Ej! Bree! Dobrze się czujesz? - Antonia z pobladłą twarzą rzuciła się w jej stronę.

- Oczywiście, że dobrze. Nic mi nie jest.

- Nie wyglądasz, jakby nic ci nie było - Antonia potarła czoło i z powrotem usiadła na kanapie. - Przeraziłaś mnie na śmierć.

Bree wstała i odwróciła obraz do ściany.

- Nie bądź taka mądra. A z tobą co się dzieje?

- Ze mną nic się nie dzieje. To ty wyglądałaś, jakbyś wyskoczyła z ostatniego aktu Księżniczki Malfi.

- To znaczy niby jak?

- No wiesz, to taki dramat Webstera o zemście, ponury i makabryczny. Trup pada gęsto, krew się leje, wszyscy krzyczą ze zgrozy.

Bree teatralnie przewróciła oczyma.

- Masz bujną wyobraźnię.

Ale przecież odwróciła obraz do ściany. Więc kto tu ma bujną wyobraźnię?

Jutro rano odniesie go do sklepu.

- Sama nie wiem - mruknęła Antonia. - Może to wszystko przez te warkocze. Nie jestem pewna, czy lubię warkocze. Wyglądasz agresywnie.

- Warkocze są po to, żebym nie wyglądała jak głupia modelka.

- Ktoś ci powiedział, że wyglądasz jak głupia modelka? - Antonia wybuchła zaraźliwym chichotem. - No, to ci dopiero zniewaga, co?

Kiedy później siedziały nad pizzą w restauracji Huey, Bree przedstawiła Antonii skrócony raport z ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Pominęła wszystkie niesamowite rzeczy, za to szeroko opowiedziała o Liz Cwershaw i Benjaminie Skinnerze.

- To jakiś znak - powiedziała Antonia z ustami pełnymi cienkiej, chrupkiej pizzy z czterema serami. - No powiedz sama, czy to nie jest niesamowite? Ja idę na przesłuchanie do sztuki o Sherlocku Holmesie, a ty będziesz Sherlockiem Holmesem w swojej pierwszej sprawie. Mówię ci, to jest znak z góry. Nie mówiąc o tym, że z miejsca trafiła ci się naprawdę niezła klientka. Jeśli Liz Overshaw jest chociaż w połowie tak nadziana, jak Benjamin Skinner o czarnym sercu, to jeszcze przed czterdziestką możesz iść na emeryturę! Znaczą się, pod warunkiem, że złapiesz tego mordercę. - Wzięła z talerza trzeci kawałek pizzy, zatrzymała go w pół drogi do ust i powiedziała: - Och. Mój Boże. Nemezis. Ni mniej, ni więcej. Nemezis.

- Piwo uderzyło ci do głowy - Bree odsunęła od niej dzban Stella Artois.

- Trzymaj! - Antonia wcisnęła jej w dłoń ogromną kartę dań. - Udawaj, że czytasz! Podnieś wyżej! Wyżej!

- Co ty wyprawiasz, do diaska? - gniewnie spytała Bree. - Rozum ci odjęło?

- Tam jest Szczur Payton! - syknęła Antonia. - Nie! Nie odwracaj się! Jest dokładnie za tobą!

Położone nad rzeką Huey było najmodniejszym spośród modnych lokali - restauracji i sklepów - zajmujących teren dawnego Cotton Exchange, targu bawełny. A jeśli Payton był w czymś dobry, to na pewno w wynajdywaniu modnych miejsc.

- Co robi? - spytała w napięciu Bree. Pilnie wpatrywała się w listę przystawek.

- Stoi przy barze, a w rękę trzyma wyjątkowo obrzydliwy drink. Różowy.

- Raczej kobiecy drink?

- Bardzo kobiecy. Z owocami w środku.

- A więc czeka na kogoś. Payton pije tylko drogie whisky, co najmniej dwunastoletnie.

- Co za pajac - skwitowała Antonia. - Czeka. Taa. Miałas rację.

- Jest z kimś?

Obie wiedziały, co to oznacza.

- Tak - Antonia spojrzała Bree w oczy. - Ciut przed trzydziestką. Mocne ciało. Wyrobione w fitness-klubach. Ręce jak liny mostu wiszącego. Zobacz sama. Stoi plecami do nas.

Bree zerknęła przez ramię i odwróciła się z powrotem.

- Jest zabójcza - powiedziała bezbarwnie.

- Tak, kobieta-cyborg, prawdziwa Bionic Woman - Antonia potrzęsła głową z lekkim obrzydzeniem i naląła sobie z dzbaną piwa do szklanki. - Szybko ją poderwał.

- Poderwał ją, jeszcze zanim się rozstaliśmy - Bree również postanowiła napełnić szklankę.

- Och, co za porażka. Ej, zobaczył nas! Udawaj szczęśliwą. Udawaj zajęta! - Antonia wybuchła perlącym śmiechem i powiedziała bardzo głośno: - Mam nadzieję, że pokazałaś temu gościowi, którą do wyjścia! Daję sło-

wo, Bree, ty naprawdę nie możesz się opędzić od facetów, od kiedy zerwałaś z tym mato... - urwała, po czym opuściła głos o kilka poziomów i wycedziła lodowatym tonem:

- No proszę, Payton! Otóż i matoł we własnej osobie.
- Cześć, Bree - powiedział Payton. - Świetnie wyglądasz.
- Bree podniosła wzrok znad karty i powiedziała obojętnym tonem:
- A więc ty też tu trafiłeś. Co słyszeć, Payton?
- Payton dzierzył w jednej ręce szklankę czegoś, co wyglądało na Laphroaig, a w drugiej - ramię Miss Mostów Wiszących 2007. Poklepał ją po plecach i powiedział:
- Sean, mamy sprawę do obgadania. Zaczekaj na mnie przy barze. - Potem zwrócił się do Antonii: - Przesuń się, Toni. Pozwól, że się dosiędę i zamienię słówko z Bree.
- Antonia odpowiedziała mu słodkim uśmiechem i odsunęła się w kąt wnęki. Payton rozsiadł się na przeciwległym końcu i spojrzał Bree w oczy z przylepionym do twarzy wyrazem ciepła i szczerości, równie autentycznym, jak śnieżycy na Tahiti.
- Świetnie wyglądasz - powiedział i westchnął.
- W ogóle dobrze cię widzieć, Bree. - Złożył palec wskazujący i kciuk w kształt pistoletu. - Wspaniała fryzura. Znalazłaś już lokal na kancelarię?
- Przy Angelus - odparła Antonia. - Praktycznie nad samą rzeką. - Potem dodała, tyleż lojalnie, co niezgodnie z prawdą: - Ze wspaniałym widokiem.
- Bree upiła mały łyżeczek piwa. Payton był oszalamiający. To oszołomienie wywoływały głównie jego oczy, olśniewającej, jakby niebieskofioletowej barwy (którą, jak odkryła, nadawały im soczewki kontaktowe), a jeszcze bardziej - pięknie wyrzeźbione kości policzkowe i niewiarygodnie wysportowane ciało. Miał krótko ostrzyżone włosy, a na podbródku zabójczą smużkę zarostu. W żołądku Bree tańczyły motyle. W sercu poczuła ukłucie bólu. Nie chciała jednak krzyknąć, płakać ani urządzać scen. A przede wszystkim nie miała ochoty na niego patrzeć.
- Słyszałam, że dostałeś ofertę ze Stubblefield i Mar-wick - zagadnęła. - Gratuluję. Wygląda na to, że będziemy się spotykać na wokandzie.
- Uśmiech Paytona rozszerzył się, co znaczyło, że jest rozdrażniony.
- Aż do dziś nie miałem pojęcia, że i ty postanowiłaś otworzyć tutaj własną praktykę.
- Bree zdziwiła się, jak szybko się to rozeszło.
- Pamiętasz mojego stryja Franklina.
- Tego dziwaka?
- Tego sędziego - poprawiła chłodno. - Po tym, jak zakończył karierę sędziowską, prowadził tu małą praktykę. Zostawił mi ją. Oczywiście w porównaniu ze Stubblefield i Marwick to nic takiego - dodała słodko.
- Nie mogłem się nadziwić, że złożyli mi ofertę - odparł Payton. - Po prostu nie mogłem im odmówić... Rozumiesz, Bree, to najlepsza firma prawnicza na Południowym Wschodzie...
- Przy okazji najlepiej płacąca - powiedziała sucho. Specjalnością Stubblefield i Marwick były pozwy zbiorowe. Telewizja do znudzenia nadawała w późnowieczornych pasmach ich zakamuflowane programy reklamowe, które miały zachęcać do procesów przeciwko wielkim firmom. Pełno w nich było palaczy umierających na raka, rodziców dzieci z uszkodzonymi mózгами czy chorych od oparów asfaltu.
- Mamy naprawdę imponującą listę klientów - powiedział spokojnie. - Zpracowaliśmy na nasze dobre imię, występując w obronie praw niesłusznie wyzyskiwanych...
- Za czterdzieści procent od kwoty odszkodowania
- dokończyła Bree. - Doprawdy, Payton... - ugryzła się w język, powstrzymując się od wygłoszenia porządnej tyrady, i powiedziała tylko: - A więc złożyli ci propozycję nie do odrzucenia.
- Ponad trzysta tysięcy tyśiąków rocznie - oświadczył. Antonia wydobyła z siebie odgłos podobny do tego, jaki wydałby widelec wkręcony w maszynkę do mięsa.
- Payton, ale z ciebie żaloszny matoł.
- Mam nadzieję, że jesteś naprawdę szczęśliwy - uprzejmie powiedziała Bree. - Na pewno nie będziesz musiał się martwić o stan swojego konta.
- ...a lista naszych klientów, jak już ci mówiłem, obejmuje najważniejszych ludzi w Savannah.
- Bree zmarszczyła brwi. Payton do czegoś zmierzał.
- Między innymi - powiedział spokojnie - doktora Graingera Skinnera z małżonką.
- A to niby kto? - spytała Bree. Potem nagle pojęła.
- Syn Benjamina Skinnera i jego żona?
- Jego syn? - powiedziała Antonia z powątpiewaniem w głosie. - Ach! To ten facet, który odebrał twój telefon, kiedy oddzwoniłaś do starego Skinnera.
- Payton wzruszył lekceważąco ramionami.
- Grainger Skinner nie jest żadną grubą rybą - w Sa-vannah pieniądze nie są najważniejsze. Za to jego żona jest z Pendergastów, a to już coś.
- Antonia nie zwracała na niego uwagi.
- Brr, to musiało być dla ciebie okropne, Bree. Nie miałam pojęcia, że rozmowy telefoniczne mogą się gromadzić jak e-maile. - Chwilowo zapomniała, że nienawidzi Szczura Paytona, i wyjaśniła mu: - Jakiś defekt przekąźnika spowodował, że Bree odebrała telefon od Skinnera po jego śmierci. Czy to nie chore?
- To bzdura i tyle - odparł Payton. - Wiesz Bree, klientów można pozyskiwać na różne sposoby. Nie gniewaj się, ale moim zdaniem twój sposób przekroczył pewną granicę.
- A właśnie, że się gniewam - odparła Bree. Drobne ukłucie bólu i żalu błyskawicznie przeradzało się w jej sercu w żądę przemocy. Już od lat nie wylała nikomu piwa na głowę. Może właśnie nadeszła pora na kolejny raz.

- Cieszę się, że się tu spotkaliśmy i nie musiałem zachodzić do ciebie na... - urwał, pogrzebał w kieszeni marynarki i wyciągnął swojego BlackBerry. Postukał w klawisze i spytał: - Jak powiedziałeś? Angelus? Nie mogę znaleźć.

- Bardzo modne miejsce - lojalnie wtrąciła Antonia.

- Niedługo będzie bardzo trendy.

- O ile klienci będą wiedzieli, gdzie to, do diabła, jest. Antonia spiorunowała go wzrokiem.

- Bree już niedługo będzie najbardziej wziętym prawnikiem w mieście.

- Miło to słyszeć - powiedział łagodnie Payton - bo bardzo bym nie chciał, żeby coś ci przeszkodziło w tym napływie nowych klientów.

- Co na przykład? - spytała Bree.

- Na przykład kompletnie jałowe śledztwo w sprawie śmierci Benjamin Skinnera - zgarbił się nad stołem, splótł dłonie i zmarszczył brwi z wyrazem szczerzej troski na twarzy - Zaufaj mi, Bree. Liz Cwershaw to znana wariatka. Nie gniewaj się na mnie za szczerość, ale to typowa histeryczna baba, która przeszła menopauzę.

- A właśnie, że się gniewam - uprzejmie powiedziała Bree. Uśmiechnęła się.

Antonia zauważyła uśmiech i spytała nerwowo:

- Bree?

Payton zaczął mówić jeszcze bardziej poufałym tonem:

- Zrozum, co ci przyjdzie z tego, że już na samym początku kariery zrazisz sobie największego gracza w mieście?

- Nie wiem - odparła Bree ze złowróżbnym spokojem.

- A twoim zdaniem co mi z tego przyjdzie?

- Ano właśnie: nic dobrego. Posłuchaj, Bree. Gramy do jednej bramki. Możemy ze Stubblefield i Marwick posyłać w twoją stronę masę dobrych spraw. O ile sobie przypominam, byłaś całkiem niezła w korporacyjnym prawie podatkowym. A to może być dla ciebie kopalnia złota. O ile - ostrzegawczym gestem klepnął ją palcem w nadgarstek - będziesz dobrze rozgrywać.

Później Bree doszła do wniosku, że wszystkiemu było winne właśnie owo klepięcie w nadgarstek. Za nic w świecie nie mogła sobie wszystkiego przypomnieć. Pamiętała tylko, że wpadła w szal. Zerwała się na równe nogi z zamiarem złapania Paytona za uszy i grzmotnięcia jego głową prosto w stół. Z tego, co wydarzyło się potem, pamiętała tylko to, że stała na środku restauracji, a oszołomiony Payton leżał w odległości dziesięciu stóp od niej, J plecami oparty o bar.

Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna o bezbarwnych oczach trzymał jej dłoń na ramieniu. Poblądła Antonia j siedziała skurczona w kącie wneki.

- Naprawdę nie powinnaś była tego robić - powiedział mężczyzna.

Czego? - chciała spytać Bree, ale nie odezwała się. Drzwi od restauracji kołysały się na zawiasach. Większość klientów kuliła się pod stolikami. Podłoga była zasłana naczyniami, szklankami, serwetkami, sałatkami i kawałkami pizzy. Restauracja wyglądała jak po przejściu huraganu. Bree wykrztusiła tylko:

- Co się stało?

Do środka weszło dwóch policjantów; ten na przedzie, gburowato wyglądający facet z wielkim brzuszyskiem i strzechą tłustych blond włosów, wrzasnął:

- Niech nikt się nie rusza!

- Tędy - mężczyzna o bezbarwnych oczach, które, jak spostrzegła Bree, wcale nie były bezbarwne, tylko srebrzyste, objął ją ramieniem i bez wysiłku pociągnął w stronę kuchni.

- Zaraz, chwileczkę - Bree spróbowała wysliznąć się /jego objęć i wrócić do restauracji. Jakimś cudem jednak szła posłusznie dalej, przez korytarz na zapleczu, potem przez tylne drzwi, aż wyszli na uliczkę prowadzącą na parking. Nie żeby nie mogła stawić oporu - jej opór po prostu nie odniósł żadnego skutku. Mężczyzna był bardzo silny, choć bynajmniej nie brutalny, i przyjemnie pachniał świeżym powietrzem. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, zamknął kuchenne drzwi i puścił ją.

- Mieszkasz tam. - To nie było pytanie. Spojrzał w górę, w kierunku Front Street, położonej o poziom wyżej niż sklepy i restauracje na nabrzeżu. Odcinek River Walk, przy którym znajdowało się Huey, był w całości zabudowany ceglany murem, wznoszącym się na dwadzieścia stóp aż do położonej wyżej ulicy.

- No tak, ale naprawdę powin...

- Idź do domu.

- Nie mogę zostawić mojej sio...

- Powiem jej, że poszła do domu.

- Kim ty jesteś? - spytała Bree z oburzeniem. - I kto ci pozwolił tak mną pomiatać?

- Ja tobą pomiatam? - cofnął się o krok i spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Przepraszam. - Oczy lśniły mu srebrzyście w słabym świetle ulicznych lamp. Bynajmniej nie wyglądał na skruszonego. - Nazywam się Striker. Gabe Striker.

Przez moment Bree miała pustkę w głowie, a potem powiedziała z nagłą wściekłością:

- Detektyw.

- Tak. Armand Cianquino zaproponował mi, żebym ci pomógł w sprawie Skinnera. Akurat byłem w pobliżu, kiedy wybuchła ta awanturka ze Szczurem Paytonem.

- Czy jest w Savannah ktoś, kto nie wie, że Payton mnie rzucił? - wycodziła Bree przez zaciśnięte zęby.

Striker cofnął się z rękoma uniesionymi do góry w geście udawanej uległości. W półmroku ledwo widziała jego twarz.

- Ej, przepraszam. Chyba trochę przeholowałem.

- No nie gadaj.

- Naprawdę mi przykro - doleciał do niej jego głos. Miała niesamowite wrażenie, że Striker nagle stał się beczelny, jak mgielka, która rozwiewa w powietrzu byle oddech. - Idź do domu. Zrobię co mogę, żeby to załatwić.

Chwilę później była już w zaułku sama.

Osiem

Później podleciał i jako kormoran Siadł na stojącym tam Drzewie Żywota, Większym niż inne, stojącym pośrodku.
John Milton, Raj utracony tłum. Maciej Słomczyński

Bree z trudem powstrzymała się przed wykonaniem niegrzecznego gestu w ślad za odchodzącym detektywem Gabrielem Strikerem. Doszła do końca Dumpster Street i wyjrzała zza rogu. Policyjny radiowóz, który przyjechał pod prąd jednokierunkową ulicą, stał przed restauracją, błyskając czerwonym światłem koguta. Zgromadzony przed wejściem tłum składał się z ludzi, którzy wyszli z restauracji albo przyszedli z ulicy, a najprawdopodobniej i z jednych, i z drugich. Dwaj nastoletni chłopcy trzymali w górze telefony i robili zdjęcia. Bree rozpoznała barmankę, pogodną kobietę po czterdziestce; w tym momencie nie wyglądała jednak zbyt pogodnie. Niższy chłopiec również ją poznał

- Huey było popularnym lokalem.

- Hej, Maureen! Co tam się stało, do diaska? Oszołomiona Maureen wzruszyła ramionami.

- Zaczęło się od tego, że jakaś kobieta rzuciła się przez stół na faceta.

Bree aż się skurczyła.

- A potem znad rzeki powiał dziki wiatr i wyrzucił wszystko do góry nogami. No, niezupełnie do góry nogami

- poprawiła się. - Ale wpadł do środka przez drzwi i zrobił piekielny bajzel. - Spojrzała z zakłopotaniem w niebo.

- A potem jakby sam wyszał się na zewnątrz.

- Są jacyś ranni? - chłopiec przecisnął się przez tłum do Maureen, celując w nią telefonem. - Możesz udzielić mi wypowiedzi?

Maureen zasłoniła ręką twarz.

- Zabierzesz to czy nie? Idźcie stąd, i to już.

- Są jacyś zabici? - spytał drugi chłopiec. W nosie miał] złoty kolczyk.

- Jak widzisz, nie bardzo. - Maureen opuściła rękę i zrobiła okropny grymas do aparatu w komórce. - Ej, wy dwaj, idźcie sobie. Spadajcie stąd. Po co się włączycie i zawracacie głowę?

- Ha - powiedział z dumą wyższy chłopiec. - Wiesz, ile telewizja płaci za takie zdjęcia?

- Przydałoby się parę trupów, Pauly - powiedział chłopiec z kolczykiem w nosie. - Kogo obchodzi pizza na podłodze? Ja to mam u siebie w domu.

- Dotarło to do ciebie, Pauly? - spytała Maureen opryskliwie. - Wynocha stąd. Obaj. Wezwałam już firmę ubezpieczeniową i im mniej ludzi będzie się tu kręcić, kiedy przyjadą, tym lepiej. - Spojrzała na nich gniewnie.

- Mogą sobie pomyśleć, że macie z tym coś wspólnego.

- Popatrzyła, jak obaj chłopcy znikają w rzędniejącym tłumie, po czym potrząsnęła głową i wróciła do restauracji.

Na ulicy powiała niewielka bryza. Bree spojrzała w niebo. Okrągły księżyc wisiał nisko nad horyzontem. Nad jej głową pojedyncze obłoki przepływały na tle gwiazd.

Było cicho jak w grobie.

Z trudem dowlokła się schodkami do domu, drżąca, oszołomiona i spragniona snu.

Kiedy szukała kluczy, w domu zadzwonił telefon. Warknął Sasza. Gdzieś w oddali zawyły syreny i Bree ogarnęło nagłe irracjonalne przekonanie, że policja jedzie po nią. Resztki psychicznej równowagi przepadły bez śladu, gdy wpadła do środka i rozdygotana omal nie przewróciła się na Saszę. Wykonała iście akrobatyczny skok - ratując zarówno siebie, jak i łapę biednego psa - i dopadła telefonu.

Bree, kochanie!

- Mama! - wydyszała Bree.

Wszystko w porządku, skarbie? - przez linię telefoniczną płynęły w jej stronę fale troski.

- Tak, wszystko gra. Biegłam od drzwi, żeby odebrać iclcfon, i musiałam przeskoczyć nad psem.

- Nad psem? Wciąż masz tego psa? - spytała Francesca.

- Ach - odparła Bree. - Mam tu straszny rozgardiasz, zapomniałam ci powiedzieć o psie - przyciskając słuchawkę do ucha oparła się o ścianę i osunęła na podłogę. Spodobało się to Saszy, który od razu spróbował wleźć jej na kolana.

- Myślę, że powinnaś nam coś powiedzieć o tym psie odezwał się głos ojca.

- No cóż, to znajda - to musiało trafić do czułego matczynego serca. - Jest cudownym zwierzakiem. Po prostu cudownym. Antonia po prostu go poko... - Bree ugryzła się w wargę tak mocno, że omal nie krzyknęła. - To znaczy, gdyby Antonia go zobaczyła, z miejsca by się w nim zakochała. O, chce was pozdrowić - zbliżyła słuchawkę do psiego pyska i bez wielkiej nadziei powiedziała: - Mów!

Sasza szczeknął.

Bree przyłożyła na powrót słuchawkę do ucha.

- Proszę! I co o tym myślicie?

- Myślę, że jest dość duży - w głosie matki pobrzmiwały wątpliwości. - Pamiętasz, jakie zasady obowiązują w rezydencjach, Bree. Jeśli jest za duży, musisz go przywieźć do Plessey. Zresztą jeśli zajdzie taka potrzeba, sami możemy go zabrać, gdy przyjedziemy do ciebie w przyszłym tygodniu. Biedactwo.

Bree spojrzała na Saszę, który z każdą godziną zdawał się wyglądać coraz zdrowiej.

- No nie wiem. Fajnie mituz nim, naprawdę.

Nagle dotarła do niej pozostała część tego, co mówiła matka.

- Ze co?! Przyjedziecie tu?

Na twoją uroczystość, Bree, na miłość boską. Wiem, że miałaś urwanie głowy z tym szukaniem biura. Ale skoro już znalazłaś to cudowne miejsce, trzeba powiadomić znajomych z branży, że zaczynasz karierę.

- Mamo, to naprawdę nie jest dobry moment - powiedziała Bree. - To znaczy oczywiście cieszę się, że o tym pomyśleliście, ale wolałabym raczej...

- Wiedzieliśmy, że to powiesz. Dlatego razem z ojcem zdążyliśmy już wysłać zaproszenia. Tata wciąż ma dużo dobrych kontaktów wśród prawników - prawda, że masz, kochanie? Wszyscy na pewno przyjdą na jego zaproszenie. Zobaczysz, skarbie, to będzie piękna uroczystość.

- Rozesłaście już zaproszenia? - spytała Bree.

- Rozesłaliśmy - powtórzyła matka stanowczo. - Na następny czwartek, między piątą i siódmą w Mansion.

- W Forsyth Mansion? - spytała Bree słabym głosem. Hotel przy Forsyth Park miał pięć gwiazdek, a znajdująca się w nim restauracja 700 Drayton była bajecznie droga.

- Co oznacza, że masz tydzień na załatwienie cateringu i kwiatów. Rachunki mają być wystawione na nas, prawda, Royal?

- Mamo - odezwała się Bree - ja naprawdę wolałabym...

Głos matki rozniósł jej protesty w pył niczym generał Sherman Atlantę.

- Przecież wiesz, jacy jesteśmy z ciebie dumni! Chyba pozwolił, żebyśmy byli gospodarzami tego małego przyjęcia?

- Masz to jak w banku - odparła Bree. Nagle poczuła się wykończona. Nie wytrzyma dłużej, nie zniesie już nawet jednego słowa. Marzyła już tylko o tym, żeby wziąć długi, gorący prysznic i pójść spać. - Jestem wam wdzięczna za pamięć. Dziękuję, mam. Dziękuję, tato. Odezwijcie się przed wyjazdem, dobrze?

- Naturalnie. - Nastąpiła długa pauza. - Na pewno nic ci nie jest, skarbie? Royal, myślisz, że nic jej nie jest?

Z miejsca, w którym siedziała, Bree widziała wnętrze salonu, ale okolice kominka były poza zasięgiem jej wzroku. Raptem Sasza zerwał się na równe nogi. Zastrzygł uszami i zaczął się bacznie wpatrywać w głąb salonu.

Gdy zaczęła go obserwować, jedną częścią swojego umysłu zmagając się z incydem w restauracji, drugą słuchając cudownego, delikatnego głosu matki, a jeszcze inną pragnąc zapaść w bezdenną otchłań snu, zza rogu wypłynął, kierując się w jej stronę, cieniutki strumyczek wody. Sasza szczerknął krótko i umilkł.

- Mamo, muszę lecieć. Chyba zostawiłam odkręconą wodę. - Odłożyła słuchawkę na widełki i wstała chwiejnie, z łomoczącym sercem. Od wody biła żółta poświata. Strużka posuwała się do przodu, co kilka stóp zmieniając kierunek, jakby napotykała niewidoczne przeszkody.

Sasza odwrócił się do niej z oczyma lśnącymi odbitym poblaskiem.

Czegoś szuka.

Bree zwalczyła w sobie pragnienie ucieczki. Sasza spojrział na nią, a potem, z opuszczonym ogonem i położonymi uszami, ruszył ostrożnie przed siebie.

Bree poszła za nim. Źródło było gdzieś w salonie...

Obraz.

Poruszała się cicho, ale w skupieniu, które wyostrzyło jej zmysły. Słyszała leciutki szmer, z jakim woda pełzła po podłodze, powolne bicie serca Saszy, miarowy łopot ptasich skrzydeł. Ominęła strużkę szerokim łukiem i skrzyła do salonu.

Obraz żył. Nie dość powiedzieć, że żył - był pochłonięty sobą, pulsował cichymi szeptami i grubym, chytrym śmiechem. Ogniście czerwone morze przelewało się przez ramę, ściekało po ścianie i spływało na podłogę. Fale wznosiły się i opadały w złowrogim rytmie niczym dyszący, żywy stwór. Ciemnowłosej kobiety o bladych oczach już nie było. Krzyki ginących były słabe, niemal niesłyszalne. Słyszała je, choć tylko dzięki nienaturalnemu wzmocnieniu zmysłów, które pozwoliło jej również usłyszeć miarowy łopot olbrzymich ptasich skrzydeł.

Sasza warknął i przywarł do podłogi.

Kormoran się rusza.

Nie pozwalając sobie nawet na krótką chwilę namysłu Bree chwyciła pierwszy ciężki przedmiot, jaki jej się nawinął - chiński posążek konia z brązu. Zamachnęła się nim nad głową i posłała go prosto w stronę obrazu.

Posążek trafił w cel z głośnym trrrrach! i rozpryskiem żółtego światła.

Uderzył nagły wiatr i widziadło zniknęło.

Światła w salonie zapaliły się w jednej chwili.

Nagle Bree znalazła się w znajomym otoczeniu. Jedynym śladem po tym, co działo się przed chwilą, były leżące na dywanie okruchy kominkowego marmuru i wgnieciony posążek konia z dynastii Tang.

Za plecami usłyszała głos Antonii:

- Mało ci, że zostawiłaś mnie w samym środku jakiegoś przyrodniczego kataklizmu - musisz jeszcze zdemolować salon, tak?

Wmaszerowała do środka, rzuciła się na kanapę i wlepiła wzrok w sufit.

- Bree, muszę powiedzieć, że kompletnie ci odbiło. Bree stała w miejscu jak wryta. Całe ciało miała niczym z lodu. Sasza trącił ją w biodro, a potem pchnął nosem jej rękę. Bezwiednie pogłaskała go po uszach; potem z drżącymi kolanami zatopiła się w fotelu przy kominku.

- Bree? Słyszysz mnie? Dałaś słowo, że już skończyłaś z grzmoceniem ludzi po głowie. Oczywiście ten mały padalec na to zasłużył... ale ty zdemolowałaś całą restaurację! - zachichotała do siebie. - Chociaż, kurna, trzeba przyznać, że to robiło wrażenie.

- Tak - szepnęła Bree.

Brzmienie jej głosu zaalarmowało siostrę. Antonia poderwała się i spojrzała na nią z autentyczną troską.

- Hej! Żartowałam, że ci odbiło. Wyglądasz okropnie.

Zeskoczyła na podłogę i bezradnie zaplotła ręce. Podać ci coś? Szklankę wody? - zrobiła krok w stronę telefonu. -

Może wezwę pogotowie? - Głos jej drżał. Uree, przerażasz mnie.

Nie - powiedziała Bree przez zaciśnięte gardło. Odchrząknęła i powiedziała głośno: - Nie. Nic mi nie jest.

Zanurzyła ręce we włosach. - Idę spać. Nie chcę o tym mówić.

Antonia przygryzła wargę.
 - Świetnie - powiedziała nerwowo. - Po prostu świetnie.
 Bree podniosła się. Czuła się, jak gdyby miała sto lat.
 - Może ci pomóc? Bree potrząsnęła głową.
 - Ja tylko...
 - Tylko co?
 Bree popatrzyła na nią z rozpaczą.
 - Ja tylko chcę, żeby wszystko miało sens.
 Antonia pobladła. Bree zdała sobie nagle sprawę, że jej siostrzyczka wcale nie była taka harda, na jaką chciała wyglądać. Choć kosztowało ją to resztkę sił, Bree odetchnęła głęboko, rozluźniła ramiona i usiadła z powrotem. Skrzyżowała nogi i powiedziała, siląc się na beztroski ton:
 - Wygląda na to, że dałam Paytonowi niezły wycisk, nie sądzisz?
 Antonia uśmiechnęła się na próbę.
 - Żebyś wiedziała!
 - Co się stało z Miss Mostów Wiszących 2007? Antonia zachichotała.
 - Kto to wie? Założę się, że uciekła w podskokach. Założę się, że jest już w pół drogi do Topeki.
 Bree uśmiechnęła się i skinęła głową. - Wszystko będzie dobrze. - Wszystko musi być dobrze.

Dziewięć

*Na tej ciemnej równinie stoimy we dwoje
 W szturmów, odwrotów dzikim, zmieszonym alarmie,
 Gdy ścierają się wokół ślepe, wrogie armie.*

Matthew Arnold, Wybrzeże w Dover tłum. Stanisław Barańczak

Bree starannie złożyła w kostkę środowe wydanie „Sa-vannah Daily” i wyrzuciła je do kosza na papiery.
 Po chwili namysłu wyciągnęła gazetę z powrotem i rozłożyła starannie na skrzyni, która w jej nowym biurze pełniła funkcję stolika do kawy. Nie zdążyła zorganizować żadnych czasopism i stolik świecił żalostną pustką. W gazetowej wzmiance zatytułowanej Dziwaczne spotkanie spustoszyło Huey na szczęście nie było nic, co wskazywałoby na nią jako sprawczynię ataku na adwokata Paytona McAllistera. Była tam krótka wypowiedź meteorologa na temat możliwości („mikroskopijnej”) wytworzenia się w samym sercu Market District siroccopodobnego wiatru, na drugiej stronie znajdował się także dłuższy tekst o anomaliami klimatycznych spowodowanych globalnym ociepleniem. To było wszystko.
 Bree cieszyła się, że zajście wydarzyło się zbyt późno, by mogło trafić do ostatnich wiadomości telewizji KWYC. Wieczorem dostarczyło jednak niewyczerpanego pretekstu do paplaniny Antonii, która musiała zapłacić za pizzę i zażądała od Bree zwrotu połowy rachunku.
 Bree oddała jej pieniądze i postawiła ultimatum: ani słowa więcej o incydencie w Huey albo zadzwoni do rodziców i opowie o ucieczce Antonii z UNC.
 - Świetnie - fuknęła Antonia i poprosiła Bree o nazwisko jej trenera samoobrony. Zaklinała się, że Payton śmignął w powietrze jak frisbee, co nie tylko imponująco wyglądało, ale świadczyło też o tym, że jej siostra posiadała umiejętności, które w pewnych sytuacjach mogą się przydać. Zwłaszcza jeśli nie przestanie jej utrudniać życia.
 Bree zakończyła rozmowę, idąc spać.
 Wstała wcześniej po niespokojnej, źle przespanej nocy. Wyszukowała Saszę, zdjęła obraz ze ściany i wyszła z domu, gdy było jeszcze ciemno. Antonia wprawdzie rzadko wstawiała przed jedenastą, istniało jednak niebezpieczeństwo, że wpadnie niespodziewanie do kuchni i zasypie ją pytaniami, na które Bree nie chciała i nie umiała odpowiedzieć.
 W połowie Montgomery Street napotkała miejską śmieciarkę. Zatrzymała się za nią. Może dałoby się przekupić kierowcę, żeby wrzucił to przekłete malowidło do zgniataarki. Oczyma wyobraźni widziała roztrzaskaną ramę, podarte płótno i czerwone, oszalałe oko ptaszyska wpatrujące się w nią wściekle spomiędzy skórek pomarańczy, nadgniłych warzyw i rozmokłych papierowych ręczników.
 Sasza zaskomlił z tylnego siedzenia, a potem zaszczekał.
 I tak cię odnajdzie.
 - Niech to szlag! - powiedziała Bree.
 Ryknął silnik i śmieciarka niezgrabnie potoczyła się dalej. Bree nie próbowała jej zatrzymać. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po przyjeździe do biura, było powieszenie obrazu z powrotem nad kominkiem.
 Usiadła na kanapie i wlepiła weń wzrok. Pani Mather była jeszcze u siebie i w domu panowała cisza. Obraz wisiał sobie spokojnie - ohydny, złośliwy, przekłety. Bree rozpaczliwie pragnęła go spalić, pociąć, zniszczyć, roznieść w pył. i nie mniej rozpaczliwie stwierdzała, że nie jest w stanie zrobić tego sama.
 Zacisnęła pięść i z rozpaczą uderzyła się w czoło. To był najzwyczajniejszy w świecie obraz. Malowidło, jakich wiele. Musiał być kiepską kopią dzieła, które zdarzyło jej się zobaczyć przed wielu laty, gdy była jeszcze mała. Jako dziecko zobaczyła straszny obraz, który zapadł jej w pamięć i przez całe lata wywoływał u niej koszmary. Nic, tylko odzywa się w niej dawna trauma. Nie przypominała sobie, w jakich okolicznościach mogła go zobaczyć, ale przecież często się zdarza, że ludzie zapominają o traumatycznych wydarzeniach, mimo że cierpią z powodu ich skutków. Czytała o tym kiedyś. Miała nadzieję, że to naukowe fakty, a nie mądrości wyczytane w rubryce typu „Twoje zdrowie” w jakimś pożałowania godnym czasopiśmie.

Może matka będzie pamiętać, od czego zaczęły się jej koszmary. Mogłaby zadzwonić do niej i spytać.

A może nie.

Nalala psu wody, do drugiej miski wsyłała trochę karmy i wyszła, żeby kupić resztę mebli. Kiedy wróciła kilka godzin później, pani Mather zdążyła już odwiedzić Saszę, wyszczotkować mu sierść i opatrzyć rany. Pies powitał Bree w progu radosnym merdaniem ogona i zadowolonym westchnieniem, a potem poprowadził ją do salonu. Bree podeszła do kominka i z wysiłkiem spojrzała w górę. Obraz obojętnie wisiał na ścianie - posępna mieszanina szarości, czerni i piekielnego, ognistego karmazynu.

- Mam zamiar wynieść to na dwór i spalić, Sasza.

Sasza zaległ ciężko na podłodze, złożył łeb na łapach i spojrzał na nią smutno.

Nie spali się.

Bree z wyrzutem spojrzała na obraz, po czym opadła na kanapę i potarła czoło. Nienawidziła go. Spojrzała na zegarek. Pierwszą rozmowę miała umówioną za godzinę. Mogła właściwie przesiedzieć ten czas na kanapie jak koszatka, dłubiąc w nosie. O ile oczywiście koszatki dłubią w nosie, co jest raczej wątpliwe.

Pod wpływem nagłego impulsu Bree zerwała się na równe nogi i lekko wbiegła na górę po malowanych schodach. Lavinia wydawała się coś wiedzieć na temat tej potworności. Na pewno coś wiedziała; nie mogło to być tylko jej urojenie.

W korytarzu na piętrze panował półmrok; nie było tu światła ani okna z widokiem na cmentarz. Drzwi do mieszkania Lavinii pogrążone były w cieniu.

Malowane anioły dochodziły z jednej strony do drzwi, przechodziły nad nimi i drugą stroną wracały na dół. Same drzwi pomalowane były białą, lekko połyskującą farbą. Bree wahała się przez chwilę, a potem zapukała.

Po drugiej stronie rozległ się miękki, okropny dźwięk, jak gdyby po podłodze przesunęło się coś dużego i pierzastego. Drzwi otworzyły się i w progu stała Lavinia w powodzi bladego, srebrzystego światła. Miała na sobie leciutki, niemal przezroczysty szal, a jej ciemna skóra zdawała się lśnić.

- No proszę, dziecino! Nie spodziewałam się!

- Przepraszam, że zawracam ci głowę - powiedziała Bree. - Pomyślałam sobie, że zapytam cię o parę spraw.

- Nie zawracasz - powiedziała łagodnie Lavinia. - Wejdz i usiądź na chwilę.

Bree z wahaniem weszła do środka. Przez chwilę, bardzo krótką chwilę mieszkanie wydawało się obszerniejsze, niż się spodziewała. Znacznie obszerniejsze. Podłogę spowijała aksamitna szara mgiełka. Sufit wznosił się wysoko. Ścienne kinkiety, od których biło miękkie, jakby księżycowe światło, rzucały łagodny blask na wielkie i małe kształty zgromadzone w pokoju. Głos Lavinii wybrzmiał w głowie Bree cichym szeptem:

- Oto niektóre z moich maluchów. Wiesz, co to jest lemur? Mam ich kilka. A tu para sówek, które straciły mamę.

Lemur owinał prądkowany ogon wokół oparcia bujanego fotela i wpatrywał się w nią wielkimi złotymi oczyma. Bree sennie odwzajemniła jego spojrzenie. Cały pokój wydawał się kołysać powoli, sennie, leniwie. Fotel bujał się do tego rytmu. Lemur mruczał. Bree chwiała się lekko w przód i w tył, jak na pokładzie statku.

Kołysanie, miękkie światło i zapach dziwnych kwiatów uderzyły jej do głowy. Zamknęła oczy, a potem otworzyła je z powrotem.

Scena spowita księżycowym światłem zniknęła w mgnie-i niu oka, wyparowała jak mgła w promieniach słońca.

Lavinia stała w zwyczajnym świetle dnia, na sosnowej podłodze w małym, zaniedbanym pokoiku pachnącym lawendą i różami. Owinęła sobie sweter wokół kościstych ramion i uśmiechała się słodko do Bree.

Fotel na biegunach kołysał się jednak gwałtownie, jak i gdyby coś go rozbijało szybkim zeskokiem na podłogę. Została na nim kępka szarych kłaczek.

Bree przycisnęła dłonie do uszu i wzięła głęboki oddech.

- Proszę, nie przeszkadzaj sobie. Mam... sporo do zrobienia na dole. Chciałam cię tylko spytać... dam sobie radę.

Zeszła do siebie znacznie wolniej, niż weszła na górę. Sasza z postawionymi uszami i merdając łagodnie ogonem, czekał na nią u stóp schodów.

- No - powiedziała Bree z wielkim zakłopotaniem - to było naprawdę pokręcone. Lemury? Małe sowcy? Skąd to się bierze w mojej głowie, Sasza?

Sasza ziewnął, wrócił do salonu i położył się spać.

Bree mocno potarła skronie. Potrzebowała więcej snu. Musiała się jakoś pozbyć nocnych koszmarów. Przed wyjściem z domu wepchnęła do torebki stos nierozpieczętowanej poczty. Przejrzy ją teraz, zanim zjawi się pierwsza umówiona osoba. Czując nad sobą nieprzyjemną obecność obrazu, zasiadła na kanapie z nieprzejrzanyymi jeszcze numerami prawniczego „ABA Journal”.

Jakiś czas później kulturalne pukanie do drzwi wyrwało ją z lektury irytującego artykułu krytykującego reformę prawa deliktów. Bree poszła otworzyć, zapisując sobie w myślach, że musi zaproponować pani Mather - a raczej Lavinii - zainstalowanie dzwonka. Albo domofonu. Po ostatniej nocy postanowiła, że już nigdzie nie zostawi otwartych drzwi.

Sasza szczechnął do niej, jakby dla dodania odwagi. Bree schyliła się i potargała go za uszy, a potem pogłaskała po czole.

Jeśli ci się spodoba, daj mi jakiś znak, dobrze? To Kosa Lucheta, wdowa po prawniku.

W progu stał jednak niski, krępy mężczyzna z czarną bi odą i laską w ręku.

Panna Beaufort? - spytał, wyraźnie wymawiając „r”.

Tak - odparła. - Czym mogę służyć?

Jestem Petru Lucheta. Brat Rosy. - Zaciągał ze słowiańska, ale na tym kończyła się jej wiedza. Jego akcent mógł być równie dobrze rosyjski, polski, jak i serbsko-chorwacki.

- Miło mi - uprzejmie powiedziała Bree. - Jak się pan miewa?

- Ja całkiem dobru - odparł. - Rosa jednak, niestety, nic za dobru.

- Przykro mi to słyszeć. Ale nie musiał pan przychodzić tu osobiście, żeby odwołać spotkanie. Pańska siostra mogła zadzwonić.

- Rosa stale ma się niedobru - powiedział. - Niestety! Jest niezdolna do pracy. Jednakowoż ja jestem zdolny do pracy. Przybyłem zamiast niej.

- Rozumiem. - Bree przyglądała się panu Luchecie przez dłuższą chwilę. Miał bardzo czarne oczy. Broda zasłaniała mu prawie całą twarz, ale jej niezarośnięta część miała łagodny, wręcz dobroduszny wyraz.

- Czy jest pani gotowa rozważyć mężczyznę jako kandydata na to stanowisko? - spytał z niepokojem. W ogłoszeniu nie było wzmianki na temat płci.

- Nie pozwala na to nasze prawo, panie Lucheta. Przepraszam, czy mogę o coś spytać? Jest pan obywatelem? Stanów Zjednoczonych, znaczy się?

- O tak. To znaczy tak, rozumiem pani pytanie. Nie, nie jestem obywatelem. Mam zieloną kartę i niebawem będę mógł przyjąć obywatelstwo. - Odchrząknął, zerknął na boki i najgrzeczniej, jak tylko było można, przełożył łaskę z prawej do lewej ręki. - Czy mogę wejść?

- Oczywiście, proszę. Przepraszam, nie chciałam przetrzymywać pana na progu. - Odwróciła się, słysząc, jak idzie za nią z rytmicznym szur-stuk, szur-stuk. Czuła się jak Izmael nasłuchujący kroków jednonogiego kapitana Ahaba na pokładach „Peauoda”.

- Niedługo będzie tu więcej mebli - powiedziała przez ramię. - Dziś rano zamówiłam w Office Max biurko i szafy na akta. Jutro mają je przywieźć. Telefony podłączą nam najpóźniej w piątek po południu; tak przynajmniej obiecuje Southern Bell, a oni zwykle są dosyć słowni.

Rytmiczne szur-stuk urwało się nagle.

- Widzę, że ma pani Wzlot kormorana. Bree obróciła się w miejscu.

- Słucham?

Lucheta wycelował łaską w obraz.

- To. Nie widziałem go już wiele, wiele lat. - Dokuśty-kał bliżej. - A jakże. Jedna z kopii, jak widzę. Hm. Bree usiadła. Kolana jej lekko drżały.

- Jedna z kopii? - spytała. - Chce pan powiedzieć, że jest ich więcej? Całe mnóstwo kopii?

Lucheta oparł się oburącz na lasce i grzecznie popatrzył na skórzany fotel.

- Ależ oczywiście, proszę usiąść.

- Dziękuję. - Usiadł w bardzo sztywnej pozycji, z wyprostowanymi plecami i łaską ułożoną poziomo na kolanach. Bree usiłowała zachować spokój, ale wiedziała, że głos jej drży.

- Widział już pan kiedyś ten obraz? Powiedział pan o jakichś kopiach? Czy to znany obraz?

- Pyta pani, czy istnieje tak wiele kopii, jak Słoneczników Vincenta albo Gołąbka pokoju Pabla? Dzieło, które beztrudno powielono w nieprzebranej liczbie egzemplarzy? Czy jest to dzieło znane w taki właśnie sposób? O to pani pyta?

- Tak. - Bree stwierdziła w myślach, że mówienie o nieżyjących artystach po imieniu jest nieco denerwujące.

- Chociaż ten akurat obraz jest mi zupełnie nieznan, a tamte oczywiście znam. Wszyscy je znają. Ten na pewno nie jest aż tak słynny. Na pewno nie tak słynny, jak obrazy, które pan wymienił.

- W pewnych kręgach jest aż tak słynny. Jeśli chodzi o kopie, to rzeczywiście nie ma ich zbyt wielu. Ale pani chyba go już zna.

Bree potrząsnęła głową.

- Nic o nim nie wiem, choć bardzo bym chciała. Jak pan go nazwał? Wzlot kormorana?

- Tak. Chodzi o ptaka, który unosi się nad okrętem. Bree przygryzła wargę. Nie wiedzieć czemu, następane pytanie wydało jej się kluczowe.

- Kto to namalował?

- Patriarcha, to oczywiste. - Odwrócił się do niej. - Nie wiedziała pani?

- Jaki Patriarcha? Kto to jest Patriarcha? Petra pociągnął się za brodę.

- Przepraszam. Chyba powiedziałem więcej niż powinienem, przynajmniej w tym momencie. Byłem pod wrażeniem, że własność obrazu przeszła na panią.

- Nie cierpię tego obrazu - powiedziała Bree. - Własność? - spytała z tak głębokim lękiem i nienawiścią, że aż ją zaskoczyło. - Wolalabym mieć na własność wściekłego psa. Nie chcę go. Brzydzę się nim. Próbowalam go zniszczyć, ale nie potrafię. Nie mogę go nawet oddać z powrotem.

- Nie? - spytał Petru z zainteresowaniem. - Próbowala pani? Próbowala pani przekazać go komuś innemu?

Bree zadrżała.

- Przekazać? Nigdy w życiu. Jak można komuś wcisnąć coś takiego? Nie wyobrażam sobie, żebym miała czelność kogoś tym obdarować. - Odetchnęła głęboko i wybuchła:

- Ten obraz jest nikczemny!

Petru pociągnął się za brodę.

- Temat jest nikczemny - zgodził się. - Sam obraz nie jest nikczemny; jest jaki jest, po prostu. - Pochylił głowę w zamyśleniu. - Jaka jest najgorsza rzecz, jaką pani czuje, patrząc na to malowidło?

Bree z trudem spojrzała na obraz.

- Ta przeklęta rzecz pojawia się w moich snach. Sen zawsze wygląda tak samo. Czuję, że gdybym tylko była w stanie szybciej płynąć, uratowałabym tych ludzi przed utonięciem. To właśnie czuję, gdy patrzę na ten obraz: jestem bezradna, bezsilna i wściekła. - Z najwyższą irytacją Bree poczuła, że w oczach stają jej łzy. Antonia miała rację - wściekłość na spółkę z frustracją doprowadza ją do płaczu znacznie częściej, niż powinna.

Petru pogładził jej dłoń pocieszającym gestem.

- To jest w bardzo rosyjskim duchu, wie pani? Taka głębia uczuć. To dobra rzecz.

- Nie wydaje mi się, żebym miała w rodzinie jakichś Rosjan - zaszlochała Bree. - Ale to miłe, że pan tak uważa.

Petru zachichotał, pogrzebał w kieszeni marynarki i wyciągnął czystą chusteczkę. Bree przyjęła ją z wdzięcznością i wysmarkała nos. Chusteczka pachniała cytryną. Bree odchyliła się do tyłu na kanapie i spojrzała w sufit, omijając wzrokiem obraz.

- Ja po prostu chcę się go stąd pozbyć.

- Jedynym sposobem na to, by pozbyć się go raz na zawsze, jest znalezienie kogoś, kto go przyjmie.

- To żalosne! - odparła Bree, nieco zirytowana. Było jej wstyd, że przeżyła moment załamania w obecności człowieka, który być może będzie jej pracownikiem; szybko powstydzila się swojego gniewu. - Proszę mi wybaczyć, panie Lucheta. Zwykle nie miewam takich humorów. Proszę opowiedzieć mi o tym obrazie - wszystko, co tylko pan może.

- Patriarcha zamyślił Wzlot kormorana jako ostrzeżenie i próbę. Ostrzeżeniem jest oczywiście kormoran, który wciąż leci do góry. Ale najciekawsza jest próba...

Są tacy, panno Beaufort, którym wystarczyłoby spojrzeć na tych tonących biedaków, a już ze wszystkich sił płynęliby w przeciwną stronę. Są też tacy, którzy okładaliby tych ludzi wiosłami, żeby potopili się jeszcze szybciej. Ale są też lacy, którzy krzyczą z wściekłości, że nie są w stanie pospieszyć im z pomocą.

- Zapomniał pan o tych, co zielenieją ze strachu - dodała Bree z bolesną szczerością.

Petru zaśmiał się.

- Strach to bardzo rosyjskie uczucie, podobnie jak łzy.

- Mrugnął z zadowoleniem. - Wszystkie głębokie emocje są bardzo rosyjskie.

- Ale co to za Patriarcha? Jeden patriarcha jest w greckim kościele prawosławnym, a drugi w rosyjskim, prawda?

- Mój lud też ma swoich patriarchów - powiedział Petru. - A jestem Żydem. Ale nie, nie chodzi o nich. Mówię

O jednym z Patriarchów Anielskich.

- Nigdy nie słyszałam o takiej sekcie - stwierdziła Bree.

- Skąd pochodzi? Z Europy Zachodniej czy Wschodniej?

- Bóg jest wszędzie. Patriarchowie Anielscy również są wszędzie. Wśród Sfer nie ma sztucznych podziałów.

- Rozumiem - nieco oschle przytaknęła Bree. Petru miał w oczach coś, co jej się zupełnie nie podobało. Nie przepadała za religijnymi fanatykami. Zmiała chusteczkę

I rozejrzała się za koszem na śmieci. Zapomniała kupić kosz.

- No i jest jeszcze ten kormoran.

- Zgadza się - przytaknęła Bree. - Duży ptak nurkujący, prawda? Zdaje się, że można go wytresować do łowienia ryb.

- To rybak ludzkich dusz - powiedział Petru. Potem zadeklamował donośnym głosem, który w małym saloniku zadudnił jak orkiestrowy kocioł:

Zakończył anioł, a w uchu Adama Głos jego tyle czaru pozostawił,
Że przez czas pewien nadal trwał w skupieniu, Jak gdyby mówił on wciąż*².

Skończył i obdarzył Bree promiennym uśmiechem:

- Napisane na zlecenie Patriarchy, podobnie jak obraz. W moim mniemaniu to największe dzieło Johna.

- Johna? - spytała Bree, bezbrzeżnie zdumiona. - Jakiego Johna?

- Milтона. Raj utracony.

Bree przygryzła wargę i wydusiła z siebie:

- Rozumiem.

- Pani się śmieje - zauważył Petru bez śladu urazy. - Tararam. O, proszę.

- Proszę wybaczyć, ale... - urwała w pół zdania. Petru spojrzał na nią. - Ale co? - spróbował ją zachęcić.

- Nic. Nic. - Zakryła dłonią oczy, jak gdyby chciała się zasłonić przed jaskrawym światłem. To wszystko nie miało sensu. - Nabiegałam się ostatnio jak kot z pecherzem, żeby urządzić biuro. Jestem trochę przemęczona.

Petru siedział nieruchomo, jednak Bree ogarnęło przerażające wrażenie, że przeszedł jakąś niezwykłą przemianę. Nie był już skromnym, biednym imigrantem, tylko potężną i mroczną istotą. Z trudem otworzyła oczy i spojrzała na niego.

Petru uśmiechnął się do niej z tak nieodpartą pogodą ducha, że nie mogła nie odpowiedzieć mu uśmiechem.

- Wcale nie musi pani mnie zatrudniać - odezwał się kojącym tonem. - Bywa tak, że ludzie o różnych doświadczeniach życiowych nie mogą się dogadać. A wśród was, Amerykanów, wielu jest takich, którzy nie ufają nam, Rosjanom, prawda? - Wzruszył ramionami. - Mogę panią zapewnić, że nie jestem członkiem KGB ani rosyjskiej mafii i nie jestem już oddany całym sercem naszej Partii Komunistycznej.

Zaczął się podnosić.

- Ależ ja nie jestem nieufna wobec Rosjan - zapewniła Bree. Za to jestem nieufna wobec ludzi, którzy o niezujących poetach mówią tak, jak gdyby wczoraj jedli z nimi kolację - dokończyła w myślach. Nie powiedziała tego jednak głośno. - Proszę tak nie myśleć. To absurd. - Z wysiłkiem zebrała się w sobie. Do licha, przecież zaprosiła tego człowieka na rozmowę kwalifikacyjną, więc w końcu powinna ją zacząć.

Problem w tym, że zaproszenie nie było skierowane do niego, tylko do jego siostry. Wbiła w niego baczne spojrzenie. Ciekawe, czy w ogóle miał siostrę o imieniu Rosa. Nagle poczuła, że już niczego nie jest pewna.

² Tłum. Maciej Słomeczyński

Sasza z pomrukiem podniósł się ze swojego kąta i pokuśtykał w stronę Petru. Oparł nos o jego kolano, pozwolił się pogłaskać, poczłapał z powrotem na swoje miejsce i poszedł spać. Nawet gdyby przemówił ludzkim głosem, nie mógłby wyrazić się jaśniej:

Nie ma się czym martwić. Odrobina ekscentryczności jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Bree zaczerpnęła tchu, na chwilę zatrzymała powietrze w płucach i postanowiła, że zaufa zarówno psu, jak i swemu wewnętrznemu głosowi.

- Czy przyniósł pan swój życiorys, panie Lucheta?

- Proszę mi mówić Petru. Mam przy sobie paszport, adres mojej siostry Rosy, u której mieszkam, i moją licencję prawniczą z Petersburga. - Wyciągnął z kieszeni plik dokumentów i położył je na gazecie. Na czołówce widać było artykuł o wicherze w Huey. Petru zerknął na nagłówek, potem na Bree i uśmiechnął się jak brodaty cherubin.

Bree zignorowała jego uśmiech i obejrzała paszport, a potem licencję - pergaminowy dokument ze złotą pieczęcią. Pergamin był zapisany cyrylicą. A więc był Rosjaninem. I twierdził, że jest prawnikiem. Bree nie znała cyrylicy. Podejrzała, że ten biedaczyna ma raczej uprawnienia do pływania na trzymasztowych szkunerach niż do wykonywania zawodu prawnika.

- Nie mogę ci zaproponować pracy w twoim zawodzie-zacząła Bree przepraszającym tonem.

Petru uniósł swoją grubiutką rękę.

- No przecież, że nie możesz! A ja nie mogę pracować w twoim kraju jako prawnik. Przynajmniej nie będę mógł jeszcze przez jakiś czas. Nie, nie, liczyłem tylko na posadę asystenta dla twojej zacnej osoby.

- Jeszcze przez jakiś czas? Czyżbyś studiował amerykańskie prawo?

- Tak. Nocami. Z czytaniem po angielsku radzę sobie znacznie lepiej niż z mówieniem. - Nagle zadarł głowę.

- O, chyba słyszę twoich dostawców.

Bree zerwała się na równe nogi. Rzeczywiście słyhać było nieśmiałe pukanie do drzwi. Tylko że materiały biurowe i szafy na akta zamówione w Office Max miały przyjść dopiero jutro, a Ronald Parchese był umówiony dopiero na czwartą. W tej chwili było tuż po drugiej.

Bree otworzyła drzwi. W progu stali dwaj mężczyźni w kombinezonach z wyszytym napisem „Dashett Delivery”. Jeden z nich, o imieniu Eustace wyszytym nad logiem Dashetta, wyciągnął w jej stronę podkładkę do pisania z przypiętą fakturą.

- Pani Winston-Beaufort?

- Panna Winston-Beaufort. Tak, to ja - odparła, wpisując nazwisko. - Wspaniale, panowie, spodziewałam się was dopiero jutro. Proszę, wnieście biurko. Szafy na akta pójda dojadają... to znaczy do pokoju konferencyjnego.

- Nie mamy biurka, proszpani - oświadczył Eustace.

- Mamy pudła z książkami, mamy półki, ale nie mamy biurka.

Bree zmarszczyła brwi i spojrzała na nazwisko nadawcy na liście przewozowym. Profesor Cianquino.

- O nie... - powiedziała.

- To nie są pani rzeczy? - spytał Eustace z cierpliwą obojętnością.

- Nie, to nie są moje rzeczy - powiedziała szorstko Mice. - Ale przysłano je do mnie, więc chyba niegrzecznie byłoby je odsyłać. Czy moglibyście, panowie, wstawić pudła do kuchni, to jest do pokoju socjalnego? Półki na książki można ustawić przy ścianie naprzeciw kominka. W zasadzie mogą mi się przydać.

- A otóż i twoja prawnicza biblioteka - powiedział Pe-Iru Lucheta, z pewnym trudem podniósłszy się z fotela.

To wspaniale. Oczywiście umiem obsługiwać komputer, ale obcowanie z książkami jest znacznie przyjemniejsze.

Razem z Bree odsunęli się na bok, kiedy Eustace ze swoim kolegą wtaczali pudła na wózek.

- Właściwie ja nie mam prawniczej biblioteki jako takiej - wyznała Bree. - Mam kilka encyklopedii i słowników, Blacka i innych, do tego parę podręczników ze studiów, ale na przykład do szukania kazusów prawa zwyczajowego wykorzystuję Lexis. Te książki - wskazała na stos kartonowych pudeł znikający we wnętrzu pokoju socjalnego - to prezent od starego przyjaciela, emerytowanego profesora prawa, który prawdopodobnie dostał je od mojego stryja. Raczej ciekawostka, nic więcej. Poza tym - dodała z irytacją - naprawdę nie mam gdzie tego trzymać.

Petru, który zignorował końcówkę tej przemowy, zatrzymał Eustace'a, wyciągnął z pudła jeden z tomów i rzucił okiem na grzbiet.

- Aha! Taką miałem nadzieję. Lexis ma to do siebie - dodał - że nie uwzględnia przypadków z Corpus Juris Ultima. Przynajmniej jeszcze nie.

Bree zamknęła oczy. Rytmiczne szur-stuk Petru Luchety oddaliło się w stronę kuchni.

- Niestety! - usłyszała. - To nie jest łacińska wersja! Będziemy musieli sobie jakoś radzić, Bree!

- Nie jest pan przypadkiem z Rosji? - kilka godzin później Bree spytała z niepokojem Ronalda Parchese.

- Z Rosji? - spytał Ronald z jeszcze większym niepokojem. - Nie. Czy to konieczne, żeby dostać tę pracę?

Ronald był szczupły, ale nie chudy, i miał sympatyczny wygląd, który na pewno przyprawiał jego matkę o gorące pragnienie posiadania wnuka: był blondynem o jasnej cerze, z bladoniebieskimi oczyma i chłopięcym wyrazem twarzy. Nosił się elegancko: miał na sobie dobrze skrojone spodnie i nieskazitelną koszulę w paski. Bree, ubrana w zwykłe spodnie od garnituru i biały t-shirt, poczuła się] przy nim jak bezguście.]

- W zasadzie nie chodziło mi o Rosję - odparła ku jego j jeszcze większemu zaskoczeniu. - Wie pan, zastanawiałam | się tylko, czy jest pan południowcem, tak jak ja, czy może jest pan przyjezdny. Ale zdaje się, że mieszkał pan w Sa-vannah przez całe życie?

- Przez każdą sekundę, panno Beaufort. Nie licząc krótkich wycieczek.

- Krótkich wycieczek?
- Co rok staram się jeździć do Włoch. Moja rodzina stamtąd pochodzi, sama pani rozumie. Ale to dawne dzieje.
- Rozumiem.
- Czyżby szukała pani obcokrajowca? Myślę, że moje wyjazdy do Włoch mogłyby się liczyć.
- Och nie, nie... - Bree zaczęła się jąkać. - Proszę zapomnieć o tym, co mówiłam. Przepraszam, chciałabym rzucić okiem na pański życiorys. Może w tym czasie napije się pan kawy?
- Jasne, ja zaparzę - powiedział. Podniósł się zgrabnie i spytał: - Co pani ma do dyspozycji?
- Zwykły ekspres Mr. Coffee. Za to kawa jest ze Star-bucks.

- Ajajaj. Niedobrze. Będziemy musieli pomyśleć o kupieniu Melitty. No nic, zobaczą, co się da zrobić.

Ronald skierował się do kuchni, prowadząc za sobą Saszę, który od samego początku nie odstępował go na krok. Bree przejrzała życiorys. Jako kandydat na asystenta Roland miał doskonale przygotowanie. Zaliczył kurs terminologii prawniczej w Chatham County Community College, do tego przez dwa lata uczył się w miejscowej szkole dla sekretarzy i ukończył ją z dyplomem asystenta administracyjnego. Poza tym Bree od razu go polubiła. Zresztą z wzajemnością.

- Pani warkocze - oświadczył, kiedy już uściśli sobie dłonie i zasiedli w salonie - to doprawdy dzieło geniusza. Kto je pani zrobił?

W zasadzie Ronald Parchese był miłym, stuprocentowo amerykańskim chłopakiem. Tylko że Bree zdążyła już zatrudnić Petru. Czuli, że nie ma wyboru. W jakiś niepojęty sposób na tak głębokim, że niemal niedosięgłym poziomie jej świadomości odbywał się proces selekcji. On to sprawił, że wybór Petru okazał się nieunikniony - podobnie jak nieunikniona była pani Mather oraz sześćdziesięciotomowe wydanie Corpus Juris Ultima zgromadzone w stosach na kuchennym blacie.

Tymczasem Bree potrzebowała kogoś, kto nie byłby nieunikniony. Kogoś takiego jak Ronald, który wydawał się nie mieć pojęcia o wszystkim, co gromadziło się wokół niej niczym jedwabna sieć. Nawet nie spojrzał na Wzlot kormorana; a jeśli to zrobił, nie powiedział ani słowa.

Może zatem zatrudnić dwóch asystentów? Jednego specjalnie do sprawy Skinnera, a drugiego z myślą o normalnej praktyce prawnej, którą Brianna Winston-Beaufort miała nadzieję prowadzić jeszcze przez wiele lat po zamknięciu tego upiornego przypadku.

Zaliczka od Liz Overshaw w zasadzie pozwalała jej na spore wydatki; ponadto Bree jeszcze przed przeprowadzką do Savannah zdołała zaoszczędzić tyle, żeby przez sześć miesięcy móc samodzielnie opłacać jednego asystenta. Nie stać jej było jednak na dwóch asystentów, poza tym dopóki nie rozkręci na dobre swojej praktyki, nie znajdzie dla obu zajęcia. O ile kiedykolwiek je znajdzie.

Ronald wrócił z tacą i postawił ją na skrzyni. Zerknął obojętnie na gazetę z nagłówkiem o zajściu w Huey, podał Bree filiżankę kawy, wziął sobie drugą i rozsiadł się wygodnie na skórzanej sofie.

- I co pani o tym sądzi? Czy mam dobre kwalifikacje?
- Bardzo bym chciała pana zatrudnić - odparła bez wahania Bree. - Ale nie jestem pewna, czy pan by się tu dobrze czuł.

Ron splonął jasnym, gniewnym rumieńcem.

- Jeśli dlatego, że żyję w partnerskim związku...

- Ależ oczywiście, że nie dlatego - Bree przerwała mu wzburzeniem. - Czyja wyglądam na dewotkę?

Zdziwiłaby się pani, jak potrafią wyglądać dewotki - rzucił ostro.

Pewnie tak. Ale nie wyglądają jak ja. Ani jak moja siostra - dodała.

Ronald odzyskał normalny kolor skóry, a głos przestał u drżeć.

- Czy pani siostra też tu pracuje?
- Nie, na Boga! Ale mieszka ze mną i rozbija się po mieście. Przypomina piłkę tenisową: jeśli zostawi ją pan luzem w pokoju, wciąż będzie się pan o nią potykał. Na pewno będzie tu wpadać kilka razy w tygodniu.

Ronaldowi zaświeciły się oczy.

- Dokładnie wiem, co pani ma na myśli! Kochają pani, ale doprowadza panią do szału.

- Otóż to - Bree odstawiła filiżankę i westchnęła. - Wie pan, ja po prostu nie jestem pewna, czy nie jest pan zbyt normalny, żeby tu pracować. Nawet pan sobie nie wyobraża - dodała z przejęciem - jak bardzo bym chciała widzieć tutaj codziennie kogoś tak normalnego jak pan.

- Ktoś musiał być pierwszy - mruknął Roland. - Byłbym wdzięczny, gdyby powiedziała to pani mojej matce. W takim razie co jest nie tak z tą moją normalnością?

- Wyjaśnię panu. Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. - Bree z uśmiechem pochyliła się do przodu. - Czy widzi pan ten obraz nad kominkiem?

- A mógłbym go nie widzieć?! - zawołał Roland. - Nie chciałem nic mówić, ale jest naprawdę upiorny. Jak mogła go pani tu powiesić?!

- Ha! - zawołała Bree. - Tak myślałam! Proszę, proszę, proszę, niech pan dla mnie pracuje! Pierwszą rzeczą, jaką się zajmujemy, będzie pozbycie się tej potworności. Chyba nie jestem w stanie zrobić tego sama.

Ronald opuścił filiżankę i spojrzał na nią skonsternowany.

- Ależ kochana, nic dziwnego, że nie jest pani w stanie. To kopia Wzlotu kormorana.

Leciutki wiatr powiał z kątów pokoju i poruszył jego włosami. Bree miała ochotę krzyknąć albo z rozpaczyci palnąć się w głowę.

Powstrzymała się jednak i tylko zaproponowała Ronaldowi Parchese żałośnie niską płacę, która obiecała podwyższyć najszybciej, jak tylko będzie mogła.

Dziesięć

Rozpocznij od początku... a później czytaj, póki nie dotrzesz do końca: wtedy przestań czytać.

Lewis Carroll, Przygody Alicji w krainie czarów tłum. Maciej Słomczyński

- Czy Benjamin Skinner został zamordowany? - spytała Bree swoich nowych pracowników. Siedziała u szczytu wielkiego stołu w salonie. Ronalda Parchese miała po lewej ręce. Petru siedział po prawej. Sasza siedział w kącie. Lavinia przycupnęła na krześle przy drugim końcu stołu, trzymając w jednej ręce ściereczkę do kurzu, a w drugiej puszkę wosku do czyszczenia mebli. (Utrzymywanie biura w czystości wliczone jest w czynsz - oświadczyła. Bree była sceptyczna; podejrzewała, że przez Lavinie przemawia zwykłe wścibstwo). - To pytanie jest kluczowe dla sprawy. Nasza klientka Liz Overshaw jest przekonana, że go zamordowano. Naszym zadaniem jest ustalenie, jak było naprawdę.

- To trochę zbyt sensacyjne - mruknął Ronald. - Oglądam czasami Prawo i porządek, ale na tym się kończy moja znajomość technik śledczych.

- Zdawało mi się, że ten Skinner utonął po tym, jak wypadł za burtę jachtu - powiedział Petru.

Bree potarła czoło.

- Tak, wiem. Może został wypchnięty? Nie wiadomo.

- Jeśli ktoś go wypchnął, to na pewno synalek - odezwała się Lavinia. - Tylko on był z nim na łodzi. Hańba i tyle. Smarkacz zabija własnego tatę.

- Liz uważa, że to nie syn - powiedziała Bree. - Albo inaczej: jest przekonana, że mordercą jest jedna z czterech 120 osób. - Zajrzała do notatek. - Douglas Fairchild, Carlton Montifiore, John Stubblefield albo Chastity McFarland.

- Czy ktoś jeszcze był wtedy na łodzi? - spytał Ron.

- O ile mi wiadomo, nie. Musimy sprawdzić tę czwórkę.

- No, no - powiedziała Lavinia. - Same grube ryby.

Bree ponuro skinęła głową. Otworzyła przed sobą obszerne notatki ze wstępnych internetowych poszukiwań dotyczących osoby Skinnera.

- To prawda. Douglas Fairchild jest znany z dużych inwestycji w Savannah, przy wielu projektach współpracował też ze Skinnerem. Choćby przy apartamentowcu pod nazwą Island Dream. John Stubblefield to większościowy udziałowiec w jednej z najbardziej liczących się firm prawniczych w Georgii. Reprezentuje Skinnera i jego rodzinę. - Zrobiła pauzę. - Ostrzeżono nas już przed tym facetem. Dlatego sądzę, że podejrzenia Liz nie są zupełnie od rzeczy. Idźmy dalej: Carlton Montifiore to miejscowy przedsiębiorca budowlany. Postawił Skinnerowi wiele budynków w Georgii, między innymi właśnie Island Dream. No a Chastity McFarland jest, a raczej była, kochanką Skinnera.

- Takie historie to zazwyczaj sprawa żony - roztropnie zauważyła Lavinia. - Ten Ben miał żonę? Olivia właśnie tak zrobiła z Josiah. On ma jakąś urazę do kobiet, ten Josiah. Musisz na niego uważać, Bree.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do Bree, że Lavinia mówi o nieboszczykach pogrzebanych na cmentarzu za oknem.

- Był wdowcem - powiedziała. - Skinner, znaczy się.

- Był na łodzi ktoś z podejrzanych? - spytała Lavinia.

- Nie - stanowczo odparła Bree. - Nikogo z nich nie było na łodzi.

Lavinia umilkła i zamyśliła się.

- Do listy podejrzanych powinniśmy chyba dodać syna Skinnera i jego żonę? - spytał Ronald. - Moim zdaniem to wręcz oczywiste, że mogli go zamordować. Tak oczywiste, że aż naprawdę mogli to zrobić - łapiecie, o co mi chodzi?

Tak oczywiste, że to nie mogli być oni, że aż musieli to być oni - powiedział Petru. - Hm...

- Myślę, że powinniśmy wziąć ich pod uwagę - zgodziła się Bree. - Liz była jednak święcie przekonana, że winne jest jedno z tej czwórki, którą pokazywali w telewizji.

Ron uniósł brwi.

- Czy wyjaśniła, dlaczego?

- Tak - przyznała Bree.

- Więc?

Bree westchnęła.

- Powiedziała, że zdradził jej to duch Skinnera. - Uniosła obie ręce, przygotowana na burzę protestów. - Wiem, wiem! To kompletne szaleństwo.

- Dobrze byłoby wiedzieć, jak jej to powiedział - z pełną powagą oświadczyła Lavinia. - We śnie? Pokazał jej się za dnia? U duchów takie rzeczy są ważne.

- Zapytam ją - sucho powiedziała Bree.

- Muszę przyznać, że to dobry powód, by wykreślić krewnych z listy podejrzanych - odezwał się Petru. - Umarłym nieczęsto pozwala się mówić.

- Tak czy inaczej Skinner mógł się mylić - powiedział Ron. - To się już zdarzało. Duchy nie są nieomyślne.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - burknął Petru. Wszyscy pokiwali głowami ze zrozumieniem. Bree westchnęła tylko i powiedziała:

- Weźmiemy pod lupę młodych Skinnerów. W zasadzie - dodała - mogę powiedzieć, że znam Jennifer Skinner, zresztą z domu Pendergast, i jeśli nadal jest tak upierdliwa, jak w czasie studiów, to nie wykluczałabym, że zabiła swojego teścia. - Wielkimi literami dopisała nazwisko Jennifer na końcu listy podejrzanych. - No dobrze. Pytanie brzmi: od czego zaczynamy?

- Może powinniśmy wynająć zawodowca? - zaproponował Petru. - W moim kraju jest wielu bezrobotnych z dawnego KGB, którzy chętnie by się zajęli taką sprawą. Tu pewnie jest inaczej. Czy ktoś proponował jakiegoś dobrego detektywa?

Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Bree, a Bree z irylicją przypomniała sobie o wizytówce, którą wręczył jej profesor Cianquino. Pora już zacząć podejmować samodzielne decyzje. Gabriel Striker był jak na jej gust odrobinę/byt apodyktyczny. To była jej sprawa, jej klientka, jej pracownicy.

- Najpierw przekonamy się, ile możemy zdziałać własnymi siłami.

- Sprawdźże najpierw tych Pendergastów - powiedziała Lavinia. - Mhm... W tej rodzinie płynie niedobra krew.

- Wyborna sugestia - powiedziała Bree z fałszywym entuzjazmem. Pozytywna motywacja była techniką zarządzania, którą zamierzała stosować często, by wynagrodzić nędzną płacę. A skoro Lavinia zachowuje się tak, jakby za darmo dołączyła do personelu, nie musi robić dla niej wyjątku. - Najpierw trzeba jednak zebrać trochę faktów. Musimy dostać raport koronera i wszystkie informacje, jakie zebrała policja. Ron, zajmiesz się tym? Ty, Petru, zbadaj samego Skinnera. Musimy wiedzieć o nim wszystko. Zacznij od Google'a. Przejrzyj artykuły w czasopiśmie, książki, wiadomości w gazetach, sporządź listę jego krewnych, partnerów biznesowych. Zwróć szczególną uwagę na wszystkich, z którymi miał na pieńku. Skinner namiętnie się procesował, pół życia spędził w sądach - jako powód albo jako pozwany. Skup się na większych sprawach z ostatniego roku. Przyjrzyj się dokładnie tym, które wygrał. Pominęłabym te, w których sędził się z korporacjami. Morderstwo to zwykle sprawa osobista i wątpię, czy na przykład ktoś w zarządzie Pepsi-Coli naprawdę mógłby chcieć jego krwi. Jeśli będziesz potrzebował informacji na temat konkretnych spraw, znajdź je w bazie Lexis. Szukamy powiązań między Skinnerem i czworgiem głównych podejrzanych: Fairchildem, Montifiorem, Stubblefieldem i McFarland. Oczywiście wygooglaj też całą tę czwórkę.

Ronald wstukiwał staranne notatki w swojego Black-Berry. Petru gryzmolił cyrylicą w liniowanym notatniku.

- Zamierzam kolejno prześwietlić wszystkich podejrzanych - powiedziała Bree. - Więc jeśli wpadnie wam w oko coś ciekawego... - zamachała telefonem - dzwońcie, dobrze?

- Coś jeszcze, psze pani? - spytał Ron, salutując żartobliwie.

Bree skinęła głową. Dziś z samego rana odebrała telefon od rodziców z mnóstwem sugestii dotyczących przyszloty-godniowego przyjęcia z okazji otwarcia kancelarii. Podczas gdy ona będzie węszyć po mieście, większością spraw mógłby zająć się Ronald. A pomyśleć, że martwiła się, czy znajdzie dla niego i Petru zajęcia na pełen etat.

- Ojej, ponuro wyglądasz - powiedział Roland. - Martwisz się czymś? Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Chodzi o moją matkę.

Petru przybrał grobowy wyraz twarzy. Bree nie chciała go pytać, skąd taka mina. Domyślała się, że Rosjanie darzą silnymi uczuciami również swoje matki.

- Ogłosiła w branżowej gazecie, że otwieram praktykę.

- Czyli możemy liczyć na nowych klientów? - spytał Ron. - Doskonale. Nie ma się czym martwić.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Bree. - Chodzi mi o coś, co uzupełnia to ogłoszenie. Mianowicie zaproszenia na przyjęcie firmowe.

- Jakie zaproszenia? - Ron w pierwszej chwili nie zrozumiał. - Ach! Impreza! To wspaniale, prawda?

- Już w przyszłym tygodniu. Dziesiątego. Między piątą a siódmą. Oczywiście wszyscy zostaniecie przedstawieni. Moja matka zarezerwowała restaurację 700 Drayton.

- Rezydencja Mansion w Forsyth Park! - zawołał Ronald. - To niesamowite, prawda?

- Dlatego proszę was wszystkich: wpiszcie sobie tę datę w kalendarzu.

- Muszę się zająć jedzeniem i kwiatami - powiedział Ron. - Wiesz, Bree, moja matka jest absolutnie zachwycona, że odszedłem z Dillarda i zacząłem pracować w swoim

zawodzie. Ale wciąż mam jeszcze żyłkę projektanta! unosił ręce i poruszał palcami. - Zostaw to wszystko mnie.

- Z radością zostawię to wszystko tobie - szczerze przyznała Bree. - Kwiaty znajdziesz w Savannah Design. Zaplanuj menu. Znając moją matkę, powinniśmy być przygotowani na co najmniej sześćdziesiąt osób. Skoro nie mamy już nic więcej do omówienia...

- Chcecie, żebym wam opowiedziała o tych Pendergastach? - spytała pani Mather. - Ten Josiah leży tam i czeka. Mijacie go za każdym razem, jak wychodzicie z domu.

Bree uśmiechnęła się i powiedziała grzecznie:

- Później usiądziemy sobie razem we dwie i wszystko mi pani opowie, pani Mather. - Zerknęła na zegarek. - Jestem umówiona na jedenastą z Liz Overshaw. No, moi drodzy, do roboty!

Kwatery główne Skinner Worldwide Inc. zajmowały piętnaście z dwudziestu pięter biurowca Skinner Tower w Atlancie. Bree zorientowała się jednak, że większość kierownictwa firmy poszła w ślady Skinnera i rezydowała w zakupionych albo wybudowanych przez siebie letnich domach na Tybee Island.

- Większość kluczowych decyzji zapada przy kieliszku w klubie na wyspie - wyjaśniła Liz Overshaw, prowadząc ją do swojego solarium. Wskazała jej wiklinowe krzesło na wprost panoramicznego okna wychodzącego na morze. - Usiądź.

Bree usiadła. Słońce świeciło jej prosto w oczy, dlatego wstała, ustawiła krzesło pod dogodniejszym kątem i usiadła znowu. Liz mieszkała w starym domu, wybudowanym w typowo południowym, plantatorskim stylu, pokrytym szarą boazerią i z otwartym gankiem. Wnętrze sprawiało wrażenie urządzonego w pośpiechu, bez dbałości o dobór kolorów, i ogólnie przypominało stylem samą Liz.

Budynek był jednak całkiem przyzwoity, a widok na Atlantyk wspaniały.

Liz wyglądała chyba jeszcze bardziej niechlujnie niż podczas spotkania u profesora Cianquino. Cerę miała ziemistą. Krótkie, siwiejące włosy zaczesła do tyłu i niedbale przewiązała chustką. Ubrana była w workowate spodnie i lekki pulower z rękawami zawiniętymi ponad łokcie. Krótkimi, niespokojnymi krokami chodziła w tę i z powrotem wzdłuż całego solarium, obrzucając Bree nieżyczliwym wzrokiem.

- Chyba wyraziłam się jasno: nie chcę, żebyś mi zawracała głowę tą sprawą, dopóki nie będziesz miała jakichś wyników.

- Nie będę cię pytać o... - Bree zawahała się przez chwilę. Cóż, jeśli powiedziało się A, to trzeba powiedzieć B; dokończyła zatem prosto z mostu: - O ducha. Najprawdopodobniej nie ma to nic wspólnego ze sprawą ani ze wszystkim, co mogę dla ciebie zrobić. - Chyba że masz kuku na muniu, dodała w myślach, a cała ta sprawa to ćwiczenie z wariactwa. - Więc odłóżmy to na bok.

Liz nieco rozluźniła ramiona i zwolniła swój niespokojny krok.

- Zanim jednak ruszę z miejsca, muszę zebrać trochę dodatkowych informacji. A wydaje mi się, że nasza rozmowa będzie bardziej efektywna, jeśli będziesz łaskawa usiąść. - Uśmiechnęła się. - W głowie mi się kręci, kiedy tak wydeptujesz ścieżkę na dywanie.

Liz spojrzała z zakłopotaniem na swoje stopy. Obok krzesła Bree stała ciemnobrązowa dwuosobowa sofa; Liz usiadła na niej gwałtownie, jak gdyby ktoś ją popchnął.

- Co byś powiedziała na filiżankę kawy? - zaproponowała Bree. - Ta miła pokojówka, która mnie wpuściła, na pewno parzy świetną kawę.

Liz spojrzała na nią. Twarz rozjaśnił jej nikły uśmiech, przywołując na chwilę ślad urody, jaką Liz musiała się cieszyć jakieś dwadzieścia lat wcześniej. Odwróciła się przez ramię i krzyknęła:

Elphine! Kawa! - Przesunęła dłońmi po włosach i / westchnieniem rozparła się na sofce. - Zadowolona? Możemy kontynuować?

Bree wyjęła z aktówki notatnik.

- Zaczniemy od ewentualnych wrogów w kręgach biznesowych. Współpracowałaś z panem Skinnerem przez wicie lat, prawda? Czy od początku byłaś mocno zaangażowana w jego interesy?

- A co to ma do rzeczy? Bree wzruszyła ramionami.

- Nie będę wiedziała, dopóki mi nie powiesz. Nie mam jeszcze żadnej wiedzy na temat sprawy i zastanawiam się, z której strony się do tego zabrać. Jeśli policja wierzy, że przyczyną śmierci Skinnera było utonięcie spowodowane zawałem serca, nie ma mowy o tym, żeby udało się zgromadzić przekonujące dowody zaprzeczające tej tezie. Posłałam po raport koronera, wynik autopsji i całą resztę, ale przyczyna śmierci wydaje się oczywista. Nie sądzisz?

Liz zacisnęła usta.

- Może i tak. Ale może zatuszowano jakieś fakty. Ktoś mógł też być zwyczajnie niekompetentny.

Bree potrząsnęła głową.

- Ten człowiek był zbyt dobrze znany, by można było brać pod uwagę sfuszerowane śledztwo. Nad sprawą czuwają media. A jeśli morderstwo zostało zatuszowane, to nasuwa się zasadnicze pytanie: dlaczego? Na to pytanie próbuję znaleźć odpowiedź.

- I liczysz na to, że grzebiąc w przeszłości, wykopiesz jakieś tłuste kąski? - Liz obnażyła zęby w nieprzyjemnym uśmiechu. - Do diabła, może i masz rację.

Rozległ się szelest rozsuwanych drzwi i weszła pokojówka z tacą. Była to matrona o przenikliwym spojrzeniu, ubrana w wygodne buty i prosty domowy strój. Podała Bree filiżankę kawy i spytała:

- Panna Beaufort? Bree uśmiechnęła się.

-Tak, to ja.

-Pani chyba zna moją cioteczkę. Pannę Lavinie.

- Przez chwilę świdrowała Bree spojrzeniem ciemnych, nieprzeniknionych oczu.

Bree poruszyła się pod jej badawczym wzrokiem, a potem skinęła głową:

- Owszem.

-Ciocia pomyślała, że może pani mogłaby mi pomóc, bo ja mam problem. Z moim pasierbem Rebusem. Wziął się ten Rebus i zabił.

- Oczywiście - serdecznie powiedziała Bree. Nie przepadała za sprawami tego typu, ale nie mogła odmówić krewnej Lavinii. Sięgnęła do torebki i podała pokojówce wizytówkę. - Proszę zadzwonić do mojego biura, pan Lucheta albo pan Parchese umówią panią na wizytę.

- Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? - sarkastycznie spytała Liz. - Polecić ci jeszcze paru nowych klientów?

- Spojrzała przez ramię na pokojówkę. - To wszystko, Elphine.

Elphine opuściła solarium z taką samą godnością i gracją, z jaką weszła. Bree odprowadziła ją zamyślnym wzrokiem, po czym spytała Liz:

- Długo jest u ciebie? Pani Mather, ma się rozumieć?

- Kto, Elphine? Nie. Zaczęła u mnie pracować dokładnie w dniu śmierci Skinnera. Mojej poprzedniej pokojówce przydarzyło się coś głupiego i odeszła. Może złamała nogę? Nie pamiętam. Obie są z agencji. W każdym razie to agencja przysłała Elphine, kiedy tamta uciekła. - Zabębniła palcami po oparciu fotela. - Słuchaj, po południu mam spotkanie z potencjalnymi inwestorami. Czy mogłybyśmy kontynuować?

- Zaczęłaś mówić o wrogach pana Skinnera w kręgach biznesowych. Od dawna go znałaś?

- O niczym, do cholery, jeszcze nie zaczęłam mówić. No, ale moja kariera to w końcu żaden sekret; Bóg mi świadkiem, że branżowe czasopisma opisały ją w szczegółach.

Skinner zatrudnił mnie dwadzieścia lat temu. Skończyłam właśnie Wharton i chciałam zostać dyrektorką finansową u kogokolwiek, i to jak najszybciej. Skinner właśnie zaczynał ekspansję za granicą.

Umilkła ze wzrokiem wbitym gdzieś przed siebie. Milczała przez dłuższą chwilę.

- Skinner nie był miłym facetem. Był pasożytem. Był wymagający i mściwy. Jeśli weszłaś mu w drogę, to już tylko diabeł mógł ci pomóc - bo na pewno nie Bóg. Gdyby musiał, sprzedałby własną żonę, dzieci, wszystkich.

- Masz rodzinę, Liz? - spytała Bree.

- Ja? - prychnęła. - A po diabła mi rodzina? Wystarcza mi biznes. Skinnerowi też wystarczał. - Potrząsnęła głową w geście podziwu. - Powiem ci coś, panno Beaufort. To był kawał cholernie dobrego biznesmena. Wszystko, czego tknął, zamieniało się w złoto. Kiedy kończyłam Wharton, miałam sto tysięcy dolarów kredytu zaciągniętego na studia i jedną koszulę na grzbiecie. Po pięciu latach miałam dwa miliony. Po dwudziestu byłam już naprawdę bogata. - Uniosła rękę i rozpostarła palce. - Mam dom w Palm Beach, mieszkanie w Londynie... - urwała. - Dlaczego tak na mnie patrzysz? Czy ty sobie wyobrażasz, ile ja jestem warta? Mam... - umilkła i przygryzła wargę, a potem dokończyła wyzywająco: - Mam wszystko, czego chciałam od życia.

Bree opuściła wzrok na swój żółty notatnik, w którym machinalnie nabazgrała zapłakaną twarz. Sama nie wiedziała, czy współczuć Liz, czy nie. Na pewno nie czuła do niej specjalnej sympatii.

- To bez wątpienia imponujące osiągnięcia - powiedziała i wzięła głęboki oddech. - Przez te wszystkie lata pan Skinner musiał narobić sobie wielu wrogów.

- Wiesz, nie sądzę - powiedziała Liz, jakby zaskoczona. - Jasne, uzbierałoby się pewnie z pół tuzina ludzi, którzy życzyli mu śmierci; ale raczej nie więcej. Owszem, Skinner był sukinsynem, ale uczciwym sukinsynem. Nigdy nikogo nie pograżył, a przynajmniej nikogo, kto na to nie zasługiwał.

Bree zamrugnęła.

- Tak, wiem. - Liz poruszyła się na sofie. - Wiem, jaka jest powszechna opinia. Nie twierdzą, że był sympatyczny - co to, to nie. Ale nie był oszustem. I nie tolerował oszustów.

- Powiedziałaś, że z czasem dorobił się paru zaprzysięgłych wrogów. Zaczniemy od nich. Zwłaszcza od tych, którzy w dniu jego śmierci byli w okolicach Savannah.

- Zgodnie z teorią, że ci dawniejsi mogli go zamordować już znacznie wcześniej? - Liz potrząsnęła głową. - Nie musisz ich sprawdzać. Powiedziałaś ci, gdzie musisz szukać. Skinner został zamordowany przez kogoś z tej czwórki: Fairchilda, Montifiore...

- Stubblefielda albo pannę McFarland - dokończyła za nią Bree. Wzięła głęboki oddech. - Niech będzie. Co z motywem?

- Nie mam pojęcia.

- Czy obecnie istnieją jakieś powiązania między tą czwórką?

- Oczywiście - Liz z irytacją uniosła brwi. - Myślałam, że w Savannah wszyscy o tym wiedzą.

- Mieszkam tu dopiero od tygodnia. - Bree praktykowała w firmie prawniczej swojego ojca przez całe pięć lat i wyjątkowo dobrze radziła sobie z trudnymi klientami. Spróbowała teraz wykorzystać te umiejętności. - Zatem byłabym wdzięczna, gdybyś zechciała mnie oświecić. Pozwól, że zgadnę: współpracowali przy jakiejś inwestycji, tak?

- Zgadza się. Island Dream. Piętnastopiętrowy apartamentowiec jakieś trzy mile stąd. Ustawiony frontem do plaży. Fairchild i Skinner już dość dawno wykupili dwadzieścia akrów ziemi wokół starego fortu nad kanałem. Skinner myślał o odrestaurowaniu fortu - chciał sobie tam urządzić rodzinny dom. No ale w międzyczasie umarła Lyn, jego żona, a syn nie był zainteresowany, więc Fairchild wykupił Skinnera. Wyburzył fort i zbudował Island Dream. Skinner był wściekły.

Towarzystwo Historyczne w Savannah zażarcie broniło zabytkowych budowli. Bree głośno wyraziła swoje zdziwienie, że władze hrabstwa zezwoliły na wyburzenie fortu.

- No cóż, było trochę smrodu. Ale Fairchild ma w kieszeni wielu ludzi w mieście. Pochodzi z rodziny zasiedziałej tu od wieków, wszystkich zna i umie to wykorzystać. Tak czy owak poradził sobie z Towarzystwem Historycznym. Skinner zawziął się, że z nim nie pójdzie mu tak łatwo. Wkurzył się, bo Fairchild początkowo twierdził, że zamierza przebudować fort i urządzić w nim sześć rezydencji, a potem okazało się, że buduje sto piętnaście apartamentów dla multimilionerów. Skinner nie miał żadnych podstaw prawnych do procesu, ale wniósł pozew przeciwko Fairchildowi, a przy okazji przeciwko deweloperowi Montifioremu.

- Nie sądziłam, że Skinner lubił stare budynki - powiedziała Bree.

Liz parsknęła śmiechem.

- Nie lubił. Był wściekły, że nic na tym nie zarobi. - Uśmiechnęła się sentymentalnie. - To był właśnie cały Ben. W chwili śmierci miał majątek wart jakiś miliard dolarów, a potrafił się wściec o głupie dziesięć milionów.

- Czyli Fairchild i Montifiore wystąpili w tym procesie jako pozwani - powiedziała Bree. - A co ze Stubblefieldem?

- Stubblefield sporządził umowę, która pozwoliła Fairchildowi przejąć fort. Jego firma reprezentuje Skinnera, a raczej reprezentowała, dopóki Skinner nie oskarżył go o niekompetencję. Tak czy owak w pewnym stopniu przyłożył się do sprawy. Skinner poprzysiągł, że na dobre wygryzie firmę Stubblefield i Marwick z interesu.

- Widzę tu istotne motywy - zauważyła Bree. - Czy twoim zdaniem któryś z tych pozwów miał konkretne podstawy prawne?

- To taki okrężny sposób zadania pytania, czy Skinner zrobił to na złość? Pewnie, że tak. Po części dlatego, że poczuł się wyrolowany przez Fairchilda. A po części dlatego, że to Fairchild, a nie on, umiał tak zakombinować, żeby wyburzyć fort. Dlatego Skinnerowi nie były potrzebne konkretne podstawy prawne, jak je nazywasz. Nie jemu. Skinner nigdy nie był kimś, kto siedzi z założonymi rękoma i pozwala się oszukać, zwłaszcza gdy robi to banda sztywnych, bezmózgich pasożytów, z fortunami odziedziczonymi po rodzicach. - Liz uśmiechnęła się szyderczo. Rodzina Bree знаła Fairchildów i Bree musiała przyznać, że w złośliwej ocenie Liz jest trochę prawdy.

- Przejdźmy do Grainger i Jennifer - powiedziała. - Wiem, że nie ma ich na twojej liście podejrzanych...

- Na liście Skinnera, nie mojej.

- Tak - wymijająco przyznała Bree. - Jak się układały stosunki pana Skinnera z synem?

- Mogło być gorzej. Skinner wiązał z nim wielkie nadzieje. Myślę, że był z niego bardzo dumny, kiedy Grainger skończył medycynę. Na pewno bez mrugnięcia płacił jego rachunki, kiedy Grainger zaczynał praktykę w Savannah.

Ale nie zainwestował w chłopaka zbyt wielkich pieniędzy. Grainger ma swój fundusz powierniczy - dość skromny, zważywszy na wartość majątku Skinnera. A teraz, po jego śmierci, nie dostanie po nim ani centa. To już dawno ustalone. Dlatego nie powiedziałabym, że Skinner miał z nim jakiś problem.

- Z tego jednak wynika, że Grainger miał problem ze swoim tatą.

- Grainger... Tak. Stary dobry Grainger. - Liz zacisnęła mocno oczy i otworzyła je z powrotem. - Zrozum, Skinner zbudował wszystko z niczego. Pochodził z biednej rodziny, jego rodzice byli zwykłymi farmerami. A Grainger się wzenił...

-...w Pendergastów - powiedziała Bree. - To fakt. Pendergastowie to zasiedziała rodzina, mieszkają w Georgii od czasów kolonii Oglethorpe'a.

- Ty chyba znasz Jennifer? - Liz posłała jej swój lodowaty uśmiech. - Wy, debiutanci, trzymacie się razem, nie? No cóż, pannę dziedziczkę Jennifer trochę mierzily prostackie maniery i zwyczaje drogiego staruszka. Zwłaszcza gdy się dowiedziała, że Grainger odziedziczył już wszystko, co mu się należy, i nie dostaną po nim ani centa więcej.

- Czyli mogła żywić urazę.

- Mogła. Ha! Powiem ci coś: ta młoda dama posuwała się do najgorszych świństw, żeby tylko nakłonić Skinnera do zmiany planów względem Fundacji.

- Słyszałam o Fundacji Skinnera - powiedziała Bree. Finansuje telewizję publiczną w Georgii.

- Nie tylko telewizję. Wspiera też wiele innych rzeczy. Tak czy owak to oni najbardziej skorzystali na śmierci Skinnera. Panna Jennifer starała się to zmienić.

- Naprawdę?

Liz wzruszyła ramionami.

- Być może. Sama ją o to spytaj.

- Pewnie tak zrobię.

Liz wstała, ziewnęła i przeciągnęła się.

- To by było na tyle. Boże, jestem wykończona. - Znów usiadła i przesunęła ręką po twarzy. - Zaspokoiliś już swoją ciekawość? Zamierzasz coś wreszcie zrobić w tej sprawie? Cianąino mnie zapewniał, że mogę się spodziewać wyników. Masz zamiar osiągnąć jakieś wyniki? Nie jestem specjalnie zachwycona tym, co zrobiłaś do tej pory.

Bree bez słowa schowała notatnik do aktówki. Mimo wszystko są granice, w jakich prawnik musi pobłażać klientowi. Najuprzejmiejszym tonem, na jaki umiała się zdobyć, zapytała:

- Czy mogę cię o coś spytać? Jak sądzisz, w jaki sposób pan Skinner mógł zostać zamordowany?

Liz popatrzyła na nią spode łba.

- Pan Skinner płynął właśnie jachtem „Sea Mew”, gdy dopadł go zawał serca; wpadł do oceanu i utonął. Jedyne osoby, które były z nim na pokładzie, to jego syn i synowa.

Wiem, co Skinner ci... no... powiedział. Ale co ty sama o tym sądzisz? Czy uważasz, że ta dwójka jest niewinna, a Skinnera zabiła na przykład trucizna, którą ktoś dołał mu do drinka w klubie na Tybee Island? - Bree pozwoliła sobie na odrobinę irytacji. - Czy może na pokładzie był ktoś niewidoczny dla Graingera i jego żony? Mam nadzieję, że nie kosmici.

- On nie utonął w morzu - stwierdziła Liz po dłuższej chwili.

- Nie? - spytała Bree.

- On nie utonął w morzu. - Liz zadrżała, mimo że klimatyzacja przegrywała walkę ze słonecznym żarem i solarium było już nagrzane do nieprzyjemnej temperatury. Oczy jej się rozszerzyły, ukazując białka wokół źrenic. Głosem niewiele głośniejszym od szeptu powtórzyła po raz trzeci, jak gdyby wypowiadała jakąś inkantację:

- Skinner nie zginął w morzu.

Jedenaście

Ileż razy mówiłem ci, że gdy tylko wyeliminujesz rzeczy niemożliwe, wówczas to, co pozostanie, chociaż nieprawdopodobne, musi być prawdą?

Arthur Conan Doyle, Znak czterech tłum. Krystyna Jurasz-Dąmbska

Kiedy wróciła do biura, było już późne popołudnie. Petru nie wrócił jeszcze z biblioteki. Lavinia siedziała u siebie razem z Saszą. Bree miała nadzieję, że pies nie gustuje w lemurach. Kiedy weszła do pokoiku przeznaczanego do przyjmowania klientów, Ron zerwał się na równe nogi i powitał ją radośnie. Czekala już na nią świeżo zaparzona kawa. Bree zaczynała czuć się tutaj jak w domu.

- Ależ owszem, zginął w morzu - powiedział wesoło Ron. Położył przed Bree raport z autopsji i usadowił się wygodnie na rogu biurka, przyciskając pośladkiem teczkę z aktami. - Miał morską wodę w płucach. A raczej w tym, co z nich zostało.

- W tym, co z nich zostało? - powtórzyła Bree. Ron zamachał dużą szarą kopertą.

- Mam też zdjęcia z autopsji. To niesamowite, jak szybko potrafią działać urzędnicy hrabstwa Chatham w sytuacjach, gdy nieodżałowany zmarły jest kimś naprawdę importancie.

Bree zmierzyła go wzrokiem. Rzeczywiście, Ron dokonał czegoś niesamowitego; postanowiła jednak, że nie będzie się zbyt nachalnie dopytywać o jego metody. Wyciągnęła rękę po kopertę. Ron trzymał ją poza jej zasięgiem.

- Nie jestem wrażliwa na takie rzeczy - powiedziała ze zniecierpliwieniem w głosie.

Ale ja jestem, moja droga, i kiedy to zobaczył rrdj omal nie puściłem pawia. Biedny staruszek wpadł w spienioną wodę i jakimś trafem dostał się pod śrubę. Masakra.

- Pod śrubę? - powtórzyła Bree. Czuła narastającej obrzydzenie. Wpatrywała się w szarą kopertę. Cóż, wielkie pająki też budziły w niej obrzydzenie, a jednak umiała sobie z tym poradzić. Sięgnęła po kopertę i wysypała zdjęcia na biurko. Były paskudne. Naprawdę paskudne. I mieniły się pełną gamą kolorów. - Brr... Jak oni w ogóle byli w stanie stwierdzić, że utonął? Czy zostało z niego wystarczająco wiele, żeby go... no... zbadać?

- Pewnie, że tak. Przyczyna śmierci nie budziła wątpliwości. Zabierz to sobie do domu. Przemiała lektura do poduszki. - Ron przykrył zdjęcia drugim raportem. Bree była mu wdzięczna za ten gest. - Przesłuchania policyjne syna i jego żony.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała Bree. - Jak ci się udało wynieść to z komisariatu?

- Z chwilą oficjalnego zamknięcia sprawy te rzeczy przestaną być tajne, więc w czym problem? - Ron poruszył brwiami. - Zadanie ułatwił mi oczywiście słynny urok osobisty Ronalda Parchese.

Bree sięgnęła po raport. Podpisał go porucznik Hunter. Pod spodem przypięty był zapis przesłuchania Graingera Skinnera i jego żony Jennifer.

- Mogę ci to streścić, jeśli chcesz - powiedział Ron gawędziarskim tonem. - A nawet jeśli nie chcesz. Oszczędzę ci czasu na czytanie. Otóż Skinner siedział jak zwykle na dziobie. Nie było wiatru, więc wracali do portu z włączonym silnikiem. Wtedy, jak zeznał doktorek...

Bree uniosła brew.

- Dktorek?

- Jego syn Grainger. Jest lekarzem. No więc, jak zeznał doktorek, było tak: tatuś siedzi na dziobie, popijając dietetyczny napój, aż nagle łapie się za pierś i wpada do wody. Dktorek wrzeszczy do żony, żeby zawróciła łódź, i pędzi po bosak. Zaczyna łowić tatusia, kiedy pani doktorowa... 136

Jennifer - wtrąciła Bree, kartkując raport.

...nasza Jennifer - radośnie zgodził się Ron - przejeździł po tym biedaku śrubą jachtu, oczywiście najzupełniej przypadkowo. Widząc to, wpada w histerię; Graingerowi udaje się wreszcie wciągnąć ciało na pokład, stąd te ślady po haku na plecach. - Wyszukał i pokazał jej właściwe zdjęcie. Bree miała ochotę zamknąć oczy. - Tak czy owak (iianger wzywa Straż Przybrzeżną, która zjawia się w mgnieniu oka. Wszyscy krzyczą, płaczą i pędzą do portu, oczywiście nie licząc naszej ofiary, niezdolnej już do działania. I to wszystko.

- Nieźle - Bree wzięła głęboki oddech, a potem upiła

długi łyk kawy.

Jeszcze raz przejrzała zdjęcia i potarła kark. - Nie podoba mi się to - powiedziała w końcu. - Załóżmy, że nasza klientka ma rację i Skinner został zamordowany. Oczywiście jest jednak, że jedynymi podejrzanymi są Grainger i jego żona. Ale jak im to udowodnić? Zapewniają sobie wzajemne alibi.

Trzasnęły frontowe drzwi. W salonie wybrzmiało znajome szur-stuk. Ron zeskoczył z biurka, wyjrzał z pokoju i zaintonował:

- A kuku! Jesteśmy tutaj!

Kiedy Petru wchodził do pokoju, Bree odruchowo wstała. Petru był od niej starszy, a do tego utykał i witanie go na siedząco wydawałoby jej się nawet nie tyle niegrzeczne, co po prostu aroganckie. Petru miał też problem z siedzeniem w skórzanym fotelu, który najwyraźniej był dla niego zbyt głęboki i śliski. Ron przyniósł mu zwykłe krzesło i postawił je przy biurku, po czym oparł ręce na biodrach i rozejrzał się po małej przestrzeni pokoju.

- Nie gniewaj się, Bree, ale jeśli chodzi o meble, twój gust jest żaloszny. Po prostu żaloszny.

Bree podniosła wzrok znad protokołu z przesłuchania Jennifer Skinner, sporządzonego przez porucznika Huntera. Na podłodze leżał wytarty i zlachmaniony orientalny dywanik.

Fotel z brązowej skóry był tak poprzecierany, że miejscami widać było podszewkę skóry. Zielony abażur stojącej lampy pokrywała niepokojąca siatka równoległych zarysowań, jak gdyby ktoś przeciągnął po nim paznokciami.

- Mój stryj napisał w swoim testamencie czarno na białym, że nie wolno mi wykorzystywać jego mebli - przyznała. - Ale muszę oszczędzać. Mogłam jechać do Roche-Bobois po nowe meble, mój drogi Ronaldzie, ale wtedy nie miałabym z czego wypłacić ci pensji. Rozumiesz więc, że musiałam przywieźć te meble.

- Może to nie była kwestia gustu - powiedział Petru usprawiedliwiającym tonem. - Może raczej chciałaś uniknąć dziedzictwa.

- Jakiego dziedzictwa? - spytała ostro Bree. Ron cmoknął z dezaprobatą i pokręcił głową.

- Masz na myśli praktykę prawniczą stryja? Petru spojrzał na nią sponad szkieł okularów.

- Mam na myśli dziedzictwo kormorana.

- A gdybyś tak, Petru - spytała Bree, zachowując większą cierpliwość, niż by się spodziewała - zdradził mi nieco szczegółów? - Uniosła rękę apodyktycznym gestem. - Nie, czekaj. No jasne. Są tacy, co uciekają, tacy, co się chowają, oraz tacy, którzy w razie potrzeby nie wahają się przyjść z pomocą. Zgadza się?

- Zgadza się - powiedział Petru.

- W takim razie możesz śmiało przywołać to odwieczne dziedzictwo - powiedziała Bree cierpko. - Wbij sobie do głowy, że Beaufortowie nie uciekają przed nikim.

- Ha ha - ponuro odparł Petru.

- Ha ha? - spytała Bree. - A co to ma znaczyć?

- To znaczy, że musisz się jeszcze wiele nauczyć, zanim będziesz mogła tak o sobie powiedzieć. To właśnie znaczy „ha ha”.

Bree poczuła, że zaczyna w niej wzbierać południowy temperament, a to - jak odczuł na własnej skórze Szczur Payton - był bardzo zły znak.

- No przecież zaraz mnie... - zaczęła złowrogo. Ron klasnął w dłoń.

- Hola, hola! - Potem dodał dyplomatycznie: - Myślę, że my wszyscy musimy się jeszcze trochę nauczyć, więc nie skaczymy sobie do gardeł. Bree, wróćmy do tematu. Przydałoby się odrobinę ożywić ten pokój. A właściwie nie tylko ten pokój, ale i ciebie. Twoje warkocze to dzieło geniusza, mówiłem ci już? Trzeba jednak trochę jeszcze nad tobą popracować.

Bree ze wszystkich sił powściągnęła gniew.

- Chciałabym zwrócić ci uwagę, że jedną z rzeczy, nad którymi musimy jeszcze popracować, jest pomyślne zakończenie naszej sprawy.

- Święte słowa - przytaknął Ron, nie tracąc rezonu.

- Może jednak nic się nie stanie, jeśli odłożymy zabiegi upiększające na później.

- Na pewno nic się nie stanie. Najważniejsi są nasi klienci, prawda? Jesteśmy adwokatami. obrońcami. A jedną z rzeczy, jakie jeszcze robią Beaufortowie, jest wygrywanie spraw naszych klientów. W najbardziej uprzejmy, sprawiedliwy, kulturalny i mądry sposób, jaki tylko jest w ludzkiej mocy.

- W ludzkiej mocy - powtórzył! Petru. - Bardzo dobrze.

- Położył sobie rękę na kolanach i klasnął w dłonie.

- Zatem wróćmy do tego, co udało nam się zebrać w sprawie Liz Overshaw, dobrze?

- Stwierdziłaś, że Skinnera mogły zamordować tylko dwie osoby, jego syn i synowa, ale nie da się tego udowodnić - natychmiast przypomniał Ron. - A w świetle tego, co utrzymuje Liz Overshaw, to wielka szkoda.

- Czy ty jej wierzysz? - spytał nagle Petru.

- Czy ja... - powtórzyła Bree i urwała w pół zdania.

- Wierzę jej?

- Bo jeśli jej nie wierzysz, powinnaś zwrócić czek

- powiedział stanowczo Petru - i przekazać sprawę komuś, kto jej wierzy. - Przez chwilę wyglądał równie srogo, jak profesor Cianquino w chwili, gdy Bree podzieliła się z nim wątpliwościami co do zdrowych zmysłów Liz Overshaw. Petru odchrząknął przepaszająco. - Nie uważam, byśmy musieli osądzać, czy naprawdę mamy do czynienia z morderstwem. Uważam, że zawodowa lojalność zobowiązuje nas do tego, by wierzyć pannie Cwershaw.

Bree wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym rzekła powoli:

- A to dlatego, że jeśli damy wiarę Liz Cwershaw, będziemy mogli działać w jej najlepszym interesie. Masz absolutną rację, Petru. Popeliłam wielki błąd. Pozwoliłam, by moja antypatia dla tej kobiety przeszkodziła mi w spojrzeniu na sprawę z jej punktu widzenia.

Odczekała chwilę w milczeniu.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Oto dalszy plan działania. Ron? Chcę, żebyś dotarł do osobistej asystentki Skinnera i porozmawiał z nią.

Ron zmarszczył brwi.

- Masz na myśli tę nieprawdopodobnie tandetną blondynę, która mieszka na szczycie apartamentowca Skinnera?

- Nie, nie, nie. Blondyna to Chastity Mc-ktośtam.

- McFarland - skrupulatnie podpowiedział Petru.

- Tak. Mam na myśli prawdziwą asystentkę, która była odpowiedzialna za jego terminarz. Byłoby super, gdyby Liz Overshaw wskazała ci, gdzie możesz ją znaleźć. Chcę, żebyś ustalił godzinę po godzinie - nie, minuta po minucie - co Skinner robił przez ostatnie dwa dni życia.

Spojrzała na stertę materiałów zgromadzonych przez Rona i Petru.

- W dalszej kolejności musimy to wszystko porządnie przeczesać. Szukamy niezgodności, niewyjaśnionych faktów, przedmiotów, działań. Petru? Byłoby fantastycznie, gdyby udało ci się sporządzić jakąś mapę albo kalendarium życia Skinnera.

- A czym ty się zajmiesz? - zapytał Ron.

- Przepytałem po kolei wszystkich podejrzanych. Zaczę od Graingera.

- Myślisz, że pozwolą ci tak po prostu przyjść i go wypytać? - spytał z podziwem Ron. - Och, Bree. To naprawdę wymaga tupetu.

- Chodziłyśmy razem z Jennifer do szkoły panny Cho-ate w Nowym Jorku. Znam też jej młodszego brata. Jeśli trochę pokombinuję, powinno mi się udać. Spróbuję się z nią umówić na jutro po południu. A z samego rana chcę namierzyć Carltona Montifiore na którejś z jego budów.

- Doskonale - powiedział Ron. - Ale umów raczej oba spotkania na popołudnie. W ten sposób rano zyskamy trochę czasu na zakupy.

Bree uderzyła dłońmi w powierzchnię biurka.

- Ron! Skąd nagle to wielkie halo wokół moich strojów?

- Po prostu nie pokazujesz się z najlepszej strony. - Ron zmrużył oczy, co w jego mniemaniu pewnie miało mu nadać wygląd twardziela. - Zadam ci tylko jedno pytanie: czy masz w swojej szafie coś, co nie byłoby czarne albo białe? Choć odrobinę koloru?

- Dzinsy - bez wahania odparła Bree. - I biało-niebieską koszulkę z logo Duke University.

Ron rozłożył ręce zrezygnowanym gestem.

- Co za głupek ze mnie. Po prostu masz stroje odpowiednie na salę sądową. Widzisz, skarbie, w sprawie Overshaw musisz się zmierzyć z najpotężniejszymi rodzinami w Savannah. Dobre wrażenie można zrobić na dwa sposoby. Możesz na przykład pójść na spotkanie w Białym Domu w tenisówkach, t-shirtcie i wytartych dzinsach. Proszę bardzo - pod warunkiem, że jesteś na przykład Steve'em Jobsem. Drugie wyjście to ubrać się tak, jakbyś była prezydentem małej południowoamerykańskiej republiki. Czyli tak, żeby wzbudzić zaufanie. Tak, żeby wzbudzić szacunek. Jednym słowem potrzebna ci prezencja.

Bree popatrzyła na siebie. Przez całe dorosłe życie brakowało jej czasu. Nie miała czasu, będąc studentką; nie miała czasu, pracując w rodzinnej firmie, a jeszcze mniej czasu miała teraz, gdy rozpoczynała własną praktykę.

Tymczasem ubieranie się w elegancki i wyrafinowany sposób pochłania mnóstwo czasu. Ilekroć zdarzyło jej się przeglądać w poczekalni u dentysty „Vogue” czy „Oprah”, przerażała ją myśl o tym, ile decyzji trzeba podejmować, jeśli się chce wyglądać naprawdę nienagannie. Dlatego postanowiła ograniczyć sobie możliwość wyboru. W swojej szafie miała zaledwie pięć drogich kostiumów od Armaniego, utrzymanych w szarym, czarnym i stalowym kolorze, a do tego dwa tuziny jedwabnych bluzek Eileen Fisher w różnych odcieniach bieli. W ten sposób udało się jej uczynić ubieranie do pracy zajęciem bardzo prostym. I nudnym.

Popatrzyła na Rona i spytała słodko:

-Którą południowoamerykańską republikę proponujesz?

-Wkurzyłeś się na mnie - odparł bez zastanowienia.

- O Boże. A ja tylko chciałem ci pomóc.

- Nie wkurzyłam się na ciebie. Doceniam to, naprawdę. Przynajmniej twoje chęci, bo raczej nie sposób, w jaki je wyraziłeś. Dopiszę to sobie do listy pod tytułem Co robić w sobotę, kiedy nie ma co robić.

- Lepiej niech to będzie najbliższa sobota - zasugerował Ron. - Nie możesz wystąpić na imprezie w Mansion w stroju grabarza.

- Wcale nie wyglądam jak grabarz!

- Twoja matka podziela moje zdanie.

Bree zastygła, zbierając się do krzyku.

- Rozmawiałeś z moją matką? - złapała się za głowę.

-I moja matka uważa, że ubieram się jak grabarz?

- Oczywiście, że rozmawiałem z twoją matką. Nie wyobrażasz sobie chyba, że twoje przyjęcie zorganizuje się samo? - Ron znów usadowił się na rogu biurka. - Ależ to jest fantastyczna babka, Bree. I w pełni się ze mną zgadza, że trzeba cię lepiej ubrać. Przede wszystkim musimy ci znaleźć jakąś wspaniałą suknię. Wyobrażasz sobie, kto przyjdzie na twoje przyjęcie?

- Ani trochę - przyznała Bree. - Ale skąd wzięłeś numer mojej matki? I skąd wiesz, kto przyjdzie?

- Spotkałem twoją siostrę, gdy spacerowała po okolicy, i poprosiłem o numer do twojej matki. Reszta była prosta.

- Skąd wiedziałeś, że to moja siostra? Nie jesteśmy podobne. Zresztą nieważne. Co Antonia powiedziała na biuro? Wchodziła do środka?

- Nie - powiedział Ron.

- Raczej nie - powiedział Petru.

- No cóż, w takim razie będzie musiała poczekać do imprezy. Może uda mi się ją namówić, żeby została tutaj i pełniła obowiązki gospodarza. Może ktoś z gości zechce tu wpaść, żeby obejrzeć biuro.

- Nie sądzę, byśmy musieli się o to martwić - powiedział Ron.

- Ja z pojemnością tu zostanę, na wypadek gdyby przysli jacyś goście - oświadczył Petru. Wymienił spojrzenie z Ronem i wzruszył ramionami. - Przecież nigdy nie wiadomo. Może trafią tu jacyś potencjalni klienci.

- Jeśli takowi są na liście zaproszonych, Petru - zauważył Ron. - W co szczerze wątpię. Kto jak kto, ale ty chyba wiesz o tym najlepiej.

- Może mi zdradzisz, kto jest zaproszony? - spytała Bree z grzecznym zainteresowaniem. - Czy moja matka przysłała już listę? - Uśmiechnęła się. - Może ktoś ze Stubblefield i Marwick? A może sam Douglas Fairchild?

- Nie miałem jeszcze czasu, żeby ją dokładnie przestudiować - beztrudno odparł Ron. - Ale parę osób już potwierdziło swoją obecność. - Pochylił się nad biurkiem obok Bree i przekartkował kalendarz. - Dziś jest już czwartek. Został nam tylko weekend.

- Może tak, a może nie. Jeśli natychmiast nie wrócimy do pracy, nie będę w stanie wam zapłacić, a co dopiero kupić nową sukienkę. - Nagle Bree spojrzała na zegarek. - Już po piątej. Muszę was puścić do domu. Wracamy do sprawy jutro rano.

Petru oparł łaskę o podłogę i podniósł się z krzesła.

- Zabiorę ze sobą akta i przeczytam je dokładnie w domu.

- Nie ma potrzeby - powiedziała Bree. Pierwszy dzień

w pracy, a ona już zajeżdża ich na śmierć. - Nie płacę wam nawet tyle, żebyście musieli pracować na pełen etat, a tym bardziej na półtora etatu. Nie mogę żądać, żebyście zajmowali się tym po godzinach. Sama to zabiorę i przeczytam w domu. - Zaczęła układać dokumenty w równy stosik i zawahała się. - Jeszcze jedno, Petru. Czy trafiłeś może na jakieś sprawy Skinnera, o których powinnam wiedzieć już teraz?

- Trafił na sprawy Pendergastów - w otwartych drzwiach stała Lavinia. Sasza precyzyjnie się obok niej i przykuśtykał do Bree. Bree spojrzała pytająco na Petru. Ten skinął głową.

- To prawda. Pani Skinner, to znaczy pani Graingerowa Skinner, jest z domu Pendergast.

- Wiem o tym. - Bree popatrzyła na swoich pracowników. Wszyscy odpowiedzieli jej wyczekującym spojrzeniem. Bree usiadła z powrotem ze zrezygnowanym westchnieniem. - No dobra. A więc tak: wygląda na to, że prapraprapra-co? dziadek? Nieważne. W każdym razie wygląda na to, że pradziadek Jennifer Skinner, Josiah Pendergast, jest pochowany na naszym cmentarzyku morderców.

-I co z tego? Kochani, nie chcę być niegrzeczna, ale czy możecie mi wyjaśnić, co ma piernik do wiatraka?

- To zła krew, te Pendergasty - z uporem powtórzyła Lavinia. - Musisz na nich uważać.

- Wydaje się, że jest dobry powód do troski - przyznał Petru. - Pendergastowie mają bardzo złą historię.

- Czy do tej złej historii zaliczają się jacyś żyjący Pendergastowie, którzy mieliby coś wspólnego z Benjaminem Skinnerem? Pomijając osobę Jennifer Pendergast? - zapytała stanowczo Bree. - Jakies procesy? Możliwe motywy zbrodni?

- Żyjący Pendergastowie? Nie - przyznał Petru. - Ale nie możemy przekreślać możliwości wpływu samego Josiah Pendergasta. Jest w prostej linii przodkiem Jennifer.

Bree się skrzywiła. Zaczynała się już bać kolejnych odpowiedzi swoich pomylnych pracowników.

- Chyba nie myślicie poważnie, że Josiah Pendergast wylażł z grobu i wrzucił Skinera do morza?
- Nie, skąd, nie ma mowy! - powiedziała Lavinia urażonym tonem. - Umarli nie zabierają ze sobą żywych. Nigdy o czymś takim nie słyszałam.
- Może zatem opętał moją szkolną znajomą Jennifer i zmusił ją, by zabiła swojego teścia?
- Możliwość szkodliwego wpływu - oświadczył Petru - jest bardziej niż prawdopodobna. Gdy szepczą umarli, znajdują się tacy, co słuchają.
- Daję słowo, że zaczyna mnie już boleć głowa - powiedziała Bree. - Nie żartuję. Słuchajcie, odłóżmy te sprawy do teczek z ciekawostkami, co? Sięgnijmy po nie w razie potrzeby. - Czyli nie prędzej, niż księżyc zamieni się w bryłę camemberta, dodała w myślach. - Wolałabym, żebyśmy skupili się na żyjących, a zmarłych pozostawili w spokoju.
- Niektórym zmarłym - odezwał się Ron - bardzo daleko do spokoju. Powinnaś o tym pamiętać.
- Ja tu przyszedłam z innego powodu - odezwała się Lavinia. - Tak się rozgadaliście, że omal nie wyleciało mi to z głowy. Bree, jak byłaś na spotkaniu z tą Liz, odebrałam telefon. - Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła różową karteczkę. - Od tego Paytona czy jak mu tam.
- Bree skrzywiła się.
- Dzwonił w imieniu swojego szefa, pana Stubblefielda. Chęć się z tobą spotkać o szóstej w kawiarni Molly McPherson.
- Bree uśmiechnęła się.
- Doskonale. Ron? Bądź tak dobry, oddzwon i potwierdź spotkanie, dobrze? Stubblefield jest na pierwszym miejscu listy podejrzanych Liz Overshaw. To będzie świetny początek.

Dwanaście

*Zostały groby puste, bez mieszkańców,
Gdyż całunami spowici umarli
Szli, jęcząc dziko po rzymskich ulicach.*

William Shakespeare, Hamlet tłum. Maciej Słomczyński

Gdy Bree zamknęła za sobą drzwi, zerwał się wiatr. Zaczynał się wietrzny sezon - w październiku przypadał w Savannah szczyt sezonu burzowego, choć w tym roku szczęśliwie jesień była łaskawa, przynajmniej do tej pory. W połowie września trafiła się jedna tropikalna burza, a potem było już spokojnie.

Bree spojrzała w niebo. Słońce chyliło się ku zachodowi, horyzont mienił się pomarańczą i czerwienią. Południowo-wschodnia część nieba była przyozdobiona strzępkami białych, pierzastych obłoków.

- Co o tym sądzisz, Sasza? Będzie lato?

Pies spojrzał na nią niespokojnie i zaskomlił. To nie mogła być prośba o zanieśenie go do samochodu - dość dobrze chodził już o własnych siłach. Musiało mu chodzić o coś innego.

- To niemożliwe, żebyś był głodny - powiedziała.

- Lavinia napchała cię kurczakiem z ryżem.

Sasza warknął w stronę grobów, z oczyma zwięzonymi do rozmiarów żółtych szczelin. Potem odrzucił głowę do tyłu i zawył. Bree poczuła, że przechodzą ją ciarki.

Zbliż się.

Bree obróciła się w miejscu. Głos - jeśli był to głos - dochodził spod dębu.

Aaach, Bree. Zbliż się.

Bree wyteżyła wzrok. W błędnym świetle popołudnia dostrzegła wysoki, ciemny słup cienia poruszający się wśród pędów oplątwy. Wirował, przesuwając się i skręcał jak dym nad tłącym się ogniem.

Tylko że dym nie przemieszcza się pod wiatr. Słup kipiał siną purpurą, zgniłą zielenią i oleistą czernią. Bree wiedziała, kto jest pochowany w grobie pod dębem. Josiah Pendergast. Zrobiła krok naprzód i omal nie wpadła na Saszę. Pies przywarł do jej kolan, warcząc cicho i szczerząc kły.

Nagle w górnej części kolumny pojawiła się para ognistych oczu - jak gdyby coś się w niej zbudziło. Przerazające kolory zlały się ze sobą. Potem z jednolitego słupa wychynął wąski walec ciemnej materii i pokiwał w jej stronę.

Bree. Zbliż się.

Bree odsunęła Saszę na bok. Zrobiła kolejny krok do przodu. i jeszcze jeden.

i ujrzała, że stoi na szczycie góry. Wspaniałe kobierce chmur kłębił się u jej stóp. i wiedziała, wiedziała każdą cząstką swego ducha, że to, czego pragnie najbardziej na świecie, jest poza jej zasięgiem. Gdyby wychyliła się do przodu, do przodu, oderwałyby się od wierzchołka i skoczyła w dół, gdzie z łopotem pochwytyłyby ją skrzydła kormorana. Wprost w objęcia pewnej, absolutnej wiary. Bez pytań. Żadnych.

Wicher wzmógł się i z nagłym rykiem uderzył w czubki drzew. Z głośnym trzaskiem otworzyły się drzwi od domku i w gasnącym świetle dnia pojawił się Ron. Wiatr zawirował wokół niego z potężnym świstem i przez krótką, oszałamiającą chwilę Bree miała wrażenie, że wieje z jego rozpostartych dłoni.

- Bree, jesteś tam jeszcze?

Wicher powiał, przycichł i zamarł. Kolumna pod dębem zadrżała, zatrzęsała się i rozplynęła w nicość.

Bree odetchnęła głęboko. Ron zbiegł po schodkach, podszedł do ogrodzenia i odpiął swój rower.

- Zaproponowałbym ci podwiezienie - powiedział - ale nie mógłbym wziąć Saszy. O, do kroćset.

Bree opanowała się, trzymając jedną rękę na karku Saszy.

-Ronaldzie, nikt już nie mówi „do kroćset” - powiedziała. Jej głos zabrzmiał pewnie. Dłonie miała mokre, serce nieznacznie łomotało jej w piersi, ale głos miała spokojny. - Co się stało?

-Spadło mi powietrze. - Ron odpiął pompkę z ramy, przyłożył do wentyla i zaczął energicznie pompować. - Chcesz się spóźnić na spotkanie?

Bree z przerażeniem spojrzała na zegarek.

- O Boże. Na to wygląda. Jadę samochodem. Molly McPherson jest na terenie City Market, zgadza się?

- Tak. Musisz skręcić z Montgomery w Broughton Street.

- W takim razie powinnam zdążyć, o ile oczywiście znajdę miejsce do parkowania. - Bree umieściła Saszę na tylnych siedzeniach i usiadła za kierownicą. Ron zamachał do niej. Gdy opuściła szybę, wsadził głowę do środka. W jego oddechu poczuła korzenny zapach, którego nie umiała zidentyfikować.

- Wiesz - powiedział - żywym tak naprawdę nic z ich strony nie grozi. Ale nie się waż słuchać żadnego „zbliź się”. Jeśli się to powtórzy, nie ruszaj się z miejsca nawet na krok. Zaufaj mi. Lepiej, żebyś nie skakała z tej góry. Rozumiesz? - Klepnął w dach i odsunął się do tyłu. - A teraz pokaż Paytonowi, gdzie raki zimują!

Patrzyła, jak odjeżdża, pedałując długimi nogami, z jasnymi lokami wokół uszu. Wzięła długie, drżący oddech i przekreśliła kluczyk.

Zaparkowała przy Congress Street, okalającej rynek od południa. Na teren City Market można było wprowadzać 148 psy, a kawiarnia Molly McPherson miała własny ogródek, położony nieopodal usytuowanej pośrodku rynku fontanny. Bree cieszyła się, że zabrała ze sobą Saszę; jego obecność miała na nią wyjątkowo krzepiący wpływ.

- Wiesz co? - zagadnęła psa kuśtykającego przy niej na smyczy. - Nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś nasikał Paytonowi na buty.

Sasza wyszczerzył się do niej, wywieszając różowy jęzor.

- Poznasz go: będzie miał jednodniowy zarost i wypisane na twarzy hasło „Wyglądam zabójczo”. Ale pamiętaj, Sasza - krótko, mocno szarpnęła smyczą - żartowałam z tymi butami.

Bree rozpoznałaby Johna Stubblefielda, nawet gdyby nie towarzyszył mu bałwochwalczo weń wpatrzony Payton. Po pierwsze dlatego, że regularnie pojawiał się w wiadomościach, zwłaszcza gdy zapadały kolejne rekordowe wyroki w sprawach o obrażenia cielesne. Po drugie, Stubblefield był gwiazdą niesmacznych zakamuflowanych reklamówek w wieczornych pasmach telewizyjnych. Zachęcał w nich do składania pozwów zbiorowych przeciwko wielkim, bogatym korporacjom. Nie zawracał sobie głowy pozywaniem firm, których wartość netto była niższa niż miliard dolarów - bez względu na to, w jak oplakany stanie znajdowałaby się ofiara. Gdyby umarł, większość mieszkańców Savannah zgodnie przyznałaby, że na jego nagrobku powinien znaleźć się napis: „Kasa, misiu, kasa”.

Stubblefield na żywo wyglądał równie dobrze jak w swoich reklamówkach. Białe włosy miał starannie ostrzyżone, a do tego ułożona na żel i lakier. Był gładko wygolony. Na lewym przegubie miał Rolexa wysadzanego szafirami, a na prawym złotą bransoletkę ze swoimi inicjałami. Siedział w swobodnej pozie przy jednym z okrągłych aluminiowych stolików w pobliżu fontanny. Założył nogę na nogę, odsłaniając czarne jedwabne skarpetki, ale nie pokazując nawet skrawka gołej łydki.

Kiedy Bree podeszła do stolika, Payton wstał. Stubble*! field nawet nie drgnął.

- Witaj - powiedział Payton z nutą nerwowości w głosie. - Cieszę się, że przyszaś.

Podsunał jej krzesło. Bree usiadła. Sasza położył się 1 obok niej na chodniku, z uniesioną głową, uszami wychylonymi do przodu i oczyma wlepionymi w Paytona.

- Bree, poznaj Johna Stubblefielda. - Głos Paytona był tak pełen czci, że Bree z trudem stłumiła złośliwą chętkę przeżegnania się.

- Panna Beaufort - powiedział donośnie Stubblefield. Dzięki Antonii Bree dostatecznie dużo wiedziała na temat szkolenia głosu, by zorientować się, że prawnik korzystał z usług trenera. - Rozumiem, że została pani wynajęta przez byłą współpracowniczkę Benniego Skinnera.

- Zgadza się - spokojnie potwierdziła Bree. Skinęła na kelnera.

- Ach, pani życzy sobie czegoś dla ochłody. - Uśmiech Stubblefielda nawet nie musnął jego oczu. - Najmocniej przepraszam. Czego się pani napije?

- Wystarczy mrożona latte. Stubblefield strzelił palcami.

- Payton? Zadbaj o potrzeby pani - uśmiechnął się złośliwie. - Niegdyś całkiem niezłe sobie z tym radził, prawda, panno Beaufort?

Payton zerwał się z miejsca i błysnął zębami w przypochebnym uśmiechu. Bree myślała, że krew ją zaleje z wściekłości. W samą porę wyciągnęła nogę pod stolikiem i kopnęła Paytona go w kostkę. Payton zgiął się, a potem wrócił do pionu z potężnym jękiem.

- Najmocniej przepraszam - powiedziała Bree, imitując intonację Stubblefielda. - Payton, zamówisz mi słabą latte? I skórę cytryny - dodała, po czym zwróciła się do jego szefa. W sprzyjających okolicznościach on też nie uniknie kopniaka. - To prawda, reprezentuję pannę Cwershaw. I gwoli sprawiedliwości muszę ci powiedzieć, John, że moja klientka ma do ciebie kilka poważnych pytań dotyczących Iwojego udziału w zamordowaniu Benjamina Skinnera.

Zgodnie z jej oczekiwaniami bezpośredni atak zaskoczył prawnika. Stubblefield był zbyt starym wygą, żeby dać się wyprowadzić z równowagi, ale jego fałszywa jowialność prysła.

- Jak twoja klientka chce udowodnić, że to było morderstwo? - Zmrużył oczy. - I dlaczego, do diabła, podejrzewa o to właśnie mnie?

- Skinner miał wiele obiekcji dotyczących twojej praktyki prawnej, John. Poważnych obiekcji. Powinieneś wiedzieć, że udało mu się dokładnie przeświecić metody postępowania twojej firmy.

Stubblefield rozparł się na krześle i wyciągnął nogi wzdłuż chodnika. Pociągnął łyk swojego drinka - był to chyba julep - i powiedział refleksyjnym tonem:

- Tak to jest, kiedy suka bierze się do interesów.

- Słucham? - słysząc lodowaty ton głosu Bree, Sasza podniósł się i warknął.

- Kobiety - westchnął z udawanym smutkiem; Bree aż zacisnęła pięści. - Kobiety nie mają zielonego pojęcia o tym, jak się w to gra, panno Beaufort. Liz Overshaw była świadkiem dżentelmeńskiej potyczki i mylnie uznała ją za walkę na śmierć i życie. - Położył rękę na jej dłoniach.

- Powiem to po męsku. Liz to po prostu stara, brzydka dziwka, a w dodatku - jeśli wybaczysz mi to określenie - prawdziwy wrzód na dupie.

Przez chwilę Bree nie była w stanie zaufać sobie na tyle, żeby odezwać się choć słowem. Zerwał się wiatr, aż na placu zatańczyły papierowe śmieci.

- Och, doprawdy? - spytała łagodnie. - John, jeśli w tej sekundzie nie zabierzesz ręki, za chwilę w twój wrzód na dupie ugryzie cię mój pies. - Zerwała się na równe nogi i pochyliła do przodu, aż jej oczy znalazły się o kilka cali od jego twarzy. - A jeśli jeszcze raz użyjesz podobnych słów w mojej obecności, będziesz musiał się martwić nie tylko o swój tyłek, ale też o swoją męskość. Możesz być tego pewien.

Była tak wściekła, że czuła, jak włosy stają jej dęba. Wiatr uderzył w plac, rozpryskując wodę z fontanny po chodniku.

- I wtedy... Poczowała, że coś ją wiąże z tym wiatrem. Gdyby wyciągnęła ręce w niebo, mogłaby ściągnąć w dół chmury i cisnąć gromem. Podniosła się z wyciągniętymi rękoma, z ciałem wyprężonym przez gniew. Zaczerpnęła tchu...

- Bree! - poprzez mgłę wściekłości przedarł się do jej uszu paniczny głos Paytona.

Jakieś pięćdziesiąt stóp za plecami Stubblefielda stał Gabe Striker. W zapadającym zmroku oczy błyszczały mu niczym srebrniki. Bree wlepiała w niego wzrok. Striker powoli pokręcił głową.

- Bree! - krzyk Paytona zmienił się w zgrzytliwy pisk. Striker był dziwnie spokojny. Opanowany. Ten spokój omiół jej twarz, owinał się wokół karku, powstrzymał oddech. Bree zamarła i niebezpieczna chwila minęła.

Striker odwrócił się i rozplątał wśród cieni.

Bree odwróciła się do obu mężczyzn. Payton stał z dużą szklanką mrożonej kawy w ręku, skamieniały na twarzy.

- Macie jakiś problem? - spytała miłym głosem.

- Ach, nie. Oczywiście, że nie. Przyniosłem ci kawę.

- Payton zawahał się, a potem uprzejmie postawił jej szklankę na stoliku. Rzucił niespokojne spojrzenie w kierunku Stubblefielda, a potem spytał beztrosko: - Wszystko w porządku?

Stubblefield zmarszczył brwi, zerknął przez ramię na pusty plac i odwrócił się w stronę Bree. Potrząsnął lekko głową, jak gdyby opędzał się od much. Potem spojrzał ze zdziwieniem i irytacją na Paytona.

- Przynieść panu jeszcze jednego drinka? - spytał Payton gorliwie.

- Nie, nie. Możesz natomiast spadać z powrotem do biura. Wezwania świadków w sprawie Wal-Martu mają zostać wysłane najpóźniej jutro o ósmej rano.

- Ale...

- Ruszaj, Payton - powiedziała Bree.

- Właśnie. No dalej. Zmiataj stąd - ciągnął Stubblefield z roztargnieniem w głosie. - Tydzień się jeszcze nie skończył. Masz przed sobą jeszcze parę płatnych godzin.

Payton odszedł, wyraźnie urażony. Bree prawie zrobiło się go żal. Prawie. Wiele czasu musi minąć, zanim wybaczy im obu żarcik o dbaniu o jej potrzeby albo uwagę Stubblefielda na temat Liz.

- A więc - powiedziała - mieliśmy omówić istotę sporu między tobą a Skinnerem.

- Burza w szklance wody. Skinner się wkur... to znaczy wściekł, kiedy się dowiedział o umowie, jaką Fairchild zawarł z władzami hrabstwa.

- Chodzi o projekt apartamentowca Island Dream?

- A tak - Stubblefield wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło. - Jeśli Fairchild zamierzał go wtedy wykiwać, co zresztą nie ulegało wątpliwości, to muszę przyznać, że mu się to udało. Ani w umowie, ani nigdzie indziej nie zadeklarował, co zamierza z tą posesją zrobić. A jeśli nawet to zrobił, nie dałoby się tego w żaden sposób zweryfikować. Powiedziałem Skinnerowi, że Douglas naprawdę chciał przebudować fort, ale przekonał się, że jest to technicznie niewykonalne, więc zmienił plany. Między innymi o to właśnie poszło. Nie wiedzieć czemu Skinner kompletnie ześwirował na tym punkcie.

- I oskarżył cię o niekompetencję, niewykonanie umowy i przestępstwo urzędowe.

- Owszem. Z początku Fairchild sądził, że ze względów finansowych i wizerunkowych lepiej będzie dogadać się z Benniem. Zaproponował mu penthouse do osobistego użytku i możliwość wykupienia go za niższą cenę po zakończeniu budowy - Stubblefield uśmiechnął się przełomie. - Najpierw Bennie chciał na to pójść. Oj, Bennie naprawdę lubił się sądzić; między innymi dlatego był dla nas tak cennym klientem. Tylko że w tym samym czasie trwał w skomplikowany spór z Carltonem Montifiorej o zobowiązania kontraktowe i nie chciał wszczynać nowych procesów. Dlatego przyjął propozycję Douglasa. No a w penthouse ulokował tego swojego kurwizsonka. Ale o tym pewnie już wiesz. - Zmarszczył brwi. - A potem nagle wkurzył się o ten penthouse. Zakwestionował całą inwestycję i postanowił uziemić Fairchilda. Zasypał całe miasto pozwami, kilka skierował też przeciwko mnie, mimo że nie miał podstaw do procesu.

Stubblefield powiedział to tak, jakby stwierdzał największą oczywistość. Brzmiało to dość przekonująco.

-Z chęcią prześlę ci tę umowę. Specjalizujesz się w prawie zobowiązań?

-W korporacyjnym prawie podatkowym. W umowach najlepszy jest mój ojciec.

-No to pokaż ją ojcu. Zobaczysz, co ci powie: Skinner zupełnie nie miał na czym się oprzeć. Nie przejmowałem się tym.

- Czyli utrzymujesz, że nie miałeś motyw, by zamordować Skinnera?
- Żeby go zamordować? Miałem motyw, żeby wciąż dostawać od niego tyle roboty, co w zeszłym roku. Skinner jest jednym z naszych głównych klientów.
- Raczej był. Mógł wynająć inną firmę prawniczą, żeby zajęła się jego interesami.
- Mógł, ale nie zrobił tego. To my zatwierdzamy teraz jego testament i zarządzamy majątkiem. Wciąż go reprezentujemy.
- A może pozbycie się Skinnera było jedynym sposobem zatrzymania przy sobie klienta w postaci firmy Skinner Worldwide Inc.? - zanim Bree dokończyła zdanie, już wiedziała, że trafiła w próżnię. Skinner tylko wyszczerzył się w uśmiechu. Spróbowała z innej strony. - A co powiesz o własnych udziałach w Island Dream?
- Spojrzenie jego wąskich, bystrych oczu zbłądziło w lewo i wróciło.
- Co powiem? Że to cholernie dobry interes. I nie zainwestowałem ani centa, dopóki nie byłem pewien, że l'airchild zawarł ugodę ze Skinnerem. - W powietrzu zawisło niewypowiedziane „i nie udowodnisz mi, że było inaczej”. Stubblefield niemal zupełnie już odzyskał rezon. Uśmiechnął się. - Masz przed sobą jedynego człowieka, któremu zależało na tym, żeby Skinner był żywy, zdrowy i zdolny przysyłać czeki.
- Stubblefield wyciągnął z portfela plik banknotów, położył je z trzaskiem na stoliku i wstał. Przez dłuższą chwilę spoglądał z góry na Bree. Bree odpowiedziała mu spojrzeniem. Stubblefield skinął głową, pożegnał ją wyniosłym ukłonem i odszedł.
- Bree patrzyła, jak odchodzi dumnym krokiem.
- Nie skreślałam go jeszcze z listy podejrzanych, Saszku. - Spojrzała na psa. - Choćby z tego powodu, że jest taki wstrętny!
- Wzruszyła ramionami.
- Brr... Wiesz co, mało brakowało, żebym... - ugryzła się w język. Żeby co? Wpadła w złość, to nie ulegało wątpliwości. Taką samą złość, jak dwa dni wcześniej podczas rozmowy z Paytonem. Co by się stało, gdyby nie Striker i ten dziwaczny spokój, który w nią tchnął? Wypływał z niego jak światło.
- Sasha wstał i żwawo pacnął ją łapą w kolano.
- Masz rację. Pora wracać do domu. - Bree wzięła aktówkę i wstała. Rozejrzała się dokoła, ale po Strikerze nie było już ani śladu.

Trzyńście

- *W to nie mogę uwierzyć - powiedziała Alicja.*
- *Nie możesz? - powiedziała Królowa głosem, z którego przebijała litość. - Spróbuj raz jeszcze: zrób głęboki wdech i zamknij oczy. Alicja roześmiała się.*
- *Nie ma sensu próbować - powiedziała - nikt nie może uwierzyć w rzeczy niemożliwe!*
- *Wydaje mi się, że niewiele masz wprawy - powiedziała Królowa. - Gdy byłam w twoim wieku, wprawiałam się codziennie przez pół godziny. Ach, czasem udawało mi się uwierzyć w sześć niemożliwych rzeczy już przed śniadaniem.*

Lewis Carroll, O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra tłum. Maciej Słomczyński

- Ron powiedział, że niektórym zmarłym bardzo daleko do spokoju? - Antonia nadziała na widelec ostatni kawałek kraba z sałatki i zachichotała. - Niezła gadka jak na pierwszy dzień pracy, co? Ten Ron to całkiem niezłe ciacho, nie? Z tego, co mówisz, udało ci się zebrać niezłą ekipę. Na przykład Lavinia musi być strasznie słodka. Chciałabym ją poznać.
- Mogłabyś, gdybyś weszła do biura. - Bree nie wiedziała, czy po powrocie ze spotkania ze Stubblefieldem i zastanie Antonię w domu, ale na wszelki wypadek ku- ' piła na kolację razowy chleb i podwójną porcję sałatki krabowej. Wciąż była zbyt zdenerwowana, żeby Antonię we wszystko wtajemniczyć, więc przy kolacji streściła jej co strawniejsze części tego dnia. Umiała jednak skupić się na rozmowie tylko połową mózgu; drugą uparcie powracała do nagłych najść i zniknięć nieuchwytnego Gabe'a Strikera.
- Nie mogłam go znaleźć - poskarżyła się Antonia.
- Gdybym nie to, że Ron omal nie rozjechał mnie na rowerze, mogłabym godzinami snuć się po Houston Street jak mały latający Holender. Gdzie to niby jest?
- Angelus Street, jedną przecznicę za East Bay, boczna Houston Street. To pięć ulic stąd, do diaska. - Zirytowana Bree smarowała ostatnią kromkę chleba zamaszystymi ruchami. - Po co w ogóle mnie szukałaś? Byłam święcie przekonana, że dzisiaj szukasz pracy. - Wgryzła się w kanapkę i dokończyła z pełnymi ustami: - Albo że zastanowisz się nad powrotem na uczelnię.
- Nie odpowiedzieli mi jeszcze z telewizji - odparła Antonia z anielską cierpliwością. - O rany, Bree, czy moja praca albo jej brak naprawdę powinny cię obchodzić?
- Bree zastanawiała się przez chwilę, odgryzając drugi kęs kanapki.
- Może i nie - przyznała. - Ale sama mnie zmuszasz do przyjmowania takiej rodzicielskiej pozy. Po pierwsze, jak zamierzasz rozwiązać problem noclegu, kiedy rodzice przyjadą na przyjęcie? Mamy tylko dwie sypialnie. A ja tu byłam pierwsza. Po drugie, jak zamierzasz im wytłumaczyć swoje odejście z uczelni?

Antonia skrzywiła się.

- Chyba nie muszę im jeszcze o tym mówić?
- A jeśli będą ciekawi, dlaczego jesteś tutaj, a nie w Charleston?
- Przyjechałam, żeby ci pomóc w przygotowaniu przyjęcia, to chyba oczywiste - odparła bez wahania Antonia.

- Mogę przygotować trochę wina i sera w kancelarii i zabawić nowych klientów, którzy przyjdą zobaczyć twoje miejsce pracy. Oczywiście pod warunkiem, że ta kancelaria nie istnieje wyłącznie w twojej wyobraźni.

Bree zamarła na chwilę. Potem powiedziała nieco ochryplym głosem:

- O, ta kancelaria jest aż nadto rzeczywista. - Odsunęła się z krzesłem od stołu i wyciągnęła nogi. - To ta sprawa jest nierzeczywista. Bardzo bym chciała wiedzieć, dlaczego Liz Overshaw twierdzi, że nawiedza ją duch Skinnera. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy też prześwietlić dokładnie jej samej. Może w przeszłości zdarzały się jej podobne historie.
- Chcesz sprawdzić, czy nie siedziała w wariatkowie?
- Coś w tym rodzaju - powiedziała Bree sucho. - Choć nie myślałam o tym w ten sposób. Chodziło mi raczej o coś w rodzaju zespołu stresu pourazowego. Może znalazła się pod silną presją i tłumaczy to sobie duchami. - Wstała i zaczęła wstawiać talerze do zlewu. - Muszę o tym pomyśleć.
- A może pomyślałabyś o tym po drodze do Savannah 1 Sweets? I
- O, podoba mi się taki plan - odparła Bree. - Mam j ochotę na dobrą czekoladkę i filiżankę kawy. Chciałabym I też zerknąć, jak sobie radzą w Huey z naprawianiem szkód.] Mam okropne wyrzuty sumienia. Myślisz, że powinnam i wysłać im anonimowo trochę pieniędzy?

Antonia, która była już w pół drogi do drzwi, odwróciła się i zmierzyła ją wzrokiem.

- Po kiego diabła chcesz wysłać właścicielom Huey pieniądze? Może od razu zorganizujemy jakąś skromną do-broczynną ściepę? Nie są ubezpieczeni czy jak?
- No ale chyba to jednak była moja wina, nie?
- Ta mała wichura, która zerwała się zupełnie znikąd - to była twoja wina?

Bree nie odpowiedziała. Wzięła torebkę i przewiesiła ją sobie przez ramię. Sasza trącił ją w kolano i zaskomlił niespokojnie. Poczochrała go po uszach, a potem pogłaskała z żalem. Aleja Factor's Walk, prowadząca na nabrzeże, ku sklepom i restauracjom położonym wzdłuż River Road, kilkakrotnie przerywana była długimi, bardzo stromymi schodami.

- Wybacz, Sasza. To nie jest impreza dla niepełnosprawnych.

Razem z Antonią wyszły z domu i przeszły przez mostek nad ulicą. Najbliższe schody biegnące ku River Road zaczynały się tuż przy rezydencji; było to niemal pionowe zejście z wąskimi stopniami wykutymi z żelaza.

- Dawniej ludzie musieli mieć mniejsze stopy - powiedziała Antonia. Schodziła ukosem, balansując jedną ręką. - Noszę ósemki, a nogi nie mieszczą mi się na tych schodkach.
- Chyba faktycznie mieli małe stopy - powiedziała Bree. - Wystarczy spojrzeć na buciki w muzeach. Widać, że są małe. - Zaczepnęła tchu. - Tonia?
- Co? - Antonia zeszła już na dół i czekała na Bree u stóp schodów.
- Co pamiętasz z tego zajścia w Huey? Zdawało mi się, że to mnie obwiniasz za cały ten bałagan.
- Co pamiętam z Huey? Pytasz o moment, kiedy lokal zamienił się w ruinę? No cóż, wyszła z ciebie prawdziwa diablica. Payton przeciągnął strunę, a ty rzuciłaś się na niego przez stolik i złapałaś go za uszy. Daję słowo, że już miałaś mu nieźle przyłożyć, gdy nagle... - Antonia ucichła. Przyłożyła palce do skroni i potarła nimi gwałtownie.

- Nagle co?
- Nie pamiętam dokładnie! - powiedziała, nieco zaskoczona. - Może spadło ciśnienie czy co... wiesz, jak przed nadejściem tornada. W każdym razie pewne jest to, że później wiatr wpadł zniecka do środka i rzucił nas w kąt. Potem powiedziałas, że wracasz do domu, a ja poszwenda-łam się jeszcze przez chwilę.
- Ja ci powiedziałam, że idę do domu? Jeśli nie ty, to ja jestem SpongeBob Kanciastoporty - odparła sarkastycznie Antonia.
- Jesteś pewna, że nie powiedział ci o tym ktoś inny? Na przykład facet? Bardzo przystojny? Dobrze zbudowany? O trochę dziwnych oczach? No wiesz, w takim zamieszaniu...
- Naprawdę myślisz, że mogłabym zapomnieć bardzo przystojnego, dobrze zbudowanego faceta, nawet gdyby pojawił się w samym środku minihuraganu? Czyś ty zwariowała? Co ty opowiadasz? Spotkałaś takiego gościa? Dał ci swój numer telefonu? Mówiłam ci, że jedyny możliwy sposób, żeby zapomnieć o Szczurze Paytonie, to poznać kogoś innego.

Bree miała ochotę zatkać uszy i krzyknąć.

- Jesteś pewna? - wykrztusiła.
- Wiesz co? - powiedziała Antonia konfidencjonalnym tonem. - Jeszcze chwila, a każę ci się zamknąć. Nie, nie widziałam żadnego faceta. Tak, to ty mi powiedziałas, że idziesz do domu. A jeśli jeszcze raz mnie o to spytasz, wyrwę ci wszystkie włosy z korzonkami! - Zaczepnęła tchu i powiedziała spokojnie: - No dobra. Idziemy na te czekoladki czy nie?

Bree namyśliła się. Trzeba odsunąć Strikera od sprawy. Dosłownie i w przenośni.

- Raczej nie - powiedziała nieobecny tonem. - Muszę iść.
- Iść? Dokąd?
- Zapomniałam o czymś. - Odwróciła się i ruszyła w górę po schodach. - Biorę samochód. Nie czekaj na mnie do późna. I pamiętaj, żeby przed pójściem spać wyprowadzić Saszę.
- Bree!

Głośne żale siostry odprowadziły ją aż do samochodu, wydawało jej się nawet, że je słyszy, gdy już jechała w stronę Bay Street. Nic tak nie irytowało Antonii jak wykluczanie jej z biegu wydarzeń. Bree skręciła w

Montgomery Street i zajęła na parking przy budynku Sądu Hrabstwa Chatham. Zaparkowała w świetle sodowych latarni.

Od profesora Cianquino dostała wizytówkę Gabriela Strikera. Była pewna, że wkładała ją do portfela. Nie myliła się: tkwiła między prawem jazdy a nieaktualną kartą wstępu na siłownię.

Gabriel Striker Prywatny detektyw Taylor 140, Chatham Square

Żadnego telefonu ani e-maila. Chatham Square leżał jednak tuż obok Forsyth Park, więc miejsce nie powinno być trudne do odnalezienia. Ozdobą najstarszej dzielnicy Savannah były dwadzieścia cztery place, rozlokowane niemal trzysta lat wcześniej przez założyciela miasta, Jamesa W. Oglethorpe. Bree nie była pewna, co sądzić o Oglethorpie. Z jednej strony położył fundamenty pod jedno z najpiękniejszych miast w Stanach Zjednoczonych. Z drugiej strony jednak relegował za jednym zamachem z nowej kolonii wszystkich prawników, Hiszpanów i napoje wysokowe. Bree zdała sobie kiedyś sprawę, że w ciągu wyjątkowo ciężkich piętnastu pierwszych lat istnienia kolonii mieszkańcom Savannah musiała bardzo dokuczać niemożność pokrzepienia się łykiem dobrego trunku i kęsem paelli. Kiedy Oglethorpe wrócił do Anglii, kolonia naprawdę rozkwitła.

Place w Savannah były piękne. Większość z nich pyszniła się starannie ukształtowanymi parkami, pełnymi pomników i fontann, przyozdobionymi bujnymi kwiatami. Otaczały je domy, kościoły, szkoły i małe sklepiki. W swojej burzliwej historii Savannah trzykrotnie było pustoszone przez pożar i z każdą odbudową wzbogacało się o nowy styl architektoniczny. Dzięki temu starówka zapierała dech w piersiach piękną mieszaniną stylów: od georgiańskiego, poprzez federalny, regencyjny, kolonialny aż po wiktoriański, gdzieś tam z dodatkiem art nouveau. Bree zastanawiała się, w którym budynku mieści się biuro Strikera. Mieszkanie czy dom wiele mówi o lokatorze.

Zanim udało jej się znaleźć numer 140, musiała dwukrotnie objechać Chatham Square. Dom został przekształcony w trzyczęściowy budynek. Wejście główne utrzymane było pierwotnie w stylu georgiańskim, lecz później po obu stronach wysokiego ganku dobudowano umiejętnie dopasowane schody, które prowadziły bezpośrednio na piętro, do lokali o numerach 136 i 138. Lokal 140 mieścił się w suterenie. Niewidoczne od frontu wejście do suterenu znajdowało się po prawej stronie i było ukryte w cieniu dębu wirginijskiego, przystrojonego pędami oplątwy. Do wejścia prowadziły ceglane schodki. Podchodząc bliżej, Bree spostrzegła, że za domem znajduje się ogród otoczony ogrodzeniem z kutego żelaza. Zatrzymała się w pół kroku, wyciągnęła rękę w stronę ogrodzenia i przesunęła dłoń po metalowych wzorach. W mdłym świetle lampki nad wejściem niewiele było widać, ale teraz już nawet po ciemku rozpoznałaby te motywy: sferyczne kształty, odlane tak elegancko, że zdawały się żyć własnym życiem.

Drzwi pomalowane były na intensywny ciemnoczerwony kolor. Nie znalazła dzwonka ani gongu. Była za to ciężka kołatka. Jej wzór Bree również już знаła: szalki wagi Temidy obejmowane przez parę skrzydeł z brązu.

Striker nie kazał jej długo czekać. Otworzył drzwi i cofnął się, gestem zapraszając ją do środka. Bree wskazała na szalki wagi:

- Widzę - powiedziała - że mnie oczekiwałeś.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciła uwagę w biurze Strikera, były miecze. Było ich pięć, wisiały jeden nad drugim na ścianie za jego biurkiem: najdłuższy na dole, najkrótszy na samej górze. Były bardzo stare. Bree miała dziwną pewność, że to antyki. Głównie były proste i równe, wypolerowane na matowy połysk. Stal miała niebieski odcień, może dzięki klejnotom, którymi wysadzane były rękojeści; wszystkie były oszlifowane przy użyciu technik niestosowanych już od jakichś dwustu lat, przypominały więc zaokrąglone bryły niebieskiej, zielonej i czerwonej barwy. Najniższy miecz mierzył co najmniej sześć stóp długości; najwyższy - nie więcej niż dwanaście cali.

- Imponujące - powiedziała. - Ale żeby móc swobodnie machać tym dolnym mieczem, trzeba być prawdziwym olbrzymem. To pewnie obrzędowe miecze?

- Wprost przeciwnie - odparł. - Usiądź, proszę - machnął w stronę drewnianego krzesła stojącego naprzeciwko biurka. Bree usiadła, uważnie rozejrzawszy się dokoła. Sfatygowaną i zaniedbaną podłogę z sosnowych desek w jednej trzeciej przykrywała wytarta resztką dywanu nieokreślonej barwy. Kominek po drugiej stronie pokoju był zamurowany, a przed nim, na płytkach, stała drewniana skrzynka wypełniona starymi gazetami. W przeciwległym kącie stał jeszcze fotel i lampa do czytania. To było wszystko. Tania plastikowa roleta zakrywała okno wychodzące na ulicę. Na prawo od kominka znajdowały się uchylone drzwi; za nimi Bree wypatrzyła fragment pieca i górną część lodówki. Oto miejsce pracy Strikera. Ciekawe, czy także tu mieszkał.

Gabriel miał na sobie wytarte dżinsy, coś na kształt czarnego puloweru i tenisówki. Biurko było puste, jeśli nie liczyć kubka z piórami i ołówkami. Usiadł na swoim krześle i założył nogi na biurko.

- No proszę - powiedział. - Jednak przysłaś.

- Jednak przysłałam. - Bree oparła się na krześle i założył nogę na nogę. - Oczekuję odpowiedzi na kilka pytań związanych ze sprawą Skinnera.

Striker skinął głową.

- Czy mogę ufać, że powiesz mi prawdę?

Striker wydawał się lekko zdziwiony tym pytaniem.

- Oczywiście. W tych okolicznościach to dość dziwne pytanie. Czy ktoś cię ostatnio okłamał?

- Czy ktoś mnie okłamał? - spytała z oburzeniem. Zdjęła nogę z nogi i wyprostowała się. - To więcej niż pewne!

- Któż taki?

Bree zwróciła uwagę na to „któż”. Striker był niechlujny, ale przynajmniej wykształcony. Nie umiała odpowiedzieć na jego pytanie. Żadna z osób zamieszanych w sprawę Skinnera jeszcze jej nie okłamała. Wszyscy odpowiadali na jej pytania. Problem w tym, że ich odpowiedzi nie miały sensu.

-Bree, o ile mi wiadomo, spośród osób mających związek ze śmiercią Skinnera żadna nie wprowadziła cię w błąd ani nie próbowała ukryć prawdy.

- W takim razie co się dzieje?

Uśmiechnął się z lekka.

- Musisz być nieco bardziej precyzyjna. Nie znam prawdziwych odpowiedzi na otwarte pytania. Nikt z nas nie zna.

- O proszę - wreszcie pojawiło się pytanie, na które powinna otrzymać ostateczną odpowiedź. - Co to znaczy „my”?

- nachmurzyła się, widząc rozbawienie na jego twarzy.

- Żadnych pytań otwartych - powiedział. Przypominało to trochę zajęcia z technik krzyżowych przesłuchań, na które Bree chodziła na trzecim roku studiów.

- Niech będzie. Pytanie brzmi: co łączy ciebie, profesora Cianuino, Petru Luchetę, RONALDA PARCHESE i Lavinie Mather?

- Każde z nas należało kiedyś do Niebiańskiej Sfery.

A więc kult. Bree była zaskoczona głębią trwogi, jaka ją przejęła. Uniosła brew i zapytała sucho:

- Powiedziałaś: kiedyś. Nie należycie już?

- Nie - odparł. A potem, tak szybko, że niemal niezauważalnie, przez jego twarz przemknął skurcz głębokiego smutku. - Już nie.

- Rozwiązała się? Ta Niebiańska Sfera? Nie przypominam sobie, żebyś gdzieś o tym czytała.

- Ona istnieje.

Zirytowała ją cicha pewność, jaka wybrzmiała w jego głosie.

- Czy ktoś rządzi tym interesem? Jest jakiś założyciel?

- Nie w takim sensie, jak myślisz - powiedział i zawahał się; Bree nie miała jednak wrażenia, że coś ukrywa; raczej starał się dobrać właściwe słowa. - Sfera istnieje.

Zawsze istniała. Zawsze będzie istnieć. Są wśród nas tacy, którzy dostają się do Sfery, a potem z niej odchodzą, jeśli jest taka potrzeba. Petru, Cianuino, Lavinia, Ron, Sasza i ja należymy do tych, co odeszli.

- O, nawet mój piesek? - spytała kpiąco. Zaczynała się czuć jak Dorotka w Czarnoksiężniku z krainy Oz. W następnej chwili dotarło do niej, że choć Striker opowiada kompletne bzdury, to jednak sprawia wrażenie najrozsądniejszego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkała, i jej gniew zaczął ustępować najzwyczajniejszej konsternacji. - Odeszliście? Dlatego, że zaistniała taka potrzeba? Jaka?

- Utworzenia Towarzystwa. Twojego towarzystwa. Powołanego po to, by bronić Skinnera i jemu podobnych. Musiało minąć kilka dłuższych chwil, zanim Bree zdołała zadać następne pytanie.

- Twierdzisz, że macie do wypełnienia wspólne zadanie w sprawie Skinnera?

- Tak - uśmiechnął się, po czym rozparł się na krześle i zaplótł ręce za głowę. - Mamy. Ty też masz.

- Jakie? Chyba nie chodzi o ustalenie, kto go zamordował. Pytanie brzmi raczej, czy w ogóle został zamordowany.

- Owszem, ktoś go zabił. Odebrał mu życie na długo, zanim nadszedł jego czas.

Bree poczuła się bardzo zmęczona.

- Cieszy mnie twoja pewność. Ty pewnie też przeżyłeś jego odwiedzin? No to powiem ci coś. Byłabym troszeczkę mniej sceptyczna, gdyby pan Skinner wyznał mi to osobiście. Chyba nie ma powodu, dla którego nie mógłby tego zrobić?

- Bynajmniej. W końcu jest naszym klientem. - Wyraz twarzy Strikera nie zmienił się, ale w słabym świetle jego szare oczy zdawały się lśnić jeszcze srebrzyściej niż zwykle. - Przybyliśmy tu po to, by bronić Skinnera i jemu podobnych.

Bree poczuła, że traci panowanie nad sobą. Zdołała je zachować ogromnym wysiłkiem woli.

-Czyżby było więcej takich klientów jak Skinner? Serdecznie znienawidzonych za życia? Domagających się sprawiedliwości po śmierci?

-Otóż to - powiedział Gabriel. Wyglądał na bardzo zadowolonego. - Skinner został skazany na karę czyśćca i złożył apelację. Utrzymuje, że jego działania były źle interpretowane i że nie łamał prawa.

-A o co - spytała Bree, mimo woli zafascynowana słowami Strikera - został oskarżony?

- O chciwość.

-O chciwość - powtórzyła uprzejmie. - Oczywiście. Naturalnie. No jasne.

- Jak zapewne wiesz, jest to jedna z siedmiu zbrodni głównych.

- Jest ich tylko siedem? - spytała, po czym pacnęła się otwartą dłonią w czoło i odpowiedziała sobie sama: - A jakże. Pewnie, że siedem. Nic bardziej oczywistego. Pycha, gniew, zazdrość, obżarstwo, żądza, chciwość i przekłete lenistwo. A jaką mianowicie linię obrony przyjął Skinner?

Gabriel wyszczerzył zęby. Miał niesamowicie czarujący uśmiech i Bree stwierdziła ze złością, że również nie może powstrzymać uśmiechu.

- Powołuję się na okoliczności łagodzące. Twierdzi, że zdarzało mu się kierować bezinteresownym miłosierdziem i współczuciem i że jeśli weźmie się to pod uwagę, szale przeważają na jego korzyść. Tylko że dowodów trzeba szukać w świecie doczesnym. Dlatego był mu potrzebny doczesny zespół. Towarzystwo.

- A Towarzystwo to wy - powiedziała Bree. - No jasne. To przecież oczywiste. Nie wiem, dlaczego sama wcześniej na to nie wpadłam.

Jej sarkazm spływał po nim jak woda po kaczce.

- Każde z nas musi odegrać określoną rolę, tak jak powinno być w każdym dobrym zespole. Moim zadaniem jest chronić cię przed napaścią. - Jego twarz znów rozjaśnił 166 zaraźliwy uśmiech. - Napaścią, której mogłabyś być sprawczynią albo ofiarą.

Bree poczuła, że się rumieni.

- Dzięki - powiedziała ostro. - Wyobraź sobie, że sama doskonale potrafisz o siebie zadbać. I to jest właśnie jeden z powodów mojej wizyty. Nie wynajęłam pana, panie Striker. Nie zwerbowałam pana. I nie życzę sobie, żeby mieszał się pan do moich spraw. Krótko mówiąc, byłabym wdzięczna, gdyby się pan ode mnie odczepił.

Gabriel splótł dłonie za głowę i rozparł się na krześle.

- Och. A jutro wybierasz się na spotkanie z Carltonem Montifiore?

Bree postanowiła zignorować to pytanie. Miała już powyżej uszu despotycznego i protekcyjnego zachowania Strikera. Po co w ogóle usiłuje dogadać się z facetem, który najwyraźniej ma nierówno pod sufitem?

- Przydałoby ci się moje towarzystwo.
 - Myślę, że wyraziłam się jasno, panie Striker. Mam zbyt wiele rzeczy na głowie, żeby jeszcze martwić się o to, czy znów nie zaskoczy mnie pańskie niezapowiedziane najście. Proszę mnie skreślić z listy pańskich klientów.
 - W porządku.
 - W porządku? - Nie wiedzieć czemu Bree była przygotowana na dłuższą dyskusję. - Tak po prostu? W porządku? Striker rozłożył ręce w geście, który mówił „proszę bardzo”.
 - To twoja decyzja.
 - No cóż... - Bree podniosła się z krzesła i stanęła przed nim niepewnie. - Więc dobrze. - Przewiesiła torebkę przez ramię i odwróciła się w stronę wyjścia.
 - Wiesz, że będę ci potrzebny? - spytał Striker z jeszcze szerszym uśmiechem.
 Bree zacisnęła zęby.
 - Wątpię w to, panie Striker.
 - Wystarczy, że mnie wezwiesz.
 - Mam pański numer - wyciągnęła z kieszeni zakładkę i zamachała mu przed oczyma, a potem j przypomniawszy sobie, że nie ma na niej numeru telefonu. Rozzłoszczona wcisnęła ją z powrotem do portfela i sztywnym krokiem ruszyła do drzwi.
 Miała już tego serdecznie dość. Wariaci przejęli szpital i wyszli na ulice. Położyła dłoń na klamce, a potem obejrzała się za siebie, żeby się przekonać, jaki efekt wywarło na Strikerze jej wyjście.
 Strikera już tam nie było. Zniknęły także wszystkie miecze.

Bree weszła do domu, trzasnęła drzwiami, zignorowała błagalne dopytywania Antonii o to, gdzie się podziewała, położyła się do łóżka i zapadła w sen - najlepszy, jaki miała od tygodnia. Obudziła się świeża, skoncentrowana i gotowa wcisnąć wszystkie szokujące wydarzenia ostatnich kilku dni do szufladki w głowie pod nazwą „Stres, czyli Samodzielne Urządzanie Biura”.

Sympatyczna i obrotna sekretarka skierowała ją na ulicę Liberty, gdzie akurat Montifiore osobiście doglądał prace przy remoncie Pyramid Office Building.
 - Dokładnie tutaj - oświadczyła Bree, kiedy już się sobie przedstawili - za kilka miesięcy przeniosę swoją kancelarię.

Montifiore wyglądał na zadowolonego.
 - Zgadza się. Dawne biuro sędziego jest na trzecim piętrze.

Przedsiębiorca w rzeczywistości wyglądał lepiej niż w wiadomościach po śmierci Skinnera. Rozluźniony, wyraźnie zadowolony, że jest na budowie, w tłumie murarzy, cieśli, elektryków i hydraulików. Wydawał się otwarty na wszystkie pytania i sprawiał wrażenie, jakby nigdzie mu się nie spieszyło.

- Nie zajmę panu wiele czasu - powiedziała Bree przeproszającym tonem. - Widzę, że jest pan zajęty jak jednoręki farszerz - dodała i ugryzła się w język; genialne ojcowskie powiedzonko dopadały ją w najmniej oczekiwanych momentach.

- Nie ma problemu. Mam jedną z najlepszych ekip w branży. Niewiele mam tu do roboty poza podpisywaniem wypłat pod koniec tygodnia. Zechce pani się rozejrzeć?

- Z przyjemnością, panie Montifiore. Uśmiechnął się i pokręcił głową.
 - Przydługie nazwisko, prawda? Proszę mi mówić Carlo. Bree spojrzała na niego pytająco.

- To sprawa mojej żony - powiedział rozbawionym szeptem. - Jest trochę przewrażliwiona na punkcie mojego włoskiego pochodzenia. Dla przyjaciół jestem Carlo, tak jak ochrzciła mnie mama. Tylko obcy mówią na mnie Carlton. - Oczy pociemniały mu na chwilę. - Na przykład te dziennikarskie pasożyty. - Przesunął dłonią po gęstej ciemnej czuprynie. - Nieważne. Chodźmy obejrzeć biuro twojego stryja.

Budynek Pyramid był zbudowany z kamienia, który po dwustu latach znoszenia półtropikalnego klimatu Savannah rozpaczliwie domagał się odnowienia. Potężne dębowe belki tworzące szkielet budynku padły ofiarą połączonych sił wilgoci oraz przekleństwa południowej architektury - ter-mitów. Carlo poprowadził Bree po szerokich marmurowych schodach, wiodących z parteru aż na piąte, najwyższe piętro biurowca.

- Musieliśmy rozebrać całą elewację, wymienić belki w drewnianej konstrukcji i ułożyć wszystko od nowa według oryginalnych planów, kamień po kamieniu. - Na trzecim piętrze zatrzymał się i otworzył drzwi prowadzące z klatki schodowej na korytarz. - Proszę, pani przodem.

Bree znalazła się w korytarzu. Terakotowa podłoga była już starannie wypiąskowana. Hikorowe panele zdjęto, wyszlifowano i wyczyszczono na wysoki połysk. W powietrzu j unosił się przyjemny zapach surowego drewna, świeżej far- i by i jakiegoś sosnowego impregnatu. Carlo powiódł Bree , wzdłuż starych, grubych drzwi z pofałdowanymi szybkami. I Zatrzymali się przed numerem siódmym. f

- To tu. Wygląda już przyzwoicie, ale do wianka zej- jj dzie jeszcze parę ładnych miesięcy. Dlatego jeszcze przez f jakiś czas będziesz skazana na tymczasowe biuro.

Cofnął się, pozwalając, aby Bree sama otworzyła drzwi, jj
 - Wiedziałaś, że w biurze twojego stryja wybuchł po- I żar? Że zginął, zanim nadeszła pomoc?

Bree zatrzymała rękę na ciężkiej gałce z brązu. I

- Tak - powiedziała krótko.

Carlo ściągnął brwi, delikatnie marszcząc czoło.

- Dziwaczny był ten pożar. Gwałtowny. Zabił go w jednej chwili.
Bree potrząsnęła głową.
 - I wciąż nie wiemy, jak wybuchł. Carlo wzruszył ramionami.
 - Straż pożarna nie mogła tego rozgryźć. Nikt tego nie wie. Na szczęście ogień nie wyszedł poza ten pokój.
Bree wahała się przez chwilę, a potem weszła do środka. Może to tylko wyobraźnia płatała jej figle, ale miała wrażenie, że w powietrzu unosi się słaba woń popiołu i zgniłych jaj. Czyżby pozostałość po pożarze? Pokój był niewielki, nie mierzył więcej niż piętnaście na piętnaście stóp. Podnoszone okno wychodziło na Liberty Street. Nie było już oczywiście ciężkiego dębowego biurka ani witryn z książkami, które zajmowały przeciwległą ścianę. Bree zamyśliła się. Doskonale pamiętała to biuro. Zdawało jej się, że wciąż widzi dobrotliwą, zgarbioną sylwetkę stryja siedzącą w starym, czerwonym skórzanym fotelu za biurkiem.
 - Teraz, kiedy tak stała na środku biura, wypełniły ją mroczne uczucia: osamotnienia, opuszczenia i przytłaczano jącego lęku. A potem nagle opanowało ją jeszcze jedno odczucie: kołysania pokładu koszmarnego statku pod stopami. Szum zabójczych skrzydeł zadudnił jej nad głową. Krzyki tonących wypełniły głowę. Przycisnęła dłonie do uszu i zagryzła wargi, żeby powstrzymać krzyk.
 - W tym pokoju rozegrała się bitwa.
I Franklin przegrał.
Carlo dotknął jej ramienia.
 - Bree? Wszystko w porządku?
 - Bree ścisnęła się za nos, żeby powstrzymać łzy, a potem wzięła uspokajający oddech.
 - Brakuje mi go - przyznała. - Wiesz, to był stary człowiek; mama mawiała, że pochodził z innej epoki. - Westchnęła z krótkim szlochem. - Ale jakie to ma znaczenie: jego epoka, dzisiejsza epoka? Chciałabym, żeby żył wiecznie. - Łzy potoczyły się po policzkach.
 - No cóż - Carlo odchrząknął z zakłopotaniem i wbił wzrok w swoje stopy.
 - Bree otarła łzy grzbietami dłoni i jeszcze raz wzięła głęboki oddech. Traciła panowanie nad sobą, stojąc przed jednym z najbardziej wpływowych ludzi w mieście.
 - Przepraszam. A co do Skinnera...
 - Wiem, Liz jest przekonana, że starego ktoś sprzątnął
- powiedział drwiąco Montifiore. - Im szybciej się to wyjaśni, tym lepiej. Czego chciałabyś się dowiedzieć?
- Bree przerobiła z nim przygotowaną wcześniej listę pytań. Tak, Skinner wpadł w szal, gdy usłyszał o zmianie planów budowy na Tybee Island. To prawda, obdzielił swoją wściekłością wszystkich dokoła, winnych pospółu z niewinnymi. Owszem, groził, że wycofa wszystkie zlecenia dla Montifiore Construction, co znacząco nadszarpnęłoby interesy Carla.
- Realizujemy większość jego inwestycji w Georgii.
 - przyznał Carlo. - Ten stary łajdak wiedział, jak mi zaleźć za skórę. - Wyprowadził Bree z biura i prowadził marmurowymi schodami na dół. - Tylko że projekt Island Dream miał zapewnione bezpieczne finansowanie i nic mu nie groziło.
 - Nie brakłoby pieniędzy na jego realizację, nawet gdyby Skinner wycofał swój udział?
 - Carlo wzruszył ramionami.
 - Nie byłoby z tym żadnego problemu. Pieniądze zawsze się znajdują. Poza tym domyślałem się, że za miesiąc czy dwa cała ta afera ucichnie.
 - Domyślałeś się? - spytała dociekliwie Bree.
 - No dobrze - powiedzmy, że „miałem nadzieję”. Wyszedł za nią na zewnątrz wspaniałymi, starymi frontowymi drzwiami. Bree odwróciła się nagle i spojrzała mu w oczy.
 - Gdzie byłeś tego ranka, kiedy zginął Skinner?
 - Tutaj. - Carlo odwrócił się i spojrzał na kamienne mury piętrzące się nad ich głowami. - Dokładnie w tym miejscu. Było ze mną jakieś dwadzieścia osób.

Czternaście

Uczuć, że głębiej niż ząb węża rani Niewdzięczność dziecka!

William Shakespeare, Król Lear tłum. Maciej Słomczyński

- Oczywiście, że nam przykro z powodu jego śmierci - powiedziała Jennifer Skinner. - Był taki kochaniutki.
- Tak samo musiała mówić o swoim dziecku matka King Konga - mruknął pod nosem Grainger Skinner. Dolał sobie do drinka Tanqueraya na jakieś trzy palce i uśmiechnął się do Bree. - Dolać ci?
- Bree spojrzała na swojego drinka. Zdążyła już zapomnieć, jak bardzo lubi dżin z tonikiem, zwłaszcza w ciepłe, słoneczne popołudnia.
- Nie, dziękuję. - Wierciła się na kamiennej ogrodowej ławce. Siedzenie było wilgotne, twarde i niewygodne. Trzeba jednak przyznać, że ogród Jennifer robił wrażenie. Zamknięte ogrody otaczały wiele domów w Historie District, ale ten był jednym z najpiękniejszych. Zajmował ćwierć akra, ogrodzony był płotem z kutego żelaza (jak z ulgą zauważyła Bree, z normalnym ornamentem w formie liści akantu i bluszczu) i poprzecinany brukowanymi

alejkami. W północnej części ogrodu potężny dąb wirgi-nijski osłaniał zbawczym cieniem szerokie liście funkii, olbrzymie krzewy fuksji i wystrzelające wysoko w górę dzwonki. Południową część ogrodu porastały azalie i różaneczniki. Bree żałowała, że nie była tu wiosną, gdy ogród był w pełni rozkwitu. Pośrodku rosły róże i hortensje, ale ich letnie ukwiecenie pyszniło się już tylko resztkami dawnej chwały. W przydomowym otoczeniu wyróżniała się nowa, zdaniem Bree nieco krzykliwa kuchnia ogrodowa. Ceglane ściany tworzyły literę U, pośrodku której honorowe miejsce zajmował grill z nierdzewnej stali. Przy jednej ścianie znajdowała się niewielka lodówka, a przy drugiej duży dwukomorowy zlew, otoczony płytkami z włoskiej ceramiki. Grainger i Jennifer siedzieli przy dużym ogrodowym stole; Bree wycofała się na kamienną ławkę na skraju i niewielkiej fontanny przedstawiającej Niobe leżącą łązy do j kamiennego basenu.

- Ależ Grainger, kochanie! - płaczącym głosem powiedziała Jennifer. - Jeszcze go nawet nie pochowaliśmy.

- Pogrzeb jest jutro? - spytała Bree.

- Tak. Postanowiliśmy poczekać, żeby wszyscy mogli przyjechać na czas...

- Wszyscy troje - przerwał jej Grainger. - A przyjdą po to, by się upewnić, że stary naprawdę idzie do piachu.

Bree zakrztusiła się.

- Za dużo dzinu? - spytał współczująco Grainger. - Wybacz. Kiedy nie jestem na dyżurze w szpitalu, robię ciut mocniejsze drinki.

- Dziękuję, jest w sam raz - odparła Bree.

- Nie chcielibyśmy, by Bree sobie pomyślała, że cieszymy się ze śmierci taty - powiedziała Jennifer. - Kochanie, może te twoje drinki są jednak trochę za mocne.

- Ale ja się cieszę, że ten stary łajdak nie żyje - rzekł Grainger. Potem dodał zjadliwym tonem: - Kochanie.

Jennifer spojrzała na Bree, wywracając oczy, jak gdyby chciała powiedzieć „ach, ci mężczyźni!”

Jennifer nie była piękną, ale Bree pamiętała, że w szkolnych czasach nadrobiła braki w urodzie zgrabną sylwetką i wrodzoną gracją. Teraz mogła się jeszcze pochwalić szykiem i elegancją. Ciemne włosy miała zaczesane do tyłu w gładki kok. Na swoich sobotnich koktajlach („Drinki w ogrodzie, Bree. Koło czwartej? Nie martw się o strój”) przyjmowała gości w luźnych, kremowych 174 płóciennych spodniach, perfekcyjnie dobranej płócienną bluzkę - niezapiętą, by było widać bluzkę bez rękawów w kolorze ciemnej sepii - a do tego przewiązywała się w biodrach błękitną szarfą. Bree nie miała pojęcia, skąd pochodziły jej srebrne kolczyki i naszyjnik wysadzane turkusami, ale całościowy efekt był zniewalający.

Za to Bree włożyła swoje najlepsze dzinsy. Przynajmniej bluzkę miała białą i z jedwabiu.

- O ile mi wiadomo, pan Skinner nie był łatwy we współpracy - powiedziała. - Ale wam chyba zupełnie nieźle się z nim układało. Powiedziałaś, że jeśli pogoda pozwalała, przynajmniej raz w tygodniu wypływaliście jachtem w morze...?

Jennifer obrzuciła ją ostrym spojrzeniem.

- Wcale tak nie powiedziałam - odparła chłodno. - Skąd o tym wiesz? Ale to prawda, staraliśmy się poświęcać mu jak najwięcej czasu. Biedactwo, to były dla niego chyba jedyne chwile odpoczynku. On w ogóle nie miał czasu dla siebie. Rozumiesz, dla siebie - powtórzyła dwuznacznie. Sięgnęła po butelkę wina stojącą na stole i naląła sobie kolejny kieliszek. Było koło siedemnastej. W ciągu ostatnich czterdziestu pięciu minut Jennifer pochłonęła duży miętowy julep z whisky i dwa kieliszki wina. Teraz piła trzeci. Tyle alkoholu w tak krótkim czasie? Bree aż zakręciło się w głowie.

Grainger spostrzegł, że Bree obserwuje jego żonę; uniósł brew i uśmiechnął się porozumiewawczo. Bree poczuła, że się rumieni.

- A więc otwierasz w Savannah własną kancelarię? - spytał Grainger wesoło. Niespecjalnie przypominał ojca; Benjamin Skinner był niskim, żylastym mężczyzną z wielkim nosem, pod koniec życia zupełnie wyłysiałym. Grainger Skinner był wysoki, miał dużą głowę, jasnobrzo-we włosy i lekko wystający brzusek. - Podoba ci się nasze miasto?

- Jest bardzo piękne - odparła Bree. - W dzieciństwie parę razy przyjeżdżałam tu z rodziną na wakacje. Kiedy stryj Franklin zostawił mi w spadku kancelarię, bardzo się ucieszyłam, że tu zamieszkać.

Grainger pstryknął palcami.

- No przecież! Jesteś krewniaczką sędziego. Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

- Wyleciało ci też z głowy, że to właśnie Bree dzwoniła do nas w dniu śmierci tatusia - odezwała się nagle Jennifer. Uśmiechnęła się złośliwie i upiła łyżeczek wina.

Grainger mrugnął do Bree. Spojrzenie miał już mętne od dzinu.

- To ty dzwoniłaś? Chciałaś ubić interes na śmierci starego?

- To była pomyłka - pospiesznie odparła Bree. - Bardzo was za to przepraszam. Ktoś... ktoś mi zrobił głupi kawał.

- Ale nie jest pomyłką, że reprezentujesz tę całą Liz Overshaw - powiedziała zimno Jennifer. - Ta wariatka rozpowiada na prawo i lewo, że tatuś został zamordowany.

- To nie był twój tatuś - wtrącił Grainger. - Chciałbym, żebyś przestała go tak nazywać.

- A ponieważ to my jako ostatni widzieliśmy go żywego - ponieważ byliśmy przy tym, jak ten biedaczek wpadał do wody - ponieważ wydaje ci się, że Grainger dostał po nim spadek, to właśnie nas oskarżasz o morderstwo, tak? - Jennifer pochyliła głowę, wstała i ruszyła w stronę Bree. Twarz jej płonęła. Podniosła głos do krzyku. - A ja chciałabym wiedzieć, kiedy przestaniesz rozpowiadać po mieście te brednie!

No tak, wszystko poszło podejrzanie łatwo. Telefon do Jennifer, jej radość z odnowionej znajomości, natychmiastowe zaproszenie na miły popołudniowy koktajl w ogrodzie. Głupia, trzeba było się uszczypnąć - pomyślała Bree. Wpakowała się prosto w pułapkę, w której Jennifer miała wybić jej z głowy dalsze śledztwo.

Po raz pierwszy od chwili, gdy rozpoczęła się ta osobliwa sprawa, Bree zaczęła wierzyć, że Benjamin Skinner naprawdę został zamordowany.

- Masz zupełną rację - powiedziała rzeczowo. - Może więc pomogliście mi wyjaśnić parę spraw.

- Chyba ci odbiło - odparła Jennifer. Usiadła z powrotem przy stole, ledwo trafiając na krzesło. Poprawiła się gwałtownym ruchem. - Po diabła mielibyśmy ci pomagać?

- Jeśli jesteście winni, to rzeczywiście powinniście z miejsca kazać mi się wynosić - znaczącym gestem Bree odstawiała szklankę na kamienną ławkę. - Ale jeśli jesteście niewinni, dlaczego nie mielibyście mi pomóc? Savannah to małe miasto. Nie tylko ja interesuję się śmiercią pana Skinnera - Bree nie wiedziała tego, ale stwierdziła, że to prawdopodobne. - Nie chcecie chyba, żeby przed waszym domem zaczęły parkować wozy reporterskie, jak przed Mercer House?

Słyszac aluzję do sprawy Billy'ego Hansona, najsłynniejszego seryjnego mordercy w najnowszej historii Savannah, Jennifer aż zawrzała z wściekłości. Grainger natomiast odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się szczerym, spontanicznym śmiechem.

- Zamknij się! - Jennifer rzuciła w niego kieliszkiem. Lampka uderzyła o ceglana drózkę i rozprysła się na kawałki.

- Ajaj, kochanie - westchnął Grainger. Spojrzał na odłamki szkła. Schylił się i zaczął je ostrożnie zbierać. Kiedy zgromadził już pełną garść, wrzucił je do fontanny i zbierał dalej. - Problem w tym, panno Beaufort, że mamy świadka.

- Świadka? Ktoś widział, jak pan Skinner wpada do morza z pokładu „Sea Mew“?

Grainger wyprostował się. Krew napłynęła mu do twarzy.

- Doug Fairchild. Widział wszystko z pokładu swojej łodzi.

No i masz! - wrzasnęła Jennifer. - A widzisz? Pan Fairchild wszystko widział? - Bree spojrzała na nich uważnie.

Jennifer miała triumfalny wyraz twarzy kogoś, kto został oczyszczony z podejrzeń. Po Graingerze widać było, że łże.

- Tego chyba nie było w zeznaniach?

- Początkowo nie było. - Grainger wrzucił sobie do szklanki kilka kostek lodu i dołączył dzinu. - Po co Doug miał o tym mówić? Jediną osobą, która miała jakieś wątpliwości co do śmierci taty, była Liz, ale policja ją spławiła. Oczywiście do czasu - dodał z wrogością w głosie - kiedy nie zaczęli przy tym węszyć twoi ludzie.

- No i ta jego cizia - dodała Jennifer.

- Chastity - odpowiedziała Bree.

- Ta kurewka - Jennifer prychnęła szyderczo. - Mieści ci się to w głowie? Ona nie chce się wynieść z mieszkania w Island Dream. Twierdzi, że dostała je w spadku po naszym tacie. Penthouse wart półtora miliona dolarów i

- przewróciła oczyma. - Będziemy musieli wysłać tam 1 ludzi z biura szeryfa, żeby ją eksmitowali. Głupia, mała 1 dziwka.

- Podobno zdobyłaś raport koronera i akta śledztwa?

- spytał Grainger. - Bardzo jestem ciekaw, jak ci się to udało.

Bree również była tego ciekawa, ale oczywiście nie miała zamiaru się do tego przyznawać.

- Moim obowiązkiem wobec klientki jest jak najszybsze potwierdzenie bądź rozwianie jej podejrzeń związanych ze śmiercią twojego ojca - powiedziała. - Aby go wypełnić, muszę jej przedstawić możliwie najbardziej kompletną dokumentację dotyczącą okoliczności wypadku. - W ogrodzie robiło się coraz chłodniej. Bree zaczęła żałować, że nie wzięła ze sobą bluzy. Jennifer i Grainger, jednakowo zamarynowani w alkoholowym ciepłku, zdawali się niczego nie zauważać. - Czy mogę wam zadać kilka pytań dotyczących tego krytycznego wtorku?

Mąż z żoną wymienili spojrzenia.

- Zależy - odparł krótko Grainger. - Co chcesz wiedzieć?

- Kiedy postanowiliście wypłynąć w morze?

- To zależy od pogody - powiedziała protekcyjnym tonem Jennifer. - Nie da się niczego zaplanować z dużym wyprzedzeniem. Zwłaszcza w październiku. Wiele też zależało od terminarza taty. Wydaje mi się, że odebraliśmy telefon około... - zawahała się.

- Około dziewiątej rano - powiedział Grainger. - Cztery dni w tygodniu spędzam w szpitalu, trzy dni mam wolne. Wtorek mam wolny. Było pogodnie i spokojnie, więc razem z Jenny... - mówiąc to sięgnął przez stół i ku zdziwieniu Jennifer położył jej dłoń na ręce - razem z Jenny postanowiliśmy wybrać się jachtem na mały spacer. Tylko we dwoje.

Światło słoneczne przygasło i zaczęła wiać lekka bryza, szeleszcząc coraz głośniejszymi liśćmi funkii w północnym zakątku ogrodu. Bree zmarszczyła brwi i rozejrzała się dokoła.

- Zadzwoił do was pan Skinner?

- Tak - powiedział Grainger.

- Nie - powiedziała Jennifer.

Zrobiło się chłodniej. Bree zadrżała i objęła się rękami, a potem potarła dłonie.

- Właściwie to zadzwonił Doug Fairchild - gładko wyśliznął się Grainger. - Razem z tatą był na spotkaniu w sprawie przebudowy gmachu Tridenta w biurze. Wcześniej skończyli. Doug zadzwonił do nas i powiedział, że tata już jedzie do przystani. Chciał, żebyśmy poczekał. Więc poczekał.

- Dlaczego pan Skinner sam do was nie zadzwonił? Grainger wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Pewnie spieszył się do portu, żeby zdążyć, zanim wypłyniemy.

- Okropnie mi tu zimno - powiedziała Jennifer z rozdrażnieniem. - Nie wytrzymam już dłużej, muszę iść do domu.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę - powiedział Grainger. - Chyba wiesz już wszystko, Bree?

- O której godzinie pan Skinner zjawił się w porcie?

- Hmm - Grainger wzruszył ramionami. - Tuż przed naszym wypłynięciem. Pamiętam, że wskoczył na pokład prosto z nabrzeża, już po tym, jak wciągnęliśmy trap.

- Grainger! - zawołała Jennifer. Z chytrym uśmieszkiem spoglądała ponad ramieniem Bree w kierunku azalii. - Muszę iść do domu. Porozmawiajcie sobie z Bree.

- No dobra, idź już - rzucił niecierpliwie Grainger. - Co się z tobą dzieje, u licha?

Bree rozejrzała się dokoła i spojrzała w głąb ogrodu. Coś przycupniętego na ziemi poruszało wilgotnymi liśćmi. Być może kot, chociaż Bree miała wrażenie, że to coś większego od kota. Jennifer skoczyła na równe nogi. Kieliszek wypadł jej z rąk i rozbił się o kamień. Bree pomyślała, że jeśli tak wyglądają popołudniowe koktajle Jennifer, Skin-nerowie muszą zużywać sporo kieliszków. Jennifer niemal biegiem dopadła drzwi wychodzących na patio, przystanęła, obejrzała się na Bree z triumfalnym uśmiechem i zniknęła w domu.

- Rzeczywiście trochę tu zimno - Grainger zmarszczył brwi. - Co jest z tą pogodą, do diabła?

Bree przeniosła się na krzesło opuszczone przez Jennifer. Z tego miejsca widziała cały północny kąt ogrodu. Liście znieruchomiały, ale była pewna, że coś tam się czai i bacznie ich obserwuje.

Cokolwiek tam siedziało i jakkolwiek było potworne, czy miało niebieskie oczy?

- Miałeś mi powiedzieć, o której godzinie pan Skinner wszedł na pokład „Sea Mew”.

Grainger przesunął ręką po twarzy.

- Myślę, że koło dziesiątej. Na pewno. Wiatr ucichł. Zarośla ani drgnęły.

- A potem postawiliście żagle i wypłynęliście.

- Taa.

Bree przejrzała w myślach raport z policyjnego śledztwa. Przesłuchanie porucznika Huntera zaczynało się od momentu wypłynięcia „Sea Mew”. Jeżeli Grainger kłamał, opowiadając o wydarzeniach poprzedzających przybycie ojca na jacht - a Bree była pewna, że tak było - kłamstwem będzie też cała reszta. A te kłamstwa zostały już zapisane. Nie musiała wysłuchiwać ich jeszcze raz.

Odwróciła się i spojrzała na Graingera.

- Czy zabiłeś swojego ojca?

- Nie - odparł. - Nie, nie zrobiłem tego.

Nagle Bree nabrała niezachwianej, chłodnej pewności, że Jennifer nieprzypadkowo zostawiła ich samych w ogrodzie. „Te Pendergasty!” - usłyszała szept Lavinii - „Te Pen-dergasty to samo zło!”

Z zapachem przekwitających róż zmieszał się odór rozkładających się zwłok. Grainger siedział rozparty na krześle, pogrążony w alkoholowym odrętwieniu. Bree wstała od niechcienia i postawiła szklankę na stole.

- Nie musisz mnie odprowadzać. Grainger ani drgnął.

W zaroślach za jego plecami powoli zaczęła się formować ciemna, cuchnąca chmura oleistego dymu. Bree z całych sił starała się dojść spokojnym krokiem do żelaznej bramy. Odsunęła rygiel, wysliznęła się na przyjemnie ciepły chodnik i drżąc, oparła się plecami o ogrodzenie. Obejrzała się i nerwowo zerknęła przez ramię. Grainger otworzył oczy i wyszczerzył się w uśmiechu. Cokolwiek czaiło się za nim w ogrodzie, zniknęło.

Piętnaście

Była tam brama na wschód prowadząca, Którą gdy ujrzał arcyłotr, pogardził Właściwym wejściem. Jednym dumnym skokiem Przesadził wzgórze i mur...

John Milton, Ra; utracony tłum. Maciej Słomczyński

- Powiem ci, co myślę - zakomunikowała Bree Ronaldowi. - Myślę, że Skinner był martwy, zanim znalazł się na jachcie. - Mówiąc to, była do połowy ubrana w skromną czarną sukienkę, którą Ron przyniósł jej do przymierzenia. - A ta upiorna Jennifer maczała w tym palce.

- Skinner miał w płucach morską wodę - powiedział Ron. Poprawił jej stanik i cofnął się o krok, żeby zobaczyć efekt. - On utonął. Nie mogli przekupić koronera, bo ciało wciąż jeszcze leży w kostnicy, a jeśli zajdzie potrzeba, można je nawet odkopać po pogrzebie. Nie ma co - obrócił Bree i zapiął suwak - o tym myśleć. Po co mieliby topić go w jednym miejscu, a potem przenosić gdzie indziej?

- Nie bardzo - powiedziała Antonia. - Widzę pewne braki tam, gdzie nie powinno ich być. Mówię o sukience - dodała, widząc pytająco uniesione brwi siostry - nie o twojej teorii na temat tej zbrodni. O ile to była zbrodnia.

- To na pewno była zbrodnia - powiedziała Bree ponuro. - A Jennifer jest w nią zamieszana. Jestem tego pewna.

- Masz rację - powiedział Ron do Antonii. - Nie wygląda elegancko. Raczej biednie. - Rozpiął suwak i sukienka opadła na podłogę. Bree rzuciła ją na stertę strojów piętrzącą się już na kanapie i w samej bieliźnie ponownie zanurkowała między torby rozrzucone po podłodze. Sasza wetknął nos w jedną z toreb, ale Ron odpędził go delikatnie.

- No cóż, przynajmniej Liz Overshaw została przekwalifikowana z wariatki na rozsądną obywatelkę - powiedziała Antonia. - A właściwie dlaczego zaczęłaś jej wierzyć?

Bree nie wiedziała dlaczego, ale była pewna, że się nie myli. Nie mogła nie być pewna, gdy przypominał jej się tajemniczy obserwator w ogrodzie Skinnerów i złośliwa satysfakcja, z jaką Jennifer przywitała zagadkowy chłód. Nie mogła się jednak do tego przyznać. Mogła tylko powiedzieć, Antonii czy komukolwiek innemu, że istnieje wiele bardziej racjonalnych argumentów - ewidentny niepokój Jennifer, niespójne zeznania obojga Skinnerów, ich schizofreniczny stosunek do samej postaci Benjamina, nie wspominając o upiornym odczuciu Bree, że jest śledzona - które ją przekonują, że ktoś rzeczywiście - jak to ujął Striker - „odebrał Skinnerowi życie, zanim nadszedł jego czas”.

Ron sięgnął do torby z logo GoFish, wyciągnął czerwoną sukienkę i rozwinął ją. Biła po oczach wspaniałą kardynalską czerwień. Bree miała wrażenie, że niedawno gdzieś widziała ten kolor.

- Co myślisz?

Bree spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Jest okropnie czerwona, nie sądzisz?

- Mnie się wydaje, że ten kolor pasuje do ciebie jak żaden inny - stwierdziła Antonia. - Wkładaj ją, i to już. Ech - dodała z zazdrością - chciałabym, żeby Ron mnie ubierał.

- Z przyjemnością, gdybyś tylko miała jakieś pieniądze, złotko - odparł Ron. - Na razie nie kwalifikujesz się nawet do zasiłku dla bezrobotnych.

Antonia zachichotała.

- Żebyś wiedział.

Ron cmoknął z dezaprobatą.

- Żadnych wieści o pracy?

Bree nie mogła się nadziwić, z jaką łatwością Antonia znosi jego docinki. Gdyby Bree powiedziała jej chociaż połowę tego, co uchodziło na sucho Ronowi, zostałyby ogolona na łyso. Jak przyznała Antonia z uśmiechem, Ron był dla niej starszym bratem, którego nigdy nie miała i nigdy nie chciała.

-Nic. Dzwoniłam dzisiaj. O tę techniczną robotę stara się też jakiś koleś. Skończył scenografię w jakiejś szkole teatralnej na Środkowym Zachodzie. Uwierzyłyś? - Z niesmakiem potrząsnęła głową.

-Masz ci los - Ron uniósł brwi. - Po kiego im ktoś po | studiach, skoro mają ciebie, z twoim olbrzymim doświadczeniem? No powiedz sama.

- Zamknij się - odparła niewzruszona Antonia. - Reżyser mnie uwielbia. Zresztą po co miałby zatrudniać jakiegoś kujona po studiach, który nie ma pojęcia o aktorstwie, zamiast kogoś, kto bez problemu mógłby wszystkiego się nauczyć, a przy tym potrafi grać?

- Nie mam pojęcia. Może po to, żeby mieć dobrego pracownika?

- Ej, moi drodzy - wtrąciła Bree. - Jak wam się podoba? - Wygładziła sukienkę na biodrach i okręciła się dokoła.

- Tak! - wrzasnęła Antonia.

- Chyba jednak znam się na rzeczy, co? - Ron był pełen samozadowolenia.

Bree obejrzała się dokładnie. Sukienka sięgała do połowy łydki. Uszyta była z lekkiego atłasu, połyskującego niczym słoneczne refleksy na powierzchni wody. Kończyła się delikatnymi fałdami. Nie miała dekoltu, sięgała pod samą szyję.

- Wspaniała - pochwaliła Antonia. - Po prostu wspaniała.

Bree stanęła na palcach, żeby przejrzeć się w lustrze nad kominkiem. Rzeczywiście wyglądała wspaniale, choć odrobinę władczo.

- No, w tym stroju możesz stawiać czoła całemu klanowi Skinnerów - uśmiechnął się do niej Ron. Był to radosny, ufny uśmiech i Bree odwdzieczyła mu się podobnym.

- Dzięki - powiedziała. - Masz rację.

- De nada, jak mówimy na południe od Montgomery Street. Kawaleczek na południe, oczywiście. Pamiętaj, ja nigdy się nie mylę co do strojów.

- Ktoś przyszedł - oznajmiła Antonia, gdy w domu wybrzmiał dzwonek u drzwi. - Ja otworzę. Ktokolwiek to jest - rzuciła przez ramię - spław go szybko. Umieram z głodu.

Wróciła po chwili, prowadząc potężnie zbudowanego mężczyznę o posępnym spojrzeniu.

Był to gliniarz. Ponad wszelką wątpliwość. Pod tanią sportową marynarką widać było zarys kabury, a ostrożny, czujny wzrok zdradzał zawodowe doświadczenie. Bree poczuła, jak przeskakuje między nimi iskra wzajemnego zainteresowania. Mężczyzna miał piwne oczy. Spojrzenie, jakim ją otaksował, było przelotne, lecz dokładne. Oczyma duszy Bree widziała skatalogowane w tym spojrzeniu informacje: „Biała kobieta, tuż przed trzydziestką, pięć stóp i dziewięć cali wzrostu, włosy jasnobłond, 125 funtów wagi, zielone oczy, brak znaków szczególnych”.

- Policja hrabstwa Chatham - zupełnie niepotrzebnie ogłosiła Antonia. Zamachała wizytówką i wręczyła ją Bree.

- Porucznik Hunter, detektyw pierwszej klasy czy coś w tym rodzaju. Poruczniku, to moja siostra, królowa Bree.

- Obrzuciła go zuchwałym spojrzeniem. - Przypuszczam, że trochę to potrwa? Proszę tylko pamiętać: nie jedliśmy kolacji.

Bree, do której nagle dotarło, że wciąż ma, na sobie tę wspaniałą czerwoną suknię, a wokół niej leżą rozrzucone ubrania i torby z zakupami, odczuła pewną niezręczność całej sytuacji. Spiorunowała Antonię wzrokiem, a potem chłodno skinęła głową w stronę detektywa.

- Jestem Brianna Beaufort. Cieszę się, że pana widzę, poruczniku. Zamierzałam przyjść do pana na rozmowę w poniedziałek rano. Pochlebiam mi, że mnie pan uprzedził. Zwłaszcza że mamy weekend.

- To nie jest kurtuazyjna wizyta - uciął Hunter. Szorstki głos, doświadczony i dość cyniczny, pasował do jego twarzy. - Ale nie powinna pani przeszkodzić w zjedzeniu kolacji.

Ron chwycił Antonię za łokieć.

- Posłuchaj, złotko, chodźmy do baru krewetkowego, co? Przyniesiemy pannie Bree sałatkę.

- Ale... - zaczęła Antonia.

- Żadnych „ale”. Wrócimy na jednej nodze, Bree. Sasza odprowadził ich do drzwi, a potem przykuśtykał na sztywnej nodze z powrotem do salonu i z głośnym stęknięciem zaległ na podłodze. Bree przyzwyczała się już do oceniania ludzi na podstawie jego reakcji. Pies nie zwracał uwagi na detektywa.

- Czy mogę usiąść na chwilę? - policjant wskazał gestem ręki zasłaną sukienkami kanapę.

- Oczywiście. - Bree ułożyła wszystkie ubrania w stosik na stoliku do kawy, starając się zapanować nad zdenerwowaniem. Usiadła w perkalowym fotelu, a Hunter zajął miejsce na dalszym końcu kanapy. Bree pamiętała ojcowską radę, że w niepewnych sytuacjach najlepszą obroną jest zazwyczaj milczenie; siedziała więc z rękami na kolanach i czekała, aż policjant się odezwie.

- Pani klientka, panna Overshaw, narobiła w mieście niezłego szumu, szczególnie wokół kilku osób.

Słowo „panna” wypowiedział bez charakterystycznego zażenowania, z jakim wymawiała je większość białych mężczyzn w średnim wieku. Z bliska dało się jednak zauważyć, że jest młodszy, niż się wydaje: wyglądał na trzydzieści parę lat. Postarzał go wyraz twarzy.

- Owszem - spokojnie przyznała Bree. - Narobiła.

- Pani mieszka w Savannah od niedawna, prawda, panno Beaufort?

- Tak - odparła. A potem, ze zdziwieniem, bo zdawało się jej, że mieszka tu od urodzenia, dodała: - Nieco ponad tydzień.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz. Nie myliła się: był niewiele starszy od niej.

- Wcześniej przez kilka lat pracowała pani w Karolinie Północnej, w firmie prawniczej swojego ojca. Winston--Beaufort i Montgomery, korporacyjne prawo podatkowe. Zgadza się?
- Jest pan dobrze poinformowany, poruczniku.
- Zatem w dochodzeniach kryminalnych jest pani no-wicjuszka.

To już zabrzmiało protekcyjnie. Bree poczuła, że wzbierają w niej emocje. Zdusiła je wysiłkiem woli i przyznała:

- Zgadza się.
- Jest pani jednak świadoma pewnych powinności, jakie obowiązują w pani zawodzie...

No proszę, umiał też być złośliwy; Bree wiedziała, że większość gliniarzy niespecjalnie szanuje prawników, ale przecież...

- ...a są one zupełnie jasne, panno Beaufort: powinna nam pani przekazać wszelkie informacje, jakie pani zdobędzie w toku swojego dochodzenia.
- Co pan ma na myśli, mówiąc „nam”? Komendę policji hrabstwa Chatham? Czy grupę znajomków spotykających się po pracy i popijających julep?

Aluzja do zakulisowych sił była w pełni zamierzona. Jeśli to Skinnerowie przysłali Huntera, żeby ją zastraszyć, powinno im to dać do myślenia. Na jego twarzy błysnął gniew - tak szybko, że Bree nie była pewna, czy w ogóle coś zauważyła. Ale dlaczego rozgniewały go te słowa? Dlatego, że faktycznie był wysłannikiem władzy? Czy dlatego, że sądził, iż to ona reprezentuje władzę? Firma Winston-Beaufort i Montgomery działała już od czasów wojny domowej. Jeśli aż tak dokładnie zbadał historię jej kariery, musiał o tym wiedzieć.

- Poruczniku, dlaczego nie powie pan prosto z mostu, czego pan chce? Zaoszczędziłoby to nam mnóstwo czasu.

Zmęczonym gestem Hunter przeciągnął ręką po twarzy, i Bree poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Żadne miasto i nie płaciło godziwie swoim policjantom i policjantkom, j Ci ludzie wykonywali trudną pracę z trudnymi ludźmi i Bree szanowała ich bardziej, niż była gotowa przyznać.

- A może zanim przejdziemy do rzeczy, napije się pan kawy? Porucznik to pana imię? Czy ma pan jeszcze jakieś inne?

Odpowiedział jej bladym uśmiechem.

- Sam. A kawy chętnie się napiję.
- Może w takim razie przejdziemy do kuchni? Nie będę musiała się martwić, że wyleję kawę na te wszystkie ciuchy, które naznosił mi Ronald. Oczy porucznika omiotły ją chłodnym, taksującym spojrzeniem.
- Szuka pani sukienki na przyjęcie? Żeby olśnić swoich przeciwników? W tym stroju to powinno się udać.

Bree spojrzała z zakłopotaniem na swoją czerwoną sukienkę i zerknęła na policjanta. W oczach błąkał mu się nikły uśmieszek. Odpowiedziała mu uśmiechem i przez dłuższą chwilę miała wrażenie, że rozmowa dobrze się zapowiada.

Bree odwróciła się na pięcie i podeszła do zlewu. Zmiliła kawę, wsypała ją do ekspresu i nalała wody do zbiornika. Wykonując te proste, znajome czynności czuła, że jej zakłopotanie ustępuje. Gdy zasiadła przy kuchennym stole naprzeciwko policjanta, była już czujna i opanowana.

- Dziś odebrałem telefon z biura burmistrza. Wygląda na to, panno Beaufort, że prowadzi pani własne śledztwo w sprawie śmierci Benjamin Skinnera.
- Proszę mi mówić Bree - wtrąciła z dokładnie odmierzoną dawką grzecznego dystansu. - Czyżbyś chciał mnie ostrzec przed ponowną rozmową z Graingerem i Jennifer Skinnerami? Uniósł brwi.
- Czy ja chcę cię ostrzec? Nie. Czy... - zawahał się
- czy osoba, która dzwoniła do mnie z biura burmistrza, chciałaby, żebym cię ostrzegł? Pewnie, że tak. Ale mnie niespecjalnie obchodzi, kogo napastujesz podczas swojej ekspedycji badawczej. Muszę jednak powiedzieć ci jedno: dalsze grzebanie w tej sprawie może wpłynąć na twoją późniejszą praktykę zawodową w Savannah. No ale to oczywiście nie jest moja sprawa, a ty mi wyglądasz na bystrą kobietę, więc pewnie wiesz, co robisz. Jeśli jednak dowiesz się czegoś istotnego, to na pewno będzie już moja sprawa.
- Nie obchodzi cię, kogo napastuję, jak to taktownie ująłeś? - odparła Bree z irytacją. - Aż tak bardzo jesteś pewien swojej pracy? Ale swoich przyszłych awansów w firmie już chyba mniej? Poruczniku, pracuję jako prawniczka ledwie parę lat, ale zdążyłam już się zorientować, jak to wszystko działa. Ci, którzy w kluczowych momentach odmawiają udziału w grze, schodzą z boiska.

Hunter wzruszył ramionami.

- Skąd ta troska o mnie?
- Stąd, że reprezentuję interesy mojej klientki - rzuciła.

- Jeśli policjant prowadzący śledztwo pójdzie na jakikolwiek kompromis... - urwała w pół zdania, widząc groźny grymas gniewu na jego twarzy. - Przepraszam - powiedziała bez zastanowienia. - Nie chciałam ci zarzucać żadnych przekrętów.

- Miałem wrażenie, że do tego zmierzasz. - Hunter splótł ręce na piersi i spojrzał na nią, jak gdyby oceniał jej wartość jako sojuszniczki. - Dziś po południu widziałas się z Graingerem i Jennifer Skinnerami.
- Tak - potwierdziła, choć to nie było pytanie. - A rano z Carltonem Montifiore.
- Chciałbym, żebyś streściła mi tę rozmowę.

Zrobiła to, i to całkiem zgrabnie - przynajmniej w swoim mniemaniu. Streszczenie było precyzyjne, dokładne i przyprawione dostatecznie dużą dawką sceptycyzmu, by Hunter mógł się zorientować, że Bree nie wierzy nawet w jedno słowo Skinnerów. Opuściła wątek tajemniczego zimna i obserwatora w ogrodzie.

- Twierdzą, że mają świadka wypadku? fl Bree podała mu filiżankę kawy, obok postawiła śmietankę i cukier, po czym usiadła przy stole.
- Tak, Douglasa Fairchilda. Nie wyjaśnili, dlaczego fl aż do dziś się z tym nie ujawnił. Pewnie dowiedzieli się, fl że Liz mnie wynajęła, i wysmążyli to między sobą, żeby I uwiarygodnić swoją wersję. - Niecierpliwym gestem ryso- fl wała na powierzchni stołu niewidoczne koła. - Mogę cię S o coś spytać, poruczniku? Czy sądzisz, że Benjamin Skin- I ner został zamordowany?
- Komendant Hartman zamyka sprawę. Śmiertelny wy- I padek. I
- Ale ty w to nie wierzysz. I Hunter wpatrywał się w nią niewzruszenie. I
- Och, nie wygłupiaj się - powiedziała Bree. - Niby I po co do mnie przyszedłeś? Chyba nie chciałeś mnie za- | straszyc, żebym porzuciła moją klientkę i całą tę sprawę? f - Mówiąc to, spostrzegła, że kiedy Huntera ogarniała złość, jego oczy przybierają odcień matowego bursztynu. - Będę z tobą zupełnie szczerą. Jestem przekonana, że Benjamin Skinner został zamordowany. Co więcej, jestem prawie pewna, że był martwy, zanim dostał się na jacht. To znaczy, że ktoś przetransportował go na pokład.

Hunter przyglądał się jej bacznie.

- Poważne przypuszczenia. Masz coś na ich poparcie? Coś więcej niż intuicję?
- Nic, co twoim zdaniem miałoby sens - przyznała Bree. - Wiem, że kłócą się z faktami. Jesteś pewien, że nikt nie przekupił koronera?

- Doktora Bishopa? - Hunter był szczerze zaskoczony. - Wiesz, ile osób było przy sekcji zwłok? Ja sam tam byłem.
- Byłeś przy autopsji? I nic nie zwróciło twojej uwagi? Nie wzbudziło twoich wątpliwości?

Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę, jakby rozważając, czy może jej zaufać. Potem powiedział powoli:

- Synowa Skinnera przejechała po nim jachtem. To bardzo wygodne, tak zmasakrować ciało okrętową śrubą. Można uniknąć wielu niewygodnych pytań. Tym bardziej, że Skinnerowie mieli dość czasu, by wciągnąć starego na pokład, upewnić się, czy śruba zmieliła wszystkie ślady napaści i wyrzucić ciało za burtę przed przybyciem Straży Przybrzeżnej.

Bree skrzywiła się.

- Znasz się trochę na żeglowaniu? - spytał Hunter.

- Znasz się. Czyli wiesz, jak trudno się manewruje jachtem tego typu co „Sea Mew”. Byłbym zdziwiony, gdyby któreś z nich umiało zrobić to celowo.

- Może nie przejechali jachtem po ciele. Może po prostu spuścili je na śrubę - Bree gwałtownie potrząsnęła głową.
- Brr, nie chciałabym, żeby mnie to spotkało. Widziałam zdjęcia z autopsji i jeszcze długo ich nie zapomnę.

Hunter odpowiedział jej grymasem.

- Taa, mocny widok.
- Ale zgadzasz się ze mną? Myślisz, że jest w tej sprawie coś podejrzanego?
- Owszem, nie jestem zupełnie usatysfakcjonowany.

- Nie wyglądasz na człowieka, który kieruje się intuicją, poruczniku. Wręcz przeciwnie. Co przekonało cię do tego, że to było morderstwo?
 Hunter dopił kawę, po czym podniósł się i wstawił filiżankę do zlewu.

- Dzięki za kawę. Dasz mi znać, jeśli dowiesz się czegoś nowego? Masz moją wizytówkę?

- Momencik - surowo powiedziała Bree. - Zrozumię. - Łąbam, że chcesz coś przede mną ukryć, gdybyś miał na 1 względnie dobro śledztwa w sprawie morderstwa. Ale sam powiedziałeś, że twój szef jest gotów - jak ty to ująłeś? - zamknąć sprawę. Oficjalne stanowisko brzmi: śmiertelny wypadek. A jeżeli oficjalnie był to śmiertelny wypadek, każdy wypowiedziany przez ciebie sąd, który jest z nim sprzeczny, będzie nieoficjalny, zgadza się? No więc? Wykrztuś to.

Hunter parsknął śmiechem.

- Proszę, usiądź - Bree poklepała zachęcająco kuchenne krzesło. - Zrobię ci jeszcze jedną kawę. Oni zaraz wrócą. Posiedź jeszcze chwilę, załapiesz się na krewetki.

- Jacy „oni”? Jeśli jesteś umówiona z przyjaciółmi...

- Antonia i Ron. Pracuje dla mnie.

- Twoja siostra pracuje u ciebie? Jako asystentka?

- Nie - powiedziała Bree z rozdrażnieniem. - Facet, który tu był razem z nią. Ten, który pomagał mi się ubrać. Ron Parchese.

- Kiedy wszedłem, nie było tu nikogo oprócz ciebie i twojej siostry. - Hunter pojrzał na nią mrocznym wzrokiem spod zmrużonych powiek.

Bree wytrzeszczyła na niego oczy. Odpowiedział jej tak krytycznym, taksującym spojrzeniem, że aż zadrżała. To było prawdziwe spojrzenie gliniarza.

- Wiesz... - powiedziała niepewnie - wydaje mi się, że Ron był tu wcześniej i zdążył wyjść przed twoim przyjściem. Wybacz, miałam ciężki dzień. Nie chciałam... - ze wszystkich sił spróbowała się uśmiechnąć. - Ej, chyba jadłeś kiedyś w Shrimp Factory? Nie zdziwiłabym się, gdyby to było najlepsze jedzenie w całej Georgii. Antonia zawsze przynosi porcje dla całego batalionu.

Hunter usiadł. Niechętnie, ale usiadł. To nasunęło jej wiele pytań i przypuszczeń. W sobotni wieczór Hunter musiał już być po pracy. Nie nosił obrączki. Zatem nie ma żony ani dziewczyny, może nawet nie ma zbyt wielu przyjaciół. Jest jankesem, prawdopodobnie z Północnego Wschodu - tego płaskiego wielkomijskiego akcentu nie da się z niczym pomylić. I nosi się po żołniersku.

Wolała nie zastanawiać się nad tym, jak mógł nie zauważyć jej ruchliwego asystenta, niemal ostentacyjnie zwracającego na siebie uwagę. Przynajmniej nie teraz.

- Ty chyba nie pochodzisz z Georgii - zagadnęła, nalewając kawę. - Może nawet w ogóle nie jesteś z Południa.

- Nietrudno zgadnąć - odparł. - Nie mam akcentu.

- To my nie mamy akcentu. Wy, tam na Północy, mówicie z akcentem. Ale nie tylko o to chodzi. - Bree poczęstowała go promiennym uśmiechem. - Pijesz czarną kawę. Każdy prawdziwy południowiec pije normalną kawę, czyli z cukrem i śmietanką. - Podniosła ze stołu dzbanuszek. - Zgadza się?

Hunter potrząsnął głową, a potem odparł:

- Za to twój pojawia się i znika. Bree pytająco uniosła brwi.

- Twój południowy akcent.

Całe szczęście, że nie słyszała tego Antonia - nie omieszkałaby poinformować Huntera, że kiedy w jej siostrze odzywa się południowa krew, powinien mieć się na baczności. Bree bawiła się cukierniczką i dzbanuszkami ze śmietanką, obserwując Huntera kątem oka.

- Od dawna mieszkasz na Południu?

- Od paru lat. Po studiach licencjackich zaciągnąłem się do piechoty morskiej i służyłem przez dwa turnusy.

- To dość czasu, żeby zmiekczyć tę waszą północną wymowę. Albo nawet się jej pozbyć.

Odchylił się z krzesłem do tyłu i wyciągnął przed siebie długie nogi. Wyglądał na zdziwionego. Co więcej, wyglądał na odprężonego.

- Czy pani próbuje ze mną flirtować, panno Beaufort?

- Pewnie, że tak, Sam. Moim zamiarem - wrednym zamiarem, nie da się ukryć - jest oczarować cię tak, żebyś zdradził mi wszystko, co wiesz na temat sprawy Skinnera. Poznałeś go kiedyś osobiście? Tak prywatnie?

- Poniekąd. Przy Liberty Street jest jedna z jego inwestycji.

- Pyramid Office Building? - spytała bez wahania Bree.

- Jest już na ukończeniu, prawda? Mój stryj miał tam biuro.
- Niewiele brakowało, a remont nie zostałby ukończony... Jakoś nie mogli się dogadać, czy zupełnie wyburzyć budynek, czy zostawić fasadę i odbudować go tylko tam, gdzie trzeba.
- Słyszałam o tym. - W kuchni dało się odczuć chłodny powiew. Bree wstała i przymknęła okna nad zlewem.
- Fairchild postawił na swoim, mimo silnych sprzeciwów Skinnera. A kiedy zaczęli odkopywać fundamenty, żeby wymienić piwniczne belki, znaleźli trupa.
- Trupa?
- Białego mężczyzny, jak się potem okazało. Z dziurą w czaszce, wielką jak Topeka. Wygląda na to, że dawniej w Savannah grzebano zmarłych tam, gdzie było najwygodniej - niekoniecznie na cmentarzu.
- To prawda. Myślę, że głównie piratów.
- W każdym razie prace wstrzymano, dopóki nie zbadaliśmy ciała.
- To były stare szczątki?
- Bardzo stare. Zdaniem antropologów z University of North Carolina mniej więcej z połowy osiemnastego wieku. - Usta Sama rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.
- Pojawiło się przypuszczenie, że był to jakiś nieposłuszny prawnik, który złamał zakaz gubernatora Oglethorpe'a i jakimś cudem przedostał się do miasta.
- Jasne - odparła Bree z irytacją. - Podejrzewam, że wszyscy się z tego nieźle uśmialiście.
- Wszyscy oprócz prawników - przyznał Sam. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale to był żart Skinnera.
- O ile mi wiadomo, Skinner nie miał zbyt wielkiego poczucia humoru.
- Raczej nie miał. To był naprawdę wyjątkowo niesympatyczny gość. Nie przejmował się tym, że z powodu wstrzymania prac jego wspólnicy mogą zbankrutować.
- Gdyby wredny charakter mógł być motywem zbrodni, mielibyśmy czterokrotnie więcej morderstw - powiedziała Bree, czując, że w kuchni robiło się coraz zimniej. Potarła dłońmi ramiona i pomyślała, że za chwilę chyba przeprosi Huntera i pójdzie po sweter. - Kiedy to było?
- Sam wzruszył ramionami.
- Jakies osiem, dziewięć miesięcy temu. Na samym początku remontu.
- Który wciąż jeszcze trwa. Podobnie jak wykańczanie apartamentowca Island Dream. Chociaż zdaje się, że jedna osoba z najbliższego otoczenia Skinnera już tam mieszka?
- Owszem, chirurgicznie podrasowana panna Chastity McFarland. Swoją drogą ona podziela twoje przekonanie, że Skinner został zamordowany.
- Czyżby wiedziała o czymś, czego my nie wiemy?
- Panna McFarland interesuje się raczej tylko stanem osobistych finansów pana Skinnera. Rozmawiałem już z Johnem Stubblefieldem, który jest wykonawcą jego testamentu. Skinner nie zostawił jej ani centa. McFarland nie miała żadnych powodów, by życzyć mu śmierci.
- Hm... - Bree była rozczarowana. - Zatem nie wyrzuciła go za burtę, żeby dostać spadek. A czy śmierć Skinnera zmieniła cokolwiek w sprawach Graingera i jego żony?
- spytała, znając już odpowiedź.
- Dobrze pytanie. Odpowiedź brzmi: nic na to nie wskazuje.
- A czy w ogóle zmieniła cokolwiek dla kogokolwiek?
- Skinner ma fundację dobroczynną. Większość jej dochodów jest przeznaczonych na finansowanie programów telewizji publicznej.
- Wyprawiony na tamten świat przez dobrych pracowników własnej fundacji - mruknęła Bree. - A niech to
- rozejrzała się ze złością po kuchni. - Gdzie tu jest jeszcze jakieś otwarte okno? Czy tobie też jest zimno? Tu nawet zimą rzadko włącza się ogrzewanie, a w październiku nie zdarzyło mi się to nigdy.

- Nie, nie jest mi zimno - odparł lekko zdziwiony Sam. Siedział tyłem do łukowego przejścia prowadzącego do salonu. Za jego plecami w polu widzenia Bree pojawił się Sasza. Uszy miał położone płasko na głowie. Z bezgłośnym warczeniem uniósł górną wargę, odsłaniając zęby. Za nim majaczyło coś na kształt wodnego palucha koloru ropnej żółci.

Sam przechylił się nad stołem i zaczął jej się troskliwie przyglądać.

- Coś nie tak?

Bree podniosła dłoń do czoła.

- Ja... nie. To znaczy tak, trochę tak. Szczerze mówiąc, chyba mnie bierze przeziębienie. Przepraszam, dopadło mnie zupełnie zniecka.

Sam wstał.

- Rzeczywiście kiepsko wyglądasz. Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie, za chwilę wróci moja siostra. Ale gdybyśmy mogli dokończyć naszą rozmowę kiedy indziej... Boże!

Żółty strumień zawirował wokół łap Saszy, zafalował i przerodził się w złowieszczo połyskujący obłok. W oczach psa błysnęła diabelska czerwień. Sasza wyszczerzył zęby w straszliwym grymasie. Kły miał unurzane w czymś ciemnym. Obrócił się niezdarnie na swojej sztywnej łapie i zniknął za rogiem.

- Słuchaj, a może poszukam twojej siostry? Dokąd poszła, do Shrimp Factory?

- Nie, nie! Chyba po prostu bierze mnie przeziębienie. Gdybyś mógł wrócić jutro...

Złowieszczy kształt mierzył już jakieś trzy stopy wysokości i przybrał postać upiornie błyszczącej wodnej kuli. Pulsował do rytmu jakiegoś straszliwego serca.

- Oczywiście - Hunter odwrócił się i skierował w stronę salonu, z którego przyszedł. Zatrzymał się przed straszliwym kształtem. Nie widział go. Wiedziała, że go nie widzi.

- Nie! Tylnymi drzwiami, proszę! - Chwyciła go za ramię, pociągnęła za sobą przez całą kuchnię i niemal wypchnęła przez kuchenne drzwi. Zasunęła rygiel i znieruchomiła przy drzwiach, mając za plecami tę przyczajoną potworność. A potem się odwróciła.

Szesnaście

Ja tworzę światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę. Ja, Pan, czynię to wszystko.

Biblia Tysiąclecia, Księga Izajasza 45,7

Z lustra wylewała się rzeka piekielnego światła. Sasza warczał, nie pozwalając jej się zbliżyć. Nie mogła do niego podejść - pies wyglądał na opętanego - ale stanęła z tą okropnością twarzą w twarz. Serce tak jej łomotało, że aż drżała od jego uderzeń, ale stanęła z tym twarzą w twarz.

i nie wiedziała, co robić. To nie było sprawiedliwe, że prześladowają ją te przekłete wizje, ci obłąkańcy, że Gabriel Striker zostawił ją z całym tym tajemniczym zadaniem, nie dając żadnych wskazówek.

Warczenie psa przeszło w skrzek, a potem ucichło. Sasza rzucił się na podłogę, skulił i zaczął pełznąć w jej stronę, drząc każdym mięśniem swojego ciała.

W lustrze - z lustra - wzbila się para olbrzymich skrzydeł, a potem opadła - raz, dwa, trzy razy - ze straszliwym świstem, jakby gigantycznej kosy.

Bree niemal dławiała się strachem. Tak jak Sasza, upadła na podłogę, rażona zgrozą na widok straszliwych skrzydeł. Przycisnęła dłonie do uszu; pies doczołgał się do niej, wlaź jej na kolana i skomlał, wtulił jej głowę pod podbródek. Bree była pełna mdlącej pewności, że to coś, ta istota, ta siła zrobiła Saszy coś, o czym jej się wcześniej nie śniło.

Nagle wezbrała w niej wściekłość. Przytulając do siebie psa, podniosła się na kolana. Czy gdyby miała jeden z mieczy Gabriela, mogłaby stanąć do walki? Odrażające światło sięgało już wysokości ramion dorosłego człowieka i przemieszczało się w jej stronę z miarową, nieubłaganą siłą, jak oceaniczna fala.

Bree cofnęła się.

Światło poruszało się dalej.

Wycofała się przez kuchnię aż do zamkniętych wyjściowych drzwi i trzymając jedną ręką przerażonego, ale cierpliwego psa, drugą manipulowała za plecami, usiłując odsunąć rygiel.

Przerażające światło zaczęło wirować i gęstnieć. Przez chwilę Bree dostrzegła zarys potężnej, rogatej postaci.

Wezwij mnie, Bree!

Olbrzymi, straszny ciężar przygniół jej serce.

Wezwij mnie, Bree!

Wzięła potężny, drżący oddech.

No już!

- Striker! - krzyknęła. - Strikeeeeer! Trzask pioruna rozdarł powietrze niczym wielki spiżowy młot.

Bree odemknęła drzwi i wypadła na zewnątrz, w chłodną noc. Spod kuchennych drzwi aż na drewniane patio przed domem wiodła wąska dróżka z desek. Bree dobiegła nią do połowy i upadła na kolana. Sasza wyśliznął jej się z ramion i stanął o własnych siłach. Zaczął lizać ją po twarzy gorączkowymi smagnięciami jęzora. Bree usiadła, oparła się plecami o poręcz i spojrzała w wieczorne niebo. Nad jej głową wirowały gwiazdy, przyćmione rozkrzyczanymi światłami sklepów położonych czterdzieści stóp niżej przy River Road.

- Tu jesteś, dziecinko! - usłyszała. Przez mostek prowadzący z Factor's Walk do domu szedł Ronald. Widziała jego puszyste loki zaczesane do przodu dla ukrycia cofającego się czoła, widziała eleganckie mokasyny i koszulę w popielone paski - chyba jej się nie przywidział? Za nim szła Antonia z dużą papierową torbą w ręku. Wychylona w dół, w stronę River Road, wołała do kogoś czarująco bezczelnym tonem.

-Moje maleństwo - powiedział miękko Ron. Schylił się i objął Bree. Pachniał mydłem i krochmałem. - Przytrafiło nam się coś niedobrego, tak? Nie powinienem był zostawiać cię samej tak długo, ale myślałem, że przy tym dziarskim poruczniku nic ci nie grozi.

Bree z przerażeniem zdała sobie sprawę, że płacze. Ron delikatnie pomógł jej wstać. Potem odwrócił się, swoją wysoką sylwetką zasłaniając ją przed wzrokiem Antonii.

-Tonią, skarbie, zapomnieliśmy o tych pralinowych lodach.

- Wcale nie zapomnieliśmy. Powiedziałaś, że są zbyt tuczące.

- Od kiedy to dziewczyna nie może zmienić zdania? Skocz szybciotko i kup te lody, co? Tak dla kaprysu. Możesz mi dać te krewetki.

- Bree, czy to ty? Co ty robisz na dworze?

- Wyszła z Saszą, a cóż miałyby robić? Tonią, im szybciej przyniesiesz lody, tym szybciej je zjemy. Umieram z głodu.

- Dobra, już dobra. Ale pamiętaj, siostrzyczko - rzuciła przez ramię - z tych pieniędzy, które mi dałaś, nie zostanie ani centa!

Ron zaczekał, aż Antonia przejdzie z powrotem przez mostek, po czym powiedział:

- Hop! Wstawaj, idziemy do domu.

- Nie chcę tam wracać - szepnęła Bree.

- Oczywiście, że chcesz - odparł Ron zdecydowanym tonem. - Pójdę przodem i sprawdzę, czy wszystko gra, dobrze? Posiedź tu sobie z Saszą.

- Ależ Ron... ty nie...

Światło ulicznych latarni nie docierało do wszystkich zakątków ogrodu, pozostawiając gdzieś głębokie cienie. Ron stał w ciepłej ciemności, wysoki, z łagodnymi oczyma i miękko lśniącymi jasnymi włosami. Otepiałej

Bree zdawało się, że wyobraźnia płata jej figle: Ron był spowity parą pierzastych skrzydeł, opadających od szczytu głowy aż do stóp.

- Ja wiem - powiedział cicho. - Wiem, co cię nawiedziło. - Klasnął przed sobą w dłonie, a potem podniósł je do ust. - Nie wiem tylko dlaczego. - Stał jeszcze chwilę w zupełnym milczeniu, a potem rzekł: - Zostań tu.

Nie kazał jej długo czekać. Do jego powrotu Bree zdołała się pozbierać. Resztki swojego strachu zmiotła na bok niczym kupkę śmieci. Sasza był przybity, ale fizycznie zdrowy. Opierał się już na złamanej łapie, a rany na boku i piersi zarosły już zdrową różową tkanką.

- Na froncie domowym wszystko gra - wesoło zakomunikował Ron. - Ale wezwałem posiłki. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, po kolacji pojedziemy do profesora Cianquino. - Pochylił się nad Saszą i poczochnął go po uszach. - Przykro mi, Saszku, z powodu tego, co się stało. Czekają nas zmiany. - Westchnął. - Ech, mówię ci... zawsze coś się ma na głowie.

Takie podsumowanie jej niedawnych przeżyć zabrzmiało w uszach Bree cokolwiek nonszalancko.

- Coś? - spytała zgryźliwie. - To nie jest wystarczające słowo.

- Ależ wiem, dziecinko, wiem o tym. - Wyszczrzył się do niej w tym swoim nieodpartym, promiennym uśmiechu. - Tylko że ty jeszcze właściwie nic nie widziałaś.

W salonie wszystko było po staremu. Lustro nad kominkiem było czyste, bez śladu wilgoci. Powietrze było przejrzyste. Sasza zajął swoje zwykłe miejsce przy kanapie. Antonia wróciła z Savannah Sweets z półgalonowym wiaderkiem pralinowych lodów. Bree stwierdziła ze zdumieniem, że jest dopiero ósma; miała wrażenie, że od chwili, gdy wypchnęła Sama Huntera przez kuchenne drzwi, minęło już kilka dni.

- A więc - zagadnęła ją Antonia - gdzie się podział ten seksowny porucznik? Przyznasz, że to niezłe ciacho.

Musiał już iść. - Bree grzebała widelcem w krewetkowej sałatce. Sałatka wyglądała wspaniale, ale Bree czuła, że nie będzie teraz w stanie jej przelknąć. Wstała niespokojnie, włączyła kuchenny telewizor i usiadła z powrotem.

- Tylko mi nie mów, że nie zostawił ci numeru telefonu. Bree zaśmiała się.

- Nie wypuściłabym go bez wizytówki, idiotko. Antonia zatrzymała widelec z sałatką w pół drogi do ust.

- Nic ci nie jest?

- Nic - odparła Bree z rozdrażnieniem.

-Nie wydaje mi się. Wyglądasz... - Antonia urwała i zmarszczyła czoło - Sama nie wiem. Jakbyś była w szoku.

-Daj jej spokój, Tonią - wtrącił się Ron. - Proszę, krządek cebulowy dla ciebie. Wiesz, jednak nie mogę uwierzyć, że dałem się namówić na kupienie tego świństwa. Tłuszcz, tłuszcz i jeszcze raz tłuszcz.

- Próbujesz odwrócić moją uwagę - roztropnie stwierdziła Antonia. - Bree, co się z tobą dzieje? - Zmarszczyła brwi. - Mam nadzieję, że ten Hunter cię nie molestował ani nic podobnego.

- Nic podobnego. Mogłabyś się zamknąć? Oglądam wiadomości.

- No to co? - Antonia spojrzała obojętnie w ekran. Telewizor był zainstalowany pod szafkami wiszącymi nad kuchenną ladą. - To jakieś lokalne pierdoły.

- Żadne tam lokalne pierdoły. To Doug Fairchild.

- No to co?

- To, że właśnie on zapewnia alibi młodemu Skinnerom - powiedział Ron. - Twierdzi, że widział z pokładu swojego jachtu, jak Skinner senior nagle przyciska do piersi puszkę Coli Light i wpada do wody jak ołowiany ciężarek. Nie słuchałaś dziś po południu swojej siostry, złotko?

- Za bardzo byłam zajęta oglądaniem sukienek, które jej przyniosłeś. Zdecydowałaś się już na tę, którą masz na sobie, siostrzyczko? - Pochyliła się w kierunku Bree; majonez ściekał jej z kanapki na stół. - O rany, co ty w niej 202 wyprawiałaś? Wygląda, jakbyś w niej walczyła z niedźwiedziem!

- Czy mogłabyś łaskawie się zamknąć? Chcę to usłyszeć.

- ...mój dobry przyjaciel i wieloletni wspólnik Bennie Skinner - powiedział Doug Fairchild do energicznej presenterki. - To on wydatnie wspierał budowę Island Dream, jednego z najbardziej nowatorskich budynków mieszkalnych w Georgii. - Mówiąc to, stał przed dziesięcioletnim apartamentowcem, który ze swoją pastelową fasadą i por-tykowanymi balkonami wyglądał identycznie jak wszystkie drogie bloki budowane w ostatnich latach na Południowym Wschodzie. - Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo mi go brakuje, właśnie dziś, gdy świętujemy otwarcie jednej z najwspanialszych budowli na Tybee Island.

- Relacja z oddania do użytku nowego budynku - szepnął Ron. - Dziś w mieście chyba niewiele się dzieje, bo widziałem ten materiał już o szóstej.

- Co to za mięśniak za jego plecami? - Antonia zerknęła w ekran. Tuż przy krawędzi kadru, z rękoma splecionymi na piersi i w pomarańczowym kasku budowlanym stał Carlo.

- Carlton Montifiore - powiedział Ron.

- Znasz go?

- Nie. Ale ma koszulkę z napisem Montifiore Construc-tion.

Bree parsknęła śmiechem.

- ...jedno z najbardziej traumatycznych przeżyć w moim dorosłym życiu - z przejściem mówił Doug Fairchild. Był zwałistym mężczyzną o czerwonej twarzy Niebieską marynarkę przewiesił przez ramię, a krawat w barwach swojej firmy miał przekrzywiony. - Widziałem, jak umiera mój najlepszy przyjaciel.

- Reporterzy spytali go właśnie o wypadek Skinnera - poinformował Ron. - Przyjrzyj się jego twarzy. Wierzysz, że to szczerą twarz?

Wygląda na niezłego krętacza - stwierdziła Bree. Na ekranie znów pojawiła się energiczna reporterka w telewizyjnym studiu.

-Był to Douglas Fairchild, przedsiębiorca budowlany z Savannah, który właśnie oddał do użytku najnowocześniejszy mieszkalno-biurowy apartamentowiec - wyrecytowała, po czym zwróciła się do równie energicznego prezentera siedzącego obok: - To dopiero biurowiec, prawda, Frank?

-A teraz pogoda... W naszą stronę nadciąga tropikalna burza, Sheilo...

- Blee - Bree wyłączyła telewizor i pociągnęła się za dolną wargę. - No cóż, wygląda jak wygląda, ale mówi chyba wiarygodnie?

- Fairchild? Raczej tak - odparła Antonia. - Naprawdę jesteś przekonana, że to było morderstwo? No wiesz... skoro policja, syn Skinnera, a teraz jeszcze naoczny świadek zgodnie przedstawiają tę samą wersję, to może jednak - mówię „może” - stawiasz na złego konia?

- Nie myślę się - cicho odpowiedziała Bree. -I nie mam zamiaru się wycofywać.

Ron uśmiechnął się i dotknął jej ramienia.

- Jest kilka osób, które muszą to od ciebie usłyszeć, Bree. Tonia? Wychodzimy. Nie czekaj na nas.

- A ja wam powiem: „brawo!” - powiedział Ron godzinę później. Uśmiechnął się radośnie do zebranych. - Jestem pod niesamowitym wrażeniem. Nie wierzę, że sam zniósłbym to spotkanie choć w połowie tak dobrze, jak ona - tym bardziej, że zupełnie biedaczki nie przygotowaliśmy. A ona nie chce zrezygnować.

Siedzieli przy okrągłym stole w gabinecie profesora Cianquino: Gabriel Striker, Lavinia Mather, Petru Lucheta, profesor Cianquino, Ronald i Bree. Sasza siedział u jej stóp. 204

Ptak Archie dreptał niespokojnie po swoim drażku. Po raz pierwszy od spotkania z mglistym stworem w salonie Bree była wolna od lęku. Nie bała się już ludzi zebranych w tym pokoju, a tym bardziej zwierząt. Choć racjonalnie rzecz biorąc, powinna się ich obawiać. Jeśli jednak byli szaleńcami, to niegroźnymi. I wyglądało na to, że są po jej stronie.

Bez względu na to, co to była za strona.

Pokój był wypełniony dziwnym, ledwo słyszalnym pomrukiem, jakby gdzieś niedaleko pracował generator wysokiego napięcia. Powietrze migotało cudownym blaskiem, jak gdyby ktoś olbrzymią garścią rozsypał diamentowy pył. Bree czuła się na poły zahipnotyzowana.

- Chciałabym wiedzieć, co się dzieje — powiedziała. Zerknęła na Gabriela Strikera, siedzącego ze zwieszoną głową, rękoma splecionymi na piersi i lekko zmarszczonym czołem. - Pan Striker twierdzi, że wszyscy należycie do jakiegoś tajnego stowarzyszenia. Wspominał coś o Niebiańskich Sferach. O co one walczą?

- One o nic nie walczą - odezwała się Lavinia. - One po prostu są.

Bree miała za sobą wyjątkowo burzliwy dzień, przeżyła chwile okropnego strachu. Otrząsnęła się z ośpienia, w jakie wprawiała ją atmosfera panująca w pokój u.

- Okej - powiedziała nieco zgryźliwie. — W porządku. Zadałam złe pytanie. Zbyt otwarte. Jak ty to ująłeś, Gabrielu? Nie można udzielić prawdziwej odpowiedzi na otwarte pytanie? Postaram się wyrażać bardziej jednoznacznie. Bardziej precyzyjnie. A wy zachowujcie się tak, jakbyście mówili prawdę. Co to jest Niebiańska Sfera?

- Wszecławiat jest hierarchiczny - powiedział profesor Cianąino. - Nad każdą Sferą znajduje się kolejna Sfera. Bóg zajmuje miejsce w centrum wewnętrznej Sfery; w centrum Sfery zewnętrznej znajduje się Przeciwnik. Wszystko, co żyje, wszystko, co istnieje, wszystko, co zostało stworzone, promieniuje na wszystkie strony z centrum wewnętrznej Sfery. To jest Sfera Niebiańska i nie ma drugiej takiej Sfery.

Bree potrząsnęła głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Pan - kreacjonistą? Właśnie pan?

Profesor Cianąino uśmiechnął się lekko.

- To nie tak. Bóg stworzył również Darwina. Któż, jak nie Najwyższy, puścił w ruch ewolucję? Oraz wszystkie inne cuda badane przez naukę?

Wibrujące brzęczenie działało tak kojąco, że słowa profesora wydawały się nie tylko sensowne, ale i prawdziwe. Bree rozejrzała się po zebranych.

- I wy wszyscy w to wierzycie, tak? Czy ta sekta ma jakiś szczególne zadanie?

- Wolałbym nie używać terminu „sekta” - odezwał się Petru. - Jesteśmy strażnikami. Jesteśmy garstką spośród wielu. Strażnicy wypełniają wiele zadań. Ci, których widzisz przed sobą, są pracownikami twojej nowej, obiecującej kancelarii prawnej. Znaleźliśmy się tu po to, by bronić i przed sądem zagubionych dusz. Inni strażnicy wypełniają i swoje zadania gdzie indziej.

- Mój stryjeczny dziadek Franklin... - powoli po- a wiedziała Bree. - Czy on był członkiem tego... - urwała, szukając właściwego słowa, ale nic nie przyszło jej do głó- i wy - tego czegoś?

- Towarzystwa - odpowiedział Petru odrobinę protekcyjnym tonem. - Nie był jednym z nas, ale był z nami. Rozumiesz?

- Nic nie rozumiem - Bree ze złością skubała dolną wargę.

- Bronisz się - rzekł profesor.

- I nie dziwota - Lavinia współczująco pokiwała głową. - Po tym, co spotkało biednego Franka, niby czemu ta biedna dziecina miałaby chcieć wiedzieć więcej, niż wie teraz? - wychyliła się w stronę Bree i pogładziła ją po rękę.

- Co tak naprawdę spotkało mojego stryja?

- Zginął w ogniu, a jakże - odparła Lavinia. - W ogniu Metatrona.

Metatrona.

Wśród zebranych zapadła cisza, jak gdyby przykryła ich jakaś ciężka ręka. Bree poczuła chłód. Petru odchrząknął.

Gabriel uśmiechnął się do niej. Był to krótki, ale ciepły uśmiech.

- A twoja pierwsza sprawa dotyczy zamordowania tego biedaka Skinnera.

- To naprawdę było morderstwo - rzekła Bree. Od tego buczenia w powietrzu czuła się tak, jakby była trochę pijana. - Nie mam co do tego absolutnie żadnych wątpliwości. I jeżeli jego dusza snuje się teraz po jakichś lochach, to może nawet warto by ją stamtąd wyciągnąć, ale niby jak mam to zrobić? Powiedzmy, że znajdem mordercę. I powiedzmy, że doprowadzę go... - pomyślała o dwulicowej Jennifer i poprawiła się: - albo ją... przed doczesny sąd. - Pochyliła głowę i zastanowiła się nad tymi słowami. Brzmiały nieźle, dlatego wypowiedziała je jeszcze raz: - Przed doczesny sąd. Jak to może pomóc Skinnerowi?

- Nie możemy niczego przewidzieć, niczego postanowić, nikogo bronić, dopóki nie wyjdą na jaw wszystkie fakty - odparł Petru.

- Chodzi o to, że przekonamy się o tym dopiero wtedy, gdy już dobrniemy do końca - dodał Ronald. - Musimy najpierw połączyć wszystkie fakty, jak w każdym normalnym procesie.

- Skinner jest oskarżony o chciwość?

- Jedną z siedmiu... - zaczęła Lavinia.

- Zbrodni głównych, wiem. - Bree potarła skronie. Buczenie i dziwne światło sprawiało, że ciężko jej było się skupić. - Może zatem powód, dla którego został zamordowany, przemawia na jego obronę?

Profesor Cianquino skinął potakująco.

- Czyli jeśli odkryjemy ten powód, będziemy mogli 'obronić' Skinnera przed karą za chciwość. To ma sens. - Za-czynęła odzyskiwać przytomność umysłu. - Jest jednak i pewien szkopuł. Czy nie powinnam porozmawiać z nim | osobiście? Mam nadzieję - dodała z lekkim niepokojem - że nie musiałabym iść za nim tam, dokąd poszedł.

- Musisz iść na miejsce, w którym zginął - powiedziała Lavinia. - Zobaczysz, czy do ciebie przyjdzie. <

Czyli na jacht. To nie powinno być trudne. Oczywiście pod warunkiem, że Skinner zginął na jachcie. Ale zawsze to jakiś początek. Bree wzięła głęboki oddech.

- Okej. Co się stało dziś wieczorem w moim salonie?

- Właśnie to - powiedział profesor Cianquino - nas wszystkich tutaj sprowadza. Jesteśmy trochę zaniepokojeni.

Wokół stołu rozległ się zgodny pomruk. Sasza dotknął jej rękę zimnym nosem i zaskomlił.

- Każdy ma zapisany swój doczesny los - mówił dalej profesor. - Każdy z nas odkrywa go sam, w swoim czasie. Ty byłaś już bliska przyjęcia własnego losu. Wtedy zdarzyło się to - uniósł swoją słabą rękę i rozpostarł dłoń. - Ni mniej, ni więcej, tylko atak. A ty nie miałaś do obrony nic prócz własnej odwagi. To zastanawiające.

Ptaka dreptał w tę i z powrotem po swoim drążku.

- Skąpstwo! Gniew! Zazdrość! Profesor w zamyśleniu skinął głową.

- Generalnie rzecz biorąc, masz rację, Archie. Przeciwnik oraz ci, którzy dają mu się uwieść, kierują się właśnie tymi oraz wieloma innymi grzechami. Naruszenie równowagi między Sferami musiało jednak mieć szczególną przyczynę. Chciałbym się dowiedzieć, jaką.

- Może po prostu chcieli ją przestraszyć - powiedziała Lavinia. - I chwala jej za to, że się nie dała. Jedna taka na sto lat, co dała radę tym Pendergastom.

- Tak sądzisz, Lavinio? - spytał profesor. - Może i masz rację. Oto mamy adwokatkę obdarzoną dostatecznie wielką siłą, by dokonać czegoś, czego już dawno nie widziano.

Możliwe, że Przeciwnikowi rzeczywiście bardzo zależy na tym, by wybić jej to zadanie z głowy. Być może czeka nas więcej takich najść, jak dzisiejsze. Bree zadrżała.

- Nie dzieliłbym skóry na niedźwiedziu - wtrącił Petru. - Ona jest niewypróbowana, niezaprawiona. Kto wie, co będzie w stanie zdziałać? Może nic. - Mrugnął w stronę Bree. - Pewnie wydają ci się trochę niemiły, moja droga, ale zrozum, to nieumyślnie.

- No nie wiem - powiedział kwaśno Ron. - Nie stchórzyła przed kormoranem. Moim zdaniem ten niedźwiedź już jest nasz.

Bree nie lubiła słuchać rozmów na swój temat, zwłaszcza gdy przedstawiano ją w złym świetle. Przyznała więc szczerze:

- Wcale nie twierdzę, że nie stchórzyłam. Nigdy w życiu nie bałam się bardziej niż wtedy, gdy to coś wylazło na mnie z lustra. - Rzuciła krótkie spojrzenie na Strikera.

- Eee tam! - powiedziała Lavinia. - Złapałaś psa i zatrzasnęłaś kormoranowi drzwi przed nosem. A nawet nie jesteś jeszcze kandydatką na strażniczkę. Przecie gdyby mnie się to przytrafiło, jak byłam jeszcze nieopierzoną dziewczuchą, to chyba bym się rzuciła na śmierć do studni, i to szybko.

Ron parsknął śmiechem.

- Nikt z nas w to nie uwierzy, Lavinio. Widzieliśmy cię już w akcji - odwrócił się w stronę Bree i pogłaskał ją po rękę. - My po prostu nie chcemy cię stracić, Bree, dlatego kiedy następnym razem pojawi się kormoran, powinnaś być lepiej przygotowana. - Po kolei przyjrzał się twarzom zebranych. - Najbardziej zadziwia mnie to, że ona nie miała nic, czym mogłaby się bronić. Żadnej wiary. Żadnej ufności. Tylko swój silny charakter. Dlatego powiem to jeszcze raz, Bree: brawo!

- Rozumiem, że znasz jakiś sposób, by zapewnić jej bezpieczeństwo? - sucho spytał Gabe.

- Potrzebne jej imię - odparł bez wahania Ron. Profesor Cianquino potrząsnął głową.

- Za bardzo się spieszysz, Ronaldzie. To nie podziela. Nie nadszedł jeszcze właściwy moment.

- W takim razie może podamy jej nasze imiona? Zapadła krótka cisza.

- To mogłoby podziałać - przyznał z wahaniem Petru.
 - Wówczas mogłabyś wezwać nas wszystkich, rozumiesz? - wyjaśnił Ron. - Gdybyś tylko potrzebowała pomocy. To trochę nietypowe rozwiązanie, ale sytuacja też jest nietypowa.
 Bree miała ochotę mu przypomnieć, że na przykład imię profesora Cianquino zna już od ponad dwudziestu lat, ale nie odezwała się.
 - A więc zgoda? - spytał Striker.
 - Ja się zgadzam - powiedział Petru. - Ale niechętnie. Niebezpiecznie jest schodzić z właściwej drogi.
 - Jak zwykle musisz marudzić - poskarżył się Ronald.
 - Musimy jej jakoś pomóc - dodała Lavinia. - Pender-gasty to mściwe nasienie. Więc ucisz się, Petru.
 - Zamknij oczy, dziecko - powiedział Ron kojącym głosem - i postaraj się nie myśleć o niczym. - Sięgnął przez stół i wziął jej ręce w swoje dłonie. Bree przymknęła oczy i obserwowała ich spod opuszczonych powiek. Buczenie i trzeszczenie tajemniczej energii w pokoju stopniowo narastało. Migotliwy połysk rozsypany w powietrzu zgęstniał i okrył ich wszystkich złotą mgiełką, a gdy się podniósł, Bree ujrzała, że stoi na łące porośniętej aksamitną, zieloną trawą i upstrzonej kwiatami. Panowało absolutne milczenie. Lekka bryza musnęła jej policzki. Gdzieś obok niej przepływał dziwny, nieopisany zapach nieznanych kwiatów. W powietrzu unosił się dźwięk niezliczonych wietrznych dzwonek.
 Przed oczyma Bree uformowała się skrzydlata, lśniąca kolumna, coś jakby zwinięta, wirująca tęcza, promieniująca wszystkimi kolorami gwiazd.
 - Tabris - usłyszała głos, który należał, a zarazem nie należał do profesora Cianquino.
 Do wirującej tęczy dołączyła druga. Światło miało barwę księżyca.
 - Matriel - powiedziała Lavinia. Potem pozostali:
 - Dara - powiedziała sylwetka Petru.
 - Rashiel - ten roześmiany głos mógł należeć tylko do
 Rona.
 - Sensiel - Sasza przemówił głosem chłopca.
 - Gabriel - w tym słowie wybrzmiała głębia, miękkość
 i ogrom oceanu.
 - Jesteś jedną z nas - powiedzieli. - Należysz do Towarzystwa.
 Omiotły ją, otoczyły krystaliczne promienie.
 - Bree, należysz do nas - powtórzyli, a potem wybrzmiał okrzyk, który zdawał się sięgać niebios. - Do Towarzystwa!

Bree obudziła się we własnym łóżku, w swoim pokoju, słysząc za oknami szum deszczu i narastające wycie wichru.
 Była pewna, że zaczyna wanowac.

Siedemnaście

Niewiara jest ślepotą.

John Milton, Comus

- Czemu w niedzielę zawsze musi padać? - Antonia dziobała jogurt łyżeczką. - I jak ja mogłam wczoraj tak się obezreć tym świństwem? Czemu mnie nie powstrzymałaś?

Bree siedziała przy kuchennym stole i spoglądała przez okno na rzekę. Savannah przepływała niecałe ćwierć mili od domu, tak że poprzez strugi deszczu widać było zielen przeciwległego brzegu. Kilka mil na zachód rzeka wpadała do Atlantyku; w górze rzeki znajdowały się portowe magazyny, dźwigi, nabrzeża i doki. Wszystko wyglądało normalnie. Normalny widok przez okno w normalną niedzielę. A ona była szalona jak Kapelusznik. Nie wiedziała, co robić, do kogo się zwrócić. Może powinna się wybrać do jakiejś kliniki na badania?

- Nie jesz swojego jogurtu? - Antonia podniosła głos. - Halo! Halo! Ziemia do Bree!

- Mogłabyś mówić o pół tonu ciszej?

- Tata zawsze tak mówi - powiedziała Antonia. - Mogę zjeść twój jogurt, jeśli nie masz ochoty.

Bree posunęła jogurt w jej kierunku.

- Milcząca dziś jesteś - jej siostra zerwała z kubeczka metalową folię. - Łech, malinowy. Nie cierpię malinowych.

- Mogłaś się o tym przekonać bez otwierania. - Bree wstała, zabrała jej jogurt i znalazła łyżeczkę. - Sama go zjem. W lodówce jest jeszcze wiśniowy.

- Chodźmy do Huey's na oponki.

- Dopiero co przestałaś biadolić, jak to się wczoraj opchałaś śmieciowym żarciem, a już chcesz więcej? Zresztą muszę zaraz jechać na Tybee Island. Chcę obejrzeć jacht Skinera.

- Na dworze jest okropnie!

- Nie jest zimno - odparła Bree. - Poza tym wezmę parasol.

- Na pewno cię tam nie wpuszczą - zauważyła Antonia. - No wiesz, miejsce zbrodni, żółta taśma, te sprawy.

- Oficjalnie to był wypadek. A poza tym czy tak trudno się schylić i przeleźć pod taśmą? - Bree przełknęła resztę malinowego jogurtu i poszła po swoje przeciwdeszczowe ubrania. Gdy mijała psa, leżącego spokojnie na kuchennej podłodze, ten uniósł łeb w geście protestu. - Zaopiekujesz się Saszą?

- Chciałam iść do teatru i zorientować się, czy coś się ruszyło w sprawie mojej pracy.

- W niedzielę?

- Głupia, w niedzielę teatry pracują. Wolne mają w poniedziałki.

Bree zignorowała tę niegrzeczność.

- Jutro około południa przyjeżdżają rodzice - powiedziała współczującym tonem. - Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że sama muszę stawić czoła burzliwym falom rodzicielskiej dezaprobaty. Może nawet burzliwego aktu wydziedziczenia.

- Nie znam takiego słowa jak „wydziedziczenie”.

- Ale efekt poznasz - powiedziała Antonia ponuro - i to dobrze.

Bree położyła płaszcz przeciwdeszczowy na kuchennym kontuarze i usiadła obok siostry.

- Posłuchaj, a może byśmy z nimi porozmawiały? Na przykład o prawdziwej szkole teatralnej dla ciebie. Może w Nowym Jorku?

- Oni by chcieli, żebym się zajęła czymś, co mi zapewni „normalną” pracę. Taką jak twoja.

Bree była zaskoczona, słysząc gorycz w jej głosie.

- Nie wydaje mi się, by oczekiwali, że zostaniesz prawniczką.

- Nie jestem na tyle mądra, żeby zostać prawniczką. Bree z całych sił powstrzymała złość.

-Do tego, żeby zostać prawnikiem, wcale nie potrzeba specjalnej mądrości. Wystarczy dużo zakuwać.

Antonia podciągnęła kolana pod brodę i zaplotła ręce na nogach.

-Zastanawiałaś się kiedyś, czy my naprawdę jesteśmy siostrami?

-Co?!

- Mówię poważnie. Nie jesteśmy do siebie podobne. Nie myślimy podobnie. Ty masz łeb jak sklep, a ja jestem głupia jak but. Podejrzewam - powiedziała ze smutkiem - że zostałam adoptowana.

Bree musiała przygryźć wargę, żeby się nie roześmiać.

- Nie sądzę. Pamiętam, jak mama była z tobą w ciąży. Pamiętam też, jak przywiozła cię ze szpitala do domu, a ja wyrzuciłam moją kolekcję Barbie, bo stwierdziłam, że dostałam nową, fantastyczną lalkę.

- W takim razie może to ciebie adoptowali. Myślałaś kiedyś o tym?

Bree zmierzyła ją wzrokiem.

Antonia zbladła i zerwała się na równe nogi.

- Ej! - zawołała. - Ej, ja tylko żartowałam. Wszystko w porządku?

- Tak - powiedziała Bree przez zaciśnięte zęby. - Jest świetnie. - Podniosła się sztywno i wzięła płaszcz przeciwdeszczowy. - Czyli nie możesz dzisiaj wyjść z Saszą?

- Jak chcesz, to wyjdę. Pewnie.

Sasza, jak gdyby pragnąc zademonstrować, jak bardzo już wyzdrowiał, zerwał się na cztery łapy i gorączkowo zamerdzał ogonem. Jego oczy mówiły wyraźnie: chcę iść z tobą, Bree. Bijąca od niego energia i wielki uśmiech wyszczerzonego pyska podniosły ją na duchu.

- Więc jednak jest ktoś, kto uważa moje towarzystwo za normalne. No dobra - powiedziała Bree. - Ale kiedy pójde obejrzeć jacht, zostaniesz w samochodzie. Nie chcę, żebyś wypadł za burtę jak Skinner.

Przy dobrej pogodzie na Tybee Island jechało się czterdzieści minut. W deszczu ruch był wolniejszy. Bree meła pod nosem przekleństwa pod adresem niedzielnych kierowców, którzy uznali, że najlepszym sposobem zabezpieczenia się przed wypadnięciem z jezdni jest jazda środkiem. Minęła ponad godzina, zanim udało jej się zjechać z wylotówki numer 80 i dotoczyć nadbrzeżną szosą do przystani. Deszcz przestał padać. Wiał porywisty wiatr. Pogoda zatrzymała w porcie większość mniejszych motorówek i niemal wszystkie jachty. Parking przed klubem był pełen. Wśród Jaguarów, Acur i BMW Bree zauważyła bladoniebieskiego Mercedesa należącego do młodych Skinnerów. Na pirsach nie było jednak żywej duszy. Wyglądało na to, że wszyscy posiadacze łodzi siedzą właśnie w klubie i popijają mimozę albo krwawą Mary.

Jakieś ćwierć mili od przystani wznosiła się Skinner Tower. Na dachu penthouse'u powiewały czerwone, białe i niebieskie chorągiewki, szarpane porywami wiatru. Na poręczach balkonów czwartego piętra smętnie trzepotał banner z napisem: „Sprzedaż mieszkań”. Bree zastanawiała się, jak wyglądał stary budynek zburzony przez Fairchilda. Pewnie miał ściany z kamienia albo z czerwonej cegły.

Zaparkowała na miejscu „zarezerwowanym dla zwycięzcy regat”, wyszedłszy z założenia, że porywisty i zmienny wiatr tego dnia raczej udaremni tradycyjne niedzielne regaty. Owinęła się szczelnie płaszczem przeciwdeszczowym, a potem uchyliła lekko okienną szybę, żeby zapewnić Saszy dostęp świeżego powietrza, i wysiadła z samochodu. Wiatr świstał dziko wśród olinowania łodzi. Bree naciągnęła na głowę kaptur i zaczęła szukać miejsca numer 42, gdzie cumowała „Sea Mew”.

Znalazła je na końcu ostatniego pirsu od strony klubu. Przy sterze łodzi stał Sam Hunter.

Zatrzymała się na moment, zerkając na niego z ukosa. Miał na sobie rozpiętą wiatrówkę i czapkę z naszywką nowojorskiej policji. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem podszedł do relingu i wyciągnął rękę. Łódź kołysała się mocno, Bree zaczęła więc, aż burta po jej stronie znajdzie się poniżej pirsu, i wgramoliła się na pokład. Gdy fala podrzuciła jacht do góry, poleciała przed siebie i odzyskała równowagę w ramionach Huntera. Przez chwilę czuła jego twardą, umięśnioną pierś.

- Lepiej ci już?

- Co?!

Pociągnął ją w stronę kabiny i otworzył drzwi. Kiedy znaleźli się w środku, szum wiatru ucichł niemal zupełnie. „Sea Mew” była solidnym jachtem.

- Pytałem, czy już lepiej się czujesz. Nie wyglądasz dobrze, jeśli mam być szczerzy.

Bree odruchowo przyłożyła dłoń do czoła.

- Nie?

Hunter delikatnie musnął jej policzek.

- Wyglądasz na niewyspaną.

Bree odsunęła się i Hunter opuścił rękę.

- Wygląda na to, że oboje wpadliśmy na ten sam pomysł. - Rzuciła mu krótkie spojrzenie. - Chyba że jesteś tu służbowo?

- Nie, nie jestem służbowo.

Bree przemierzyła niewielką kabinę, spoglądając przez bulaje na zalany deszczem pokład. Nie była pewna, czego szuka - ani na co czeka. Ciocia Cissy miała powiedzonko, które idealnie podsumowywało jej obecny stan ducha: była nerwowa jak kot o długim ogonie zamknięty w pokoju pełnym bujanych foteli.

Sam stanął jej za plecami. Przy samym uchu usłyszała jego szept:

- Skinner siedział na dziobie, plecami do morza. Jennifer stała przy sterze. Grainger zeznał, że był tutaj. Brał właśnie wodę z lodówki, kiedy zobaczył, jak ojciec łapie się za pierś i wypada za burtę.

- A potem wybiegł na pokład, krzycząc do żony, żeby zawróciła... i tak dalej, i tak dalej - dokończyła Bree.

- Czytałaś raport z przesłuchania. Bardzo chciałbym wiedzieć, jak ci się udało go zdobyć jeszcze przed zamknięciem dochodzenia.

Odchyliła się lekko do tyłu i spojrzała na niego.

- My, prawnicy, mamy swoje sposoby.

Przez długą chwilę zaglądał jej w oczy. Jego tęczyówki miały barwę miedzi.

- Tak - powiedział. - No cóż. - Cofnął się i przyjemna chwila minęła; o ile nie była tylko wytworem jej wyobraźni. - Widzisz coś, co mogliśmy przeoczyć?

Bree pokręciła głową, a potem powiedziała:

- Chwileczkę. Co tam wystaje z pokładu?

- Masz na myśli reling?

Bree minęła go i wybiegła na zewnątrz.

- Tutaj! - zawołała, próbując przekrzyczeć ryk wiatru. - Te klamry przytwierdzone do pokładu! Nie mam pojęcia, po co na jachcie takie klamry.

- Do przywiązania linek rybackich?

Bree przewróciła oczyma, a potem przykłęka i dokładnie przyjrzała się klamrom. Były to właściwie wsporniki, wysokie na dwa cale i w dwustopowych odstępach wkręczone w pokład na jakiś cal głębokości. Ciągnęły się od steru aż do ławki na dziobie. Nad ławką, tuż przy zbiegu obu burt, po obu stronach relingu przykręczone były dwa pierścienie z ocynkowanej stali. Bree pływała już kiedyś na jachtach tego typu. Położyła dłoń na tapicerowanej ławce.

Nic.

Zamknęła oczy. Choć czuła się jak ostatni głupiec, usiłowała sobie wyobrazić twarz Skinnera, tak jak ją zapamiętała ze zdjęcia w „Forbesie”.

Zupełnie nic. Jeśli Skinner pod postacią ducha rzeczywiście okupował miejsce swojej śmierci, nie mógł zginąć tutaj. Bree otworzyła oczy i odwróciła się w stronę Huntera.

-Wiem, jak oni to zrobili.

-Jak co zrobili?

- Jak poradzili sobie z ciałem. Widzisz te pierścienie? Przywiązali go do ławki. A w odpowiednim momencie, prawdopodobnie wtedy, gdy byli pewni, że mają naocznego świadka, pociągnęli za linki i posłali ciało za burtę - osłoniła dłonią oczy i ponad ramieniem Sama spojrzała na betonowe wieże budowli Skinnera. - On nie umarł tutaj.

Hunter parsknął śmiechem. Bree spiorunowała go wzrokiem i powiedziała najbardziej lodowatym tonem, na jaki było ją stać na chybottliwym pokładzie:

- Czyżbym powiedziała coś śmiesznego?

- Nie możemy sobie pozwolić na zgadywanki.

- W takim razie powinniśmy poszukać dowodów, nie sądzisz?

- Już wiem.

- Co wiesz?

- Twój południowy akcent jest wyraźniejszy, kiedy się denerwujesz.

Bree uśmiechnęła się słodko.

- Co pan nie powie, poruczniku? No więc co z tym szukaniem dowodów?

Hunter przesunął ręką po twarzy. Struga deszczu smagneła o pokład. Sam spojrział w coraz posepniejsze niebo.

- Schowajmy się przed deszczem i pogadajmy.

- Niby gdzie? - Bree zatoczyła ręką koło. - Najbliższe miejsce to klubowy bar. A ja nie należę do klubu.

- W moim samochodzie.

- W moim samochodzie. Chcę zajrzeć do psa.

Sasza wypatrzył ich z daleka i gdy się zbliżali, siedział już po stronie kierowcy z nosem przyciśniętym do szyby, dziko merdając ogonem. Bree przesunęła go ostrożnie na fotel pasażera. Hunter zajął miejsce z tyłu.

- Nie wiem, jak mu się udało przeleźć aż tutaj z tylnych siedzeń - powiedziała. - Nie pomyślałbyś, że ma złamaną łapę.

- Nie udało ci się dowiedzieć, kto mu to zrobił?

- Znasz tę sprawę? - spytała zaskoczona Bree.

- Sprawdziłem z grubsza wszystkich, którzy są powiązani ze sprawą Skinnera. Twoja skarga jest w aktach.

Bree pogłaskała Saszę po uszach, a potem odwróciła się do tyłu, żeby widzieć Huntera, opierając się przy tym niewygodnie plecami o kierownicę.

- A sprawdziłeś kochankę Skinnera?

- Pielęgniarkę w Chatham General? Przez cały tydzień była na konferencji medycznej za miastem.

Bree zamrugła.

- Ta biedna blondyna jest pielęgniarką?

- Jaka biedna blondyna?... Och! - zaśmiał się. W uszach Bree nie zabrzmiało to jednak jak śmiech, raczej jak jakieś rozbawione dudnienie. Hunter nie wyglądał na człowieka, który często się śmieje. - Masz na myśli kochankę Skinnera seniora, Chastity McFarland? Taa, zadaliśmy jej parę rutynowych pytań.

- Grainger Skinner ma kochankę? - zaskoczona Bree wyprostowała się nagle i wyrznęła plecami w kierownicę. - A niech mnie. Hmm. To by częściowo wyjaśniało szajbę Jennifer. Jak długo to trwa?

- Nie mam pojęcia. Co mi do tego? To nie ma związku ze sprawą śmierci Skinnera.

- Może Grainger chciał się rozwieść z Jennifer i ożenić z tą kochanką, a tatuś nie chciał się zgodzić?

- To możliwe - odparł Hunter. - Ale niezbyt prawdopodobne. Jeśli tak było, po co Jennifer miałyby go kryć?

Bree skrzywiła się.

- Dobre pytanie.

- Poza tym moim skromnym zdaniem to raczej wątpliwy motyw zabójstwa.

- Oj, nie wiem. W Savannah mieszkają zupełnie inni ludzie niż tam u was, na północy. Czasami stać ich na coś takiego. - Wskazała na jego czapkę z naszywką nowojorskiej policji. - Służyłeś wcześniej w Nowym Jorku?

- Tak - uciął krótko.

Nie mógłby wyraźniej dać jej do zrozumienia, że tym pytaniem próbuje wkroczyć na zakazany teren. Bree zastanawiała się, jaką tajemnicę skrywają te kamienne oczy i zmęczony wyraz ust.

- Coś nie tak? - spytał z rozdrażnieniem.

- Nie, skąd! Przepraszam. Zamyśliłam się.

- Świetnie - położył dłoń na klamce. - Jeśli to wszystko, wracam do siebie i swojej niedzieli.

- Zaczekaj chwilę. Co z tymi klamrami? Hunter mocno ściągnął brwi.

- Panno Beaufort...

- A ja myślałam, że przeszliśmy na „ty”.

- Niech będzie. Bree, masz naprawdę bujną wyobraźnię. Skąd ci przyszło do głowy, że Skinner nie utonął po upadku do wody? Nie muszę ci przypominać, że raport z autopsji...

- Pływałam już na takich łodziach jak „Sea Mew”. O ile się orientuję, z żeglarskiego punktu widzenia takie klamry biegnące wzdłuż pokładu są kompletnie bezużyteczne. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Mógłbyś przynajmniej spytać Graingera, po kiego diabła je zainstalował. Na twoim miejscu wysłałabym też na pokład łodzi dobrze wyposażoną ekipę śledczą.

Hunter zdjął czapkę, pogładził się po włosach i wcisnął ją z powrotem na głowę.

- Doug Fairchild twierdzi, że był współnikiem Skinnera przy budowie Island Dream - Bree skinęła głową 220 w stronę budynku. - Czyli tamtych wież. Tylko że Skinner pozwał Johna Stubblefielda jeszcze przed zerwaniem kontraktu. I złożył pozew przeciw Fairchildowi, żeby wypłacić się z interesu. Dlaczego? Coś tu się nie zgadza. W miarę możliwości zamierzam to zbadać. Chcę też porozmawiać z Chastity McFarland. Może zadam jej parę nierutynowych pytań.

- Rób, jak uważasz. - Tym razem Sam wysiadł z samochodu. Schylił się i powiedział przez otwarte drzwi: - Jeśli trafisz na coś istotnego, pamiętaj, co ci powiedziałem. Jeśli to sprawa policji, chcę o tym wiedzieć.

Bree nie była pewna, czy powinna się cieszyć, czy gniewać, że nie zaproponował jej swojego towarzystwa. Patrzyła, jak odchodzi w stronę swojego samochodu - pospolitego Chevroleta powszechnie używanego przez policję

- i doszła do wniosku, że się cieszy.

- Można powiedzieć - powiedziała głośno do Saszy

- że ten facet jest niepokojący. A ja ostatnio aż nadto byłam niepokojona, prawda?

Przekreśliła kluczyk i ruszyła w stronę Island Dream.

Osiemnaście

Prawda zawsze ujrzy światło dnia, zabójstwo nie skryje się na długo.

William Shakespeare, Kupiec wenecki tłum. Maciej Słomczyński

Trapiące Georgię huragany wymogły wprowadzenie norm budowlanych nakazujących wyposażanie nowych budynków w fundamenty głębokie co najmniej na piętnaście stóp oraz zabraniających sytuowania ich w odległości i mniejszej niż ćwierć mili od morskiego brzegu. Miało to zabezpieczyć je przed falami sztormowymi, sięgającymi niekiedy dwudziestu stóp wysokości. Budowniczowie Island Dream zastosowali się do tych norm, choć Bree była gotowa iść o zakład, że odmierzyli ćwierćmilową odległość co do cala.

Pasteloworóżowy budynek sprawiał wrażenie, jakby przytulał się do morskiego brzegu. Kształtem przypominał skrzydło i był na tyle wąski, że na każdym piętrze mieścił wszczep tylko jedno mieszkanie. Przed zaparkowaniem Bree objechała dokoła cały budynek. Za garażami stały dwie białe furgonetki z napisem Montifiore Construction. Nie było żadnych robotników. Mieszkania miały balkony od frontu i od tyłu. Balkony zewnętrznych apartamentów otaczały dokoła rogi budynku, tak że ich właściciele mogli wyjść z tyłu przez francuskie drzwi, okrążyć swoje mieszkanie i wejść do salonu położonego od frontu. Otoczenie było nowe i urządzone bez przepychu. Trawnik został ułożony z kwadratowych kawałków murawy, tu i ówdzie rozmieszczono na nim przypadkowo sadzonki magnolii i dębu wirginijskiego. Basen na tyłach urządzono natomiast z prawdziwym przepychem: nie brakowało przy nim ani małych chatek służących jako przebieralnie, ani trzcinowego domku, ani rozbudowanej ogrodowej kuchni. Bree nie zdziwił ten widok; deweloperzy zazwyczaj starali się w pierwszej kolejności wykończyć tereny wokół budynków, żeby zachęcić zainteresowanych do szybszego zakupu.

Bree zakończyła objazd, wjeżdżając na frontowy parking. Jedyнным samochodem stojącym na miejscach dla gości był jasnozielony Lincoln Continental. Bree zaparkowała obok niego, przeprosiła Saszę, że znowu zostawia go samego, i pobiegła w stronę budynku.

Kiedy zbliżała się do wejścia, drzwi otworzyły się i zawołał do niej serdeczny męski głos:

- Zapraszam, zapraszam! Strasznie leje.

Agent nieruchomości. Powinna była się domyślić. Weszła do holu i strząsnęła krople deszczu z włosów.

- Calvin Tiptree, do usług szanownej pani. Z największą radością witam panią w Island Dream. Z kim mam przyjemność?

Calvin wyciągnął dłoń do przywitania. Wyglądał młodo, był pewnie tuż po trzydziestce, miał luksusową fryzurę i jeszcze bardziej luksusowy uśmiech. Zęby musiały go kosztować nieźłą sumkę. Bree uśmiechnęła się.

- Przyjechałam odwiedzić przyjaciółkę, panie Tiptree. Pannę McFarland. Mieszka w penthouse?

Jego oślepiająco biały uśmiech nieco zeszywniał.

- Nie jest pani chyba dziennikarką? Panna McFarland nie wspominała o żadnym wywiadzie. Nie przypomina pani jej przyjaciółek, przynajmniej tych, które widziałem do tej pory.

Bree zwróciła uwagę na wrogość CaMna, ukrytą pod maską serdeczności. To dziwne; agenci w wielkich nowych apartamentowcach zazwyczaj jednak starali się być mili dla potencjalnych klientów. Przynajmniej większość z nich.

Właściwie to jestem adwokatką - powiedziała. - Przyjechałam w imieniu rodziny Skinnerów. Calvin przewrócił oczyma.

- O Boże. Oczywiście. Znajdzie ją pani na ostatnim piętrze, ale pewnie już pani o tym wie. Nie ma szans, żeby flj ją stąd wyrzucić? Proszę za mną, zaprowadzę panią do windy.

Bree ruszyła za nim po lastrykowej podłodze w kierunku lśniących brązowych drzwi od wind, widocznych na prze- W ciwległej ścianie. Te nowe drogie budynki coraz bardziej się do siebie upodabniały. Bree gotowa była się założyć, że kuchnie w Island Dream są wyposażone w identyczne granitowe blaty, kuchenki Wolf i płyty grzejne Viking z nierdzewnej stali, a łazienki wyłożone są trawertyną.

- No i jesteśmy. - Calvin wcisnął przycisk. - Jest jakaś fl szansa, że się wyprowadzi? - spytał konfidencjonalnym I tonem. - Wie pani co? Mnie się wydaje, że potrzebna będzie do tego brygada antyterrorystyczna.

- Pracujemy nad tym - odparła Bree. Rozsunęły się drzwi, wsiadła więc do windy, wcisnęła „P” oznaczające | penthouse i posłała Calvinowi pożegnalny uśmiech. Winda |brzęknęła, rozpędziła się i z lekkim szarpnięciem zatrzy- \ mała na górze.

W korytarzu Bree poczuła zapach świeżej farby i nowego dywanu. Wejście do penthouse'u znajdowało się dokładnie na wprost wind. Podwójne drzwi wykonane z twardego brazylijskiego drewna. Po obu stronach stały ceramiczne donice. Rosnące w nich sagowce były zupełnie uschnięte. Bree nie знаła się zbyt na ogrodnictwie, ale wiedziała, że aby wykończyć sagowca, trzeba się nieźle postarać. Zanim zdążyła nacisnąć dzwonek, zaskrzypiały zawiasy i przez szparę w drzwiach wyjrzała Chastity.

- Usłyszałam windę - powiedziała. - Ktoś ty?

- Nazywam się Bree Beaufort. Liz Overshaw wynajęła mnie, żebym odnalazła mordercę pana Skinnera.

Chastity z rozmachem otworzyła drzwi.

- No wreszcie! Nie mogłam się doczekać, kiedy do mnie trafisz! - Głos miała piskliwy i dziewczęcy. Sadząc po akcencie, nie pochodziła z Georgii; raczej z Teksasu, może z Arkansas. - Czemu nie przyjechałaś wcześniej?

- Przepraszam - odparła Bree bez mrugnięcia. - Przyjechałam najszybciej, jak tylko mi pozwalał terminarz. - Weszła do środka. Ogromny salon z panoramicznym widokiem na Atlantyk zadziwił mieszaniną stylów: apartamentowy modernizm łączył się swobodnie z mcfarlandowym kiczem. Nie zaskoczyły jej podłogi wyłożone płytkami koloru tokańskiej ochry, eleganckie kinkiety z nierdzewnej stali, kasetony ani listwy sufitowe. Lampy woskowe, puszyste różowe poduszki i jaskrawe dywaniki z baraniej skóry dodawały salonowi łobuzerskiego uroku. Jedną ścianę zajmowała etażerka z kompletną kolekcją figurek bohaterów Przemienęło z wiatrem. Bree wzięła do ręki Rhetta Butlera i odstawiła go z powrotem.

- To mój najukochańszy film - powiedziała Chastity.

- Słodka ta mała Melania, nie? Scarlett też jest cudowna -podniosła figurkę Scarlett O'Hara i postawiła ją obok Rhetta. - Wiesz co? Wolalabym żyć w tamtych czasach niż teraz.

- W tamtych czasach niespecjalnie szanowano kobiety - zauważyła Bree. - Podobnie jak Afroamerykanów, Jankesów i w ogóle każdego, kto nie był dorosłym białym mężczyzną. Myślę, że znienawidziłabyś ten świat.

- Myślisz?

- Tak. - Nie czekając na zaproszenie, Bree usadowiła się na zabałaganionej sofie. Sofa była obszyta białą skórą i nadspodziewanie wygodna.

- Bennie lubił tu siedzieć - Chastity przycupnęła na oparciu skórzanego fotela z tego samego kompletu. Miała na sobie obcisłe dzinsy marki Guess i kusy t-shirt, z trudem mieszczący zdumiewające piersi. Bree zastanawiała się, czy posiadanie takiego biustu rzeczywiście jest tak niewygodne, jak się wydaje.

Są prawdziwe - powiedziała Chastity bez śladu zakłopotania. - Wszyscy się dziwią, dlatego od razu o tym mówię.

- Nie chciałam się gapić - powiedziała Bree przepaszczając. Zdziwiła się jednak, słysząc to kłamstwo. Nie była ekspertem w sprawach powiększania piersi, ale widać było jak na dłoni, że biust Chastity jest sztuczny. Czyżby dziewczyna była kłamczucha? Przez chwilę Bree zastanawiała się, jak ją podejść. Dlaczego Chastity była przekonana, że Benjamin Skinner został zamordowany? Czy ona także wierzyła, że jest nawiedzana przez jego ducha? A może słyszała kiedyś jakieś pogrozki?

- A więc jesteś pewna, że pan Skinner został zamordowany - zaczęła. - Podobnie twierdzi panna Cwershaw. Czy masz jakieś szczególne powody, żeby tak uważać?

- No wiesz, on zawsze powtarzał, że w końcu go dopadną. - Chastity skuliła się w fotelu i zaczęła obskubywać paznokcie. - I w końcu im się udało.

- Kim są ci „oni”?

- No wiesz, ci wszyscy ludzie, którzy chcieli go dopaść. - Chastity spojrzała na nią z nadzieją. - Wiele osób go nienawidziło.

- Ty też?

- Ja? Nie, ja go nie nienawidziłam. On dał mi szansę.

- Szansę?

- Pewnie. Kończę właśnie zaoczne liceum.

- Naprawdę?

- Zobacz - Chastity podeszła do szafki, na której pysznił się panoramiczny telewizor, i pogrzebała w leżącym na niej stosie papierów. - Widzisz? Praca domowa. Bennie mówił: bez wykształcenia do niczego nie dojdiesz. Gdybym zdała egzaminy, miał pomóc mi się dostać na studia licencjackie.

- Czy jest coś, co szczególnie chciałaś studiować?

- Myślałam o pracy ze zwierzętami, no wiesz, o czymś takim. Może o weterynarii. Ale potem sprawdziłam, ile 226 zarabiają weterynarze. - Zmarszczyła czoło. - Niespecjalna fucha. No ale teraz już oczywiście nie ma o czym mówić, bo te sukinsyny go dopadły, tak jak się spodziewałam.

- Czy miał coś konkretnego na myśli?

- No, nie zdziwiłabym się, gdyby to była sprawka tej Jennifer. Złośliwa dziwka. Wiesz, że ona próbuje mnie stąd wyrzucić? - Twarz Chastity zaróżowiła się ze złości. - Wstydzę się mnie i tyle. Nadęta snobka. Wcale bym się nie zmartwiła, gdyby to ją udało ci się w to zrobić.

- Czy masz gdzieś zapisane prawo użytkowania tego mieszkania? - grzecznie spytała Bree.

- No... nie. W tym właśnie cały problem. - Chastity opuściła nogi na podłogę i konfidencjonalnie pochyliła się w kierunku Bree. - Mieszkanie jest wspólną własnością Benniego i Fairchilda. Bennie próbował wycofać się z tego układu i chyba był już w trakcie przepisywania swoich udziałów na kogoś innego.

Nie brzmiało to zbyt sensownie.

- Mieszkanie było częścią tych udziałów?

- Tak mi się wydaje. - Chastity szeroko rozłożyła ramiona. - W zasadzie Bennie nie chciał mieć już z tym nic wspólnego. Dlatego chciał się pozbyć wszystkiego, co tu miał.

- Chcesz powiedzieć, że łączyła go z Dougiem Fair-childem dzentelmeńska umowa i że próbował się z niej wycofać?

- Dokładnie. - Chastity skinęła głową. - Ale nie zdążył. Dlatego pani Wrednicka i jej jajogłowy mężulek będą teraz musieli płacić czynsz, moje rachunki, takie tam.

- Rozumiem - powiedziała Bree. Odchrząknęła, żeby ukryć uśmiech. Nie, z całą pewnością Jennifer nie mogła być zachwycona koniecznością utrzymywania w luksusie kochanki swojego teścia. Pomijając już fakt, że byłoby to dla niej upokarzające, sam czynsz za mieszkanie w Island

Dream musiał być astronomicznie wysoki. A musieli go płacić, bo formalnie rzecz biorąc, mieszkanie należało do nich. Zważywszy, że Chastity była na razie jedynym jego' mieszkańcem, a kwestia własności była dyskusyjna, mogło się okazać, że młodzi Skinnerowie muszą co miesiąc wkładać na penthouse potężną sumę. - Nie wiesz, dlaczego..., no... Bennie chciał się pozbyć swoich udziałów? - Zerknęła na niesamowity widok na ocean roztaczający się za oknem. Inwestycje w rodzaju Island Dream były kurami znoszącymi złote jajka, i to bez względu na sytuację na rynku mieszkaniowym.

Chastity wzruszyła ramionami, nieświadomie czytając jej w myślach.

-Ja tam myślę, że to mieszkanie jest fantastyczne. Wiesz, ile może kosztować na wolnym rynku? Parę milionów, jak nic.

-Czy pan Skinner - Bennie - otrzymywał jakieś bezpośrednie pogroźki?

- Masz na myśli coś takiego jak „zabiję cię, draniu!”? - Chastity uśmiechnęła się radośnie jak dziecko. - Zdarzało się, ale tylko ode mnie. - Zaczęła obgryzać dolną wargę i dodała: - Nie spotykaliśmy się prawie z nikim. A jak już, to z ludźmi, których nie znał.

- Rozumiem - powiedziała Bree. Dziewczyna wybrała dla siebie niewesoły żywot. - I nie przypominasz sobie, żeby wspominał o jakichś konkretnych groźbach.

- Tylko tyle, że w końcu go dopadną - Chastity odparła wymijająco i zaczęła nerwowo bawić się włosami.

Bree pochyliła się lekko w jej stronę.

- Posłuchaj, Chastity. To, co próbujesz mi sprzedać, nie układa się w żaden sensowny plan mający na celu popełnienie morderstwa. To tylko zwykłe złożećcia agresywnego biznesmena.

- Czyli takie jakby ogólne narzekania?

- Otóż to.

Chastity westchnęła ciężko.

- No więc słuchaj. Sprawa wygląda tak. Jego śmierć uznano za tragiczny wypadek, śledztwo zostanie zamknięte, a testament, no wiesz, zatwierdzony.

- Tak.

- I wtedy ja stąd wylecę. - Chastity rozejrzała się ze smutkiem po otaczającym ją przepychu.

- Prawdopodobnie - uprzejmie powiedziała Bree. Nagle Chastity zerwała się na równe nogi i klasnęła w dłonie.

- Czy mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- Chodzi o mojego przyjaciela - urwała i przygryzła dolną wargę.

Bree ściszyła głos:

- Jeśli zamierzasz kogoś oskarżyć, daj mi dolara.

- Co?

Bree wyciągnęła rękę.

- Jeśli mi dasz dolara, wszystko, co tylko powiesz - z wyjątkiem wyznania, że to ty zabiłaś pana Skinnera - będzie informacją poufną.

- Czyli nie będziesz musiała tego przekazać glinom.

- Czy zabiłaś pana Skinnera?

- Nie!

- Czyli nie będę musiała nic mówić glinom. Masz dolara?

- Mam nawet więcej - Chastity podeszła do kominka, sięgnęła do emaliowanego dzbanka stojącego na obramowaniu i wręczyła jej zwitek banknotów. Bree wyciągnęła z niego jednodolarówkę i oddała jej resztę. - Dobrze. Teraz jesteś oficjalnie moją klientką. Nie zabiłaś pana Skinnera. Ale wiesz, kto to zrobił?

- Być może - powiedziała Chastity, a potem wybuchła: - Ile można dostać za składanie fałszywych zeznań?

- To zależy głównie od konsekwencji, jakie miały zeznania. A przede wszystkim od tego, dlaczego się kłamało. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że okłamałaś policję?

Chastity rzuciła się na kanapę.

- Powiem ci coś niezbyt miłego.

- Okej - spokojnie odparła Bree.

- Mówili, że będę mogła to zatrzymać zupełnie za friko, rozumiesz?

- To mieszkanie.

- Zgadza się. Pod warunkiem, że złożę fałszywe zeznania. A teraz mi grożą, że jak się stąd nie wyniosę, pójdę za to do więzienia. - Zaczerwieniła się jak burak. - Ładna mi sprawiedliwość. Skłamałam, żeby pomóc znaleźć mordercę Benniego, a wychodzi na to, że sama skończę za kratkami. Nie żebym na to nie zasługiwała - dodała z goryczą. Wzięła głęboki oddech, uspokoiła się i powiedziała żywo: - On tu był tamtego ranka.

Bree wyprostowała się.

- Z tobą?

- Tak. Zanim pojechał do przystani. Chciał popływać z synem i tą dziw... - zauważyła groźne spojrzenie Bree i poprawiła się niezgrabnie: - i z jego żoną. Zamierzał im powiedzieć, że się pobieramy.

Bree miała ochotę zerwać się z miejsca i zatańczyć z radości, ale powiedziała tylko:

- Aha?

- Powiedzieliśmy już mojej mamie. Około dziewiątej zadzwoniliśmy do niej i do Denny'ego...

- Stąd? Tamtego ranka?

Chastity skinęła głową. Bree z trudem powstrzymała okrzyk radości. Bezstronny świadek!

- Mama ucieszyła się jak małe dziecko. A ostatni raz widziałam Benniego, jak zjeżdżał windą na podziemny parking. Miał wziąć samochód i jechać do przystani. - Chastity odrzuciła włosy do tyłu. - Mogłam powiedzieć o tym wcześniej. Ale wtedy tak naprawdę nie podejrzewałam, że to było morderstwo. Jeszcze nie. Myślałam, że było tak, jak mówił Fairchild: że Bennie miał zawał i że to nie ma znaczenia, co ja powiem. A potem obiecali mi to mieszkanie.

- Kto ci obiecał?

- Ten dupek Fairchild. To znaczy, najpierw Bennie, ale Bennie potem chciał je oddać. - Chastity lekko zmarszczyła brwi. - Chyba nikt mu nigdy nie powiedział, że kio duje i odbiera, ten się w piekle poniewiera.

Bree potrzebowała dłuższej chwili, żeby to sobie poukładać.

- Ben... to znaczy pan Skinner zmienił zdanie i nie chciał już sprezentować ci mieszkania?

- Bennie chyba chciał uwalić cały ten projekt. Zerwał z tym pajacem Stubblefieldem i zaczął już załatwiać sobie nowych prawników z Atlanty.

A więc Stubblefield zełgał, że wciąż reprezentuje interesy Skinnera. To ci niespodzianka.

Spojrzenie Chastity coraz bardziej błdziło, co dla Bree było jawnym znakiem, że dziewczyna za moment zacznie kłamać.

- Ale Bennie chciał, żebym tu mieszkała, mimo że próbował się wypisać z całego projektu. Przynajmniej dopóki mi nie znajdzie innego lokum.

- Ale potem zginął - powiedziała Bree. - A ty skłamałaś, że tamtego ranka nie widziałas się z Benniem, bo nie chciałaś, żeby Fairchild cię wyrzucił. A Fairchild obiecał ci znowu, że będziesz mogła tu zostać?

Westchnienie Chastity wydawało się pochodzić z samej głębi serca:

- Pan Fairchild powiedział, że ta nadęta dziwka Jennifer na to nie pójdzie, a ja wyląduję w więzieniu za składanie fałszywych zeznań. To prawda?

- Nie, nie wylądujesz - odparła Bree bez wahania. - Postaram się o to. Byłaś zastraszana.
- Nie mówiąc o tym, że próbowali mnie wywalić z mojego własnego domu.
- Otóż to - Bree spojrzała na nią ze współczuciem. - Nie wiem, czy cię to pociesza, ale zachowałam się, jak należy.
- Taa. No cóż. Było mi cholernie smutno po śmierci Benniego. To dlatego.
- Czy po tym wszystkim masz w ogóle dokąd pójść, Chastity? Może wrócisz do mamy?

E tam. Mama była wniebowzięta, jak się dowiedziała, że wychodzę za miliardera. Nie będzie zachwycona, jak wrócę do domu bez grosza. Będę jeszcze jedną gębą do wyżywienia. Chyba wrócę do Life's a Beach.

- Słucham?
- Klub ze striptizem w Altoona. Tam poznałam Benniego. Ale, ale! - Oczy jej się zaświeciły. Bez sztucznych rzęs i czterdziestu funtów makijażu Chastity byłaby piękną dziewczyną. - Przecież jesteś teraz moją prawniczką. Może byś mi pomogła zatrzymać mieszkanie, jak to wszystko już się skończy?
- Czy ktokolwiek słyszał, jak pan Skinner obiecuje ci penthouse?
- Wzrok Chastity powędrował gdzieś w bok, a potem zatrzymał się na figurce Tary na etażerce.
- To znaczy jakiś bezstronny świadek?
- Otóż to, jakiś bezstronny świadek.
- No, może moja kumpelka z Life's a Beach. Ona mogła to słyszeć. Właściwie jestem pewna, że słyszała. - Chastity znów stała się roześmianą dziewczynką.
- Bree przygryzła wargę, żeby ukryć uśmiech.
- No cóż, jeśli będziesz w stanie znaleźć wiarygodnego świadka, który potwierdzi, że pan Skinner obiecał ci mieszkanie, może uda ci się... - nie mogła powiedzieć „zagrozić”, żeby nie przekroczyć granicy pewności - zdobyć silną pozycję przeciwko Graingerowi i Jennifer.
- A ty nie mogłabyś się tym zająć?
- Obawiam się, że nie.
- Chastity rozejrzała się jeszcze raz po salonie, spojrzała na kamienny kominek i elegancko pomalowane ściany. Westchnęła. Potem powiedziała rzeczowym tonem:
- No nic, wielkie dzięki. Po rozmowie z tobą będę miała o czym myśleć. Zresztą powiem ci coś: nie ruszę się stąd, dopóki mnie nie wywalą ludzie szeryfa. Co ty na to? - dodała z zaskakującą galanterią: - Pozwolisz, że cię odprowadzę?
- Dziękuję – uprzejmie odparła Bree. Ruszyła za Chastity w stronę podwójnych drzwi. – Powodzenia. Postarasz się skończyć to liceum?
- Ej! - radośnie zawołała Chastity. – Pomysłu o tym. Powiem ci coś: w tym życiu twoje szczęście zależy od ciebie.

Dziwienność

Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, Horatio, niż się ich śniło waszej filozofii.

William Shakespeare, Hamlet tłum. Maciej Słomczyński

Bree wsiadła do windy i wcisnęła przycisk „parking”. Chciała wymknąć się tyłem, żeby uniknąć spotkania z nieznośnie serdecznym Calvinem. Musiała wrócić do biura i skontaktować się z Hunterem, a zanim zdradzi, czego się dowiedziała, spróbuje go namówić na objęcie Chastity ochroną. No i Liz Cwershaw! Kolejny telefon, którego nie można odwlekać.

Winda zjechała na dół i zatrzymała się. Bree znalazła się w garażu. Bryza na zewnątrz przybierała na sile. Znów padało. Garaż znajdował się pod poziomem gruntu, dlatego strugi wody spływały po wjeździe do środka i gromadziły się w zagłębieniach. Bree objęła się ramionami i zadrżała; robiło się coraz zimniej, a płaszcz przeciwdeszczowy słabo chronił przed chłodem.

Od windy aż do wyjazdu na zewnętrzny, tylny parking prowadził opatrzone krawężnikiem chodnik; Bree ruszyła tą drogą ku wyjściu, mijając stopy nieuprzątniętych śmieci budowlanych. Część miejsc parkingowych była już gotowa. Pierwsze miejsca od strony windy były zarezerwowane. Jedno było opatrzone tabliczką D. Fairchild, drugie E.C. Tiptree - jak brzmiało jego pierwsze imię, skoro wolał przedstawiać się jako Calvin? - a trzecie B. Skinner. Przechodząc obok tego ostatniego, wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po jego nazwisku.

Coś jakby ugryzło ją w ramię. Zdziwiona chwyciła się drugą ręką...

I ból przygniótł jej pierś z siłą obutej stopy. Zachwiała się, próbując złapać oddech. Coś ścisnęło ją za gardło. Upadła i zawołała o pomoc. Z jej/jego ust wydarł się tylko ochryply, zgrzytliwy szepet.

Kroki. Potem para rąk na jej/jego ramionach. Bree zatraciła się w ciele Innego. Jakiś głos w jego uchu. Upadł bezwładnie do tyłu, prosto w czyjeś ramiona. Ostry, rozdzierający ból w jego gardle, gorzki smak i straszliwy, gniotący ból w piersi.

Tonął. Morska woda zalewała mu usta, oczy, płuca. Wyrывał się z mroku, krztusząc się, usiłując złapać oddech. Potem ruszyło ku niemu światło, białe światło, jasne światło...

Bree podniosła się niezdarnie i usiłując zachować równowagę, pobiegła w stronę podjazdu. Opętanie minęło tak szybko, jak się pojawiło. Odwróciła się z drzeniem i spojrzała w dół, w półmrok garażu.

Znajdź miejsce jego śmierci - powiedzieli jej.

No i znalazła.

Bree wybiegła na górę i zatrzymała się na krawędzi podjazdu, czując, jak deszcz spływa jej po twarzy. Tam, na miejscu parkingowym ze swoim nazwiskiem na tabliczce, został zamordowany Benjamin Skinner. Bree była tego pewna, choć metoda i motyw zbrodni pozostawały tajemnicą. Wzięła głęboki oddech, obróciła się i wróciła do ciemnego garażu.

Tabliczka niczym nie różniła się od pozostałych. Wykonana z białego plastiku, miała jakieś dwadzieścia cztery cale kwadratowej powierzchni, nazwisko wyżłobione było ciemnozielonymi literami. Przytwierdzono ją do betonowego bloku za pomocą krzyżakowych śrubek.

Bree przeszła wzdłuż chodnika, czubkiem buta rozgrze-bując leżące pod ścianą sterty śmieci: puste wiaderka po szpachli, resztki izolacji, papiery i blaszane puszki. Przyjrzała się bacznie chodnikowi, po czym ostrożnie obeszła dokoła samo miejsce parkingowe Skinnera. Nie była pewna, czego szuka, ale nie zauważyła nic niezwykłego.

Zatrzymała się przed tabliczką i zawahała się. Potem pomyślała: „Raz kozie śmierć” - i puknęła lekko w nazwisko Skinnera.

Nie była pewna, czego się spodziewać: jęków, bladego widma, nagłej fali zimna, upiornych świateł? To, co nastąpiło, było jednak dostatecznie niesamowite. Oto po kilku chwilach zjawiła się przed nią ledwo rozpoznawalna postać Benjamina Skinnera. Był to jakby jego cień, szarobiały i przejrzysty. Falujący i pokawałkowany obraz.

Z wyjątkiem oczu. Oczy były lodowate, błękitne, przeszywające i straszliwie ludzkie.

Postać Skinnera wyglądała jak wyjęta z jakiegoś stareń-kiego filmu. Głos się rwał i zakłócał go dziwny pogłos, tak że dało się słyszeć tylko pojedyncze, powtarzane frazy:

Utopili... utopili... utopili... zamordowali mnie... zamordowali mnie.

Nie od razu Bree udało się złapać oddech. Bała się ruszyć, bała się nawet mrugnąć, w obawie, że kruchy obraz rozpierzchnie się i zniknie.

- Czy wie... - zaczęła skrzekliwym szepetem. Odchrząknęła kilka razy i zapytała przerażająco słabym głosem: - Czy wie pan, kto pana zabił, panie Skinner?

Garaż wypełnił się potwornym wrzaskiem. Bree zasłoniła uszy rękoma i cofnęła się prosto w stos budowlanych śmieci usypany obok windy. Krótki kawałek plastikowej rurki wytoczył się ze sterty i zatrzymał na jej bucie.

Ratuj ją... ratuj ją... ratuj mnie... proszę... ratuj...

Obraz zniknął w mgnieniu oka, jak za nagle zatrzęsniętymi drzwiami.

Bree z całych sił wbijała wzrok w ścianę, na której Ile zjawił się Skinner, by błagać ją o ratunek, ale obraz nie powrócił. Odsunęła rurkę końcem buta i zapukała w tabliczkę, a potem położyła na niej płasko całą dłoń.

Nic.

Czyżby dana jej była tylko jedna rozmowa z klientem? Dlaczego w takim razie nie zaoszczędził jej masy czasu i zachodu i nie zdradził, kto jest mordercą? Jak mógł zostać utopiony, skoro ocean był niemal pół mili stąd? Dlaczego sztuczka z pukaniem w tabliczkę już nie działa? Porozumiewanie się z duchami było zajęciem wyjątkowo frustrującym.

Rurka znów potoczyła jej się pod nogi, jakby umyślnie kopnięta w jej stronę. Miała jakiś cal średnicy i ze dwie stopy długości. Była to pewnie resztką jakichś instalacji kanalizacyjnych. Bree podniosła ją. Jasne, białe światło znów przeszło jej ciało niby nagły krzyk. Zadrzała. Ktoś użył tej rurki do popełnienia morderstwa.

Z lekkim drżeniem włożyła ją do kieszeni swojego płaszcza przeciwdeszczowego i uklękła przy stercie śmieci - resztek szpachli, izolacji, innych kawałków rur. Delikatnie odgarnęła całą kupkę na bok.

Spod śmieci wyłoniła się sprężarka powietrza. Bree przykucnęła na piętach. Myśli przelatywały jej przez głowę. Sprężarka nie była uszkodzona, wyglądała na zupełnie sprawną. Gumowy wąż służący do tłoczenia powietrza wszędzie tam, gdzie trzeba było je wtłoczyć, leżał starannie zwinięty na pokrywie.

Bree z przestachem wyciągnęła rękę i dotknęła węża. Nie!

Usta wypełniła jej gorzkość. Serce zabiło szaleńczo niczym ptak zamknięty w jej piersi.

Odskoczyła do tyłu jak użądlna.

Morska woda? Czyżby zabójca wpompował Skinnerowi morską wodę do płuc?

W samochodzie miała podręczny zestaw narzędzi z krzyżakowym śrubokrętem. Może należałoby odkręcić tabliczkę i razem z gumowym węzłem oraz plastikową rurką zabrać do domu. Z drugiej strony może jednak nie powinna niczego dotykać? W każdej sprawie kryminalnej kluczową rolę odgrywał nienaruszony łańcuch dowodów; pamiętała tę zasadę nie gorzej niż własne imię. Doskonale jednak wiedziała, jak zareaguje Hunter, gdy pokaże mu tabliczkę, rurkę i wąż, żądając zbadania ich na obecność odcisków palców, a może nawet krwi. Zresztą co to właściwie byłoby za dowód?

Bree pobiegła do samochodu i po kilku chwilach już była z powrotem z narzędziami. Zaczęła od tabliczki. Przykłękała, żeby mieć lepszy dostęp do dolnych śrubek.

A wtedy zapadła ciemność.

- Ile palców pani widzi?

Calvin Tiptree miał wysoki głos, zaś niepokój podwyższył go do pisku. Bree zamruwała. Siedziała w wygodnym fotelu w nieznanym biurze. Sasza leżał jej u stóp i skomlał. Calvin unosił się gdzieś na krawędzi pola widzenia. W lewej ręce ścisnął wilgotny ręcznik. Prawą trzymał w górze i poruszał dwoma palcami.

Bree dotknęła ręką potylicy i jęknęła.

- Uch...

- A mówiłem panu Fairchildowi, że na parkingu potrzebne są studzienki - narzekał Calvin. - I proszę, co się stało. Pośliznęła się pani w tej wodzie i uderzyła głową o beton. - Pochylił się i zajrzał jej w oczy. - Ma pani diabelnego guza. Czy myśli pani, że powinienem wezwać karetkę?

Bree spojrzała na swoje nogi. Dżinsy były suche. Stopy także. Na obu kolanach miała suchy betonowy pył.

- Co z tabliczką? - spytała.

- Z jaką tabliczką?

- Tabliczką z parkingu pana Skinnera. Czy jest jeszcze na ścianie?

Calvin wyrzucił obie ręce w górę.

- Na litość boską, nie mam pojęcia.
- A mój płaszcz?

- Ma go pani na sobie - odparł zafasowany Calvin. Nie widzi pani?

Bree przeszukała kieszenie. Rurka była na swoim miejscu. Wzięła głęboki oddech, po czym wstała z fotela. Głowa łupała ją jak wszyscy diabli. Reszta wydawała się jednak nienaruszona.

- Nie potrzebuję karetki. Za to przyda się policja.
- Policja?! - Calvin zbladł. - O mój Boże. Pani jest prawniczką, prawda? Zostaniemy pozwani. O mój Boże. Proszę, niech pani zapomni, co mówiłem o studzienkach, dobrze?
- Ja nie upadłam - powiedziała cierpliwie Bree. - I nie lubię się procesować. Ktoś uderzył mnie od tyłu w głowę.
- Nonsens - żywo odparł Calvin. Sasza pacnął ją lekko w kolano. Bree pogłaskała go.
- Nic mi nie jest, psiaku. Ale bardzo chciałabym wiedzieć, co mi się przytrafiło.
- To pani pies podniósł alarm. - Calvin złożył ręcznik i rozwiesił go na oparciu swojego krzesła. - Właśnie siedziałem w foyer i czekałem, czy może pojawią się jacyś nowi klienci, i wtedy on zaczął wyć. I to jak wyć! Pobiegłem do samochodu, a on bił łapą w szybę, więc otworzyłem drzwi i wypuściłem go. Wie pani, pomyślałem, że może chce się wysikać. Sam mam dwa psy, one prędzej umrą niż narobią tam, gdzie nie powinny. Jak tylko go wypuściłem, popędził z tą swoją złamaną łapą przez parking, jakby upiór go gonił.

Bree objęła dłońmi głowę Saszy i spojrzała mu głęboko w oczy. - Widziałeś, kto mnie uderzył, Saszku?

Mężczyźni. Było dwóch mężczyzn.

- Dwóch mężczyzn - powiedziała głośno.
- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Calvin. - Och! To znaczy oczywiście, że pani wierzę. Po prostu nie mogę ■ uwierzyć, że to stało się tutaj. Na litość boską, przecież to | wyspa. Dokąd mieliby uciec? Widziała ich pani? Umiałyby pani ich zidentyfikować?
- Nie - odparła Bree. - Nie mam pojęcia, jak wyglądali. - Przypomniała sobie furgonetki Montifiore Construction \ na tyłach budynku. - Czy są tu dzisiaj jacyś robotnicy?

- Tak. Myśli pani, że?... Nie, nie mogę w to uwierzyć. Przyjechali poprawić parę rzeczy w mieszkaniach tuż pod penthousem.
- Jest pan pewien?
- Jak najbardziej - Calvin skinął głową. Szarpał się nerwowo za ucho. - Chce pani, żebym zadzwonił do szeryfa z Tybee Island? Po policję stanową?

Bree zastanawiała się przez chwilę, a potem sięgnęła po swoją portmonetkę. Wyglądało na to, że wszystko jest na swoim miejscu.

- Zginęło pani coś? - pytał Calvin. - No nie, to po prostu straszne. Napad rabunkowy w naszym garażu. Jeśli to wyjdzie na jaw, czarno widzę nasze interesy. - Sięgnął po swoją komórkę. - Może zadzwonię do pana Fairchilda, jak pani sądzi? Jestem pewien, że wszystko załatwi bez wzywania policji.
- Owszem, chciałabym rozmawiać z panem Fairchildem. - Wizytówka Huntera ukryła się za kartą stałego klienta sklepów Neiman-Marcus. - Ale zadzwonię też na policję. Zezowała przez chwilę na numer - wciąż widziała trochę niewyraźnie - po czym wystukała go na swojej komórce. Hunter odebrał po trzecim sygnale. Szybko wprowadziła go w temat. Sam sugerował, żeby wezwać karetkę, ale nie chciała o tym słyszeć.
- Jesteś pewna? - spytał z kojącą troską w głosie. - Wstrząśnienie mózgu może być groźne.

- Bezwzględnie. - Zmrużyła oczy i skoncentrowała wzrok na biurowych sprzętach. Ściany i wykładzina koloru myśliwskiej zieleni rozmywały się trochę na krawędziach, ale ból głowy nieco zelżał i z każdą chwilą wracała jej przytomność umysłu. - To tylko uderzenie. Ale ktokolwiek walnął mnie w głowę, musiał mieć konkretny cel. Chcę ci pokazać, gdzie to było.
- Gdzie to było? Nie, co to było?

- To było miejsce, w którym zginął Benjamin Skinner. Zapadła długa cisza. Potem Hunter powiedział:

- Daj mi dwadzieścia minut.
 Bree rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni.

- Pan Fairchild już jedzie. Będzie tu za parę minut. Złapałem go w klubie koło przystani. - Calvin chodził w tę i z powrotem, załamując ręce. - W niedzielę zazwyczaj jada tam obiady, chyba że jest akurat w mieście.

Fairchild. Miała do niego sporo pytań.

- Dobrze - powiedziała ponuro. Calvin wydał z siebie cichy jęk. Bree doszła do wniosku, że histeryzujący facet jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuje, przerwała mu więc bez ceregieli: - Może napilibyśmy się kawy? Co pan na to?

Calvin potoczył po pokoju błędnym wzrokiem. Bree pokazała mu ekspres do kawy stojący na kredensie za biurkiem.

- Oczywiście - powiedział Calvin. - Oczywiście.

- Jestem pewna, że Doug Fairchild również chemie się napije - dodała zachęcająco.

- Woda - powiedział Calvin. - Skoczę tylko do łazienki po wodę, dobrze? - Porwał karafkę i wybiegł z pokoju. Gdy tylko zniknął w holu, Bree wstała, podeszła do biurka i po kolei przejrzała wszystkie szuflady. W górnej mieścił się stosik błyszczących prospektów, gruby plik umów kupna, a do tego trochę rachunków od firmy komunalnej za wynajem kontenerów na śmieci. Rachunki były oznaczone jako zaległe. Bree zauważyła, że pierwsza faktura nosiła datę sprzed niemal ośmiu miesięcy. Spore opóźnienie, jak na stosunkowo niewielkie opłaty. Zanotowała sobie w pamięci, że Ron albo Petru muszą sprawdzić wypłacalność firmy. Przekartkowała prospekty i zatrzymała wzrok na opisie basenu: „Bez chloru ani innych chemikaliów - olimpijski basen na tyłach rezydencji napełniany jest słoną wodą i stanowi świadectwo naszej troski o środowisko naturalne”.

- No proszę - powiedziała. - Wszystko powoli się rozjaśnia, Saszku.

Sasza uniósł głowę, spojrzął na drzwi od biura i usłyszawszy głosy w korytarzu, warknął ostrzegawczo. Bree wśliznęła się z powrotem na fotel i złożyła ręce na kolanach.

- Pozwoliłeś jej wezwać gliny? - usłyszała napastliwe pytanie. - Ty cholerny durniu.

Jej rodzice znali się z Fairchildami, ale Bree nigdy nie miała okazji poznać Douglasa. Wkroczył teraz do biura z ręką wyciągniętą w powitalnym geście i przylepionym do twarzy wielkim uśmiechem. Sasza podniósł się, z zainteresowaniem obwąchał nogawki jego spodni i z powrotem ułożył się u stóp Bree. Bree skarciła go wzrokiem. Miała już prawie gotową teorię na temat tej zbrodni, a Doug Fairchild odgrywał w niej ważną rolę.

- No proszę, oto i nasza młoda dama - powiedział serdecznie. - Słyszałem, że miałaś mały wypadek na moim podziemnym parkingu.

- Ktoś uderzył mnie od tyłu w głowę - powiedziała Bree bez ogródek. - To nie był wypadek. To był atak.

Fairchild ujął jej dłonie w swoje ręce. Był roslym mężczyzną o rzadkich brązowych włosach i pulchnym, okrągłym brzuchu wypychającym koszulę marki Izod. Wionęło od niego dżinem.

- Bardzo przykro mi to słyszeć, Bree - uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Chyba nie masz nic przeciwko, żebym przez wzgląd na dawne rodzinne znajomości mówił ci po imieniu? Z twoim tatą znamy się od wieków. Bardzo się cieszę, że już jutro zobaczę jego i twoją wspaniałą matkę na przyjęciu. Byli tak mili, że przysłali mi zaproszenie. No dobrze, młoda damo - puścił jej dłonie, przyciągnął sobie spod ściany drugi fotel i usiadł tuż obok niej - a teraz opowiedz mi, co się stało.

Bree spojrzała na zegarek. Jeśli Sam dotrzyma słowa, powinien dotrzeć na miejsce najpóźniej za pięć minut. Nie ufała Fairchildowi na tyle, żeby go skreślać z list podejrzanych.

- Jeśli pozwolisz, chciałabym ci pokazać, gdzie się to stało. Wydaje mi się, że odkryłam coś istotnego w sprawie śmierci Benjaminą Skinnera. Uśmiech Douga Fairchilda stężał.

- Nie ma sprawy. Dla przyjaciółki rodziny zrobię wszystko - powiedział. Potem, nie spuszczać wzroku z Bree, warknął na Calvina: - Tiptree, złap Johna Stubblefielda. - Odrobinę za mocno poklepał Bree po kolanie. - Jeśli ona jest choć w połowie tak dobrym prawnikiem, jak jej tatuś, może będzie mi potrzebny własny adwokat.

- Tak jest, panie Fairchild. - Calvin rzucił się do gorączkowych poszukiwań w okolicach kredensu.

- Do diabła, Tiptree, co ty wyprawiasz? Jeśli nie możesz, cholera, znaleźć książki telefonicznej, zadzwoń, cholera, na informację. - Ponownie zwrócił się do Bree i na powrót włączył uśmiech. - Zjedziemy windą. Wyglądasz na trochę zamroczoną. - Chwycił ją mocno pod łokciem. Bree nie bardzo mogła się uwolnić z tego uścisku, nie posuwając się do szarpaniny, więc pozwoliła mu się poprowadzić. Sasza poszedł za nimi, wciąż nie okazując wielkiego zainteresowania.

Winda zjechała na parking. Bree skrzywiła się, czując, jak nagle pchnięcie bólu przeszywa jej głowę.

- Powinnaś dać sobie zbadać tego guza, Bree. Nie obraż się, ale nie wyglądasz najlepiej.

Bree zrobiła długi krok za próg windy, uwalniając wreszcie ramię z uścisku Fairchilda.

A tak w ogóle to czego ty tu szukałaś? - spytał dobrodusznie. - Myślisz, żeby kupić tu sobie mieszkanie? Może dałoby się trochę zejść z ceny, zważywszy na naszą starą...

- Jestem pewna, że oboje nie chcielibyśmy w taki sposób wykorzystywać starej przyjaźni - powiedziała cierpko Bree - bez względu na to, jak bardzo jest prawdziwa. Stałam tutaj i przyglądałam się ścianie, kiedy ktoś - właściwie jestem pewna, że było ich dwóch - zaszedł mnie z tyłu i zdzielił w głowę. - Podeszła do miejsca parkingowego Skinnera i zatrzymała się zaskoczona. Tabliczka była na swoim miejscu. Podobnie jak sprężarka. Wyglądało na to, że ktokolwiek ją napadł, nie zrobił tego po to, by ukryć dowody. Bree zamknęła oczy, żeby stłumić kolejny zawrót głowy.

Mogła się zupełnie mylić.

- Widziałś tych ludzi? - Fairchild stał w pewnym oddaleniu od niej i od miejsca, w którym wciąż musiał czyhać duch Skinnera. - Wyrwali ci portmonetkę? Przeszukali portfel? Zabrali karty kredytowe? - Przebiegł wzrokiem po jej płaszczu przeciwdeszczowym, bluzce i dżinsach, po czym spytał z powątpiewaniem w głosie: - Ukradli ci jakąś biżuterię?

- To nie był napad rabunkowy. - Bree zmarszczyła czoło i wpatrzyła się w tabliczkę. Ktoś - prawdopodobnie sam Fairchild, który miał do przystani ledwie pięć minut - uderzył ją w głowę, żeby przeszkodzić jej w zebraniu dowodów. Zaś dowody pozostały na swoim miejscu.

- Kiepsko wyglądasz, Bree.

Sam Hunter schodził właśnie w dół od strony parkingu. Krople deszczu połyskiwały mu we włosach. Kroczył z pewnością siebie właściwą człowiekowi, który wie, co się dzieje i gdzie się znajduje. Uśmiechnął się do Bree. Świat zakołysał się nagle w jej oczach, zachwiała się. Sam chwycił ją za ramię; w przeciwieństwie do sztywnego i lepkiego uścisku Fairchilda jego dłoń była ciepła i silna. Delikatnie dotknął jej głowy.

- Wygląda paskudnie.

- Czuję się doskonale. - Uwolniła ramię z jego uścisku i wyprostowała się.

- Nie wątpię. Ale gdy tylko stąd wyjdziemy, zabieram cię na pogotowie. No dobra, co się stało?

Bree podeszła do miejsca parkingowego Skinnera, a potem odwróciła się i spojrzała na nich obu.

- Jestem przekonana, że w tym miejscu został zabity Benjamin Skinner.

- To szaleństwo - powiedział Fairchild. - Odjęło ci ten twój plantatorski rozum. Widziałem na własne oczy, jak umiera Bennie Skinner. - Spojrzał wyzywająco w stronę Huntera. - Niech on zaświadczy. Dziś rano złożyłem zeznania na policji. Tamtego ranka byłem na swoim jachcie, niecałe sześćset jardów od „Sea Mew”. Widziałem jak na dłoni, jak Bennie przechyla się do tyłu i wypada za burtę.

- Widziałeś, jak wypada za burtę trup Benniego. O ile w ogóle cokolwiek widziałeś - powiedziała stanowczo Bree. - Myślę, że zabito go tutaj, a do płuc wpompowano mu morską wodę z twojego basenu.

- Myślisz, że ktoś go utopił w moim basenie? - Charknął i splunął na chodnik. - W życiu nie słyszałem większej bzdury.

Bree pokręciła głową.

- Skinner miał zawał. Z całą pewnością sztucznie wywołany. Upadł tutaj - stanęła w miejscu, w którym przemówił do niej duch Skinnera, i wyciągnęła z kieszeni płaszcza plastikową rurkę - i kiedy był już martwy, zabójca przyniósł z basenu galon słonej wody, wetknął mu w gardło tę oto rurkę i wtłoczył mu wodę do płuc za pomocą tego - wskazała na sprężarkę. Spojrzała na Sama. - Stawiam pięćdziesiąt dolców, że znajdziesz na tej rurce krew i tkankę z płuc Benjamin Skinnera, i kolejne pięćdziesiąt, że w sprężarce jest morska woda.

Ostry, piekący ból w jego gardle.

Rytmiczne uderzenia wody wprost do jego płuc.

Skinner nie zginął w morzu.

Wyraz twarzy Huntera mienił się emocjami. Ścierały się w nim sceptycyzm, irytacja oraz niewielkie, naprawdę niewielkie zainteresowanie. Zwyciężyło zainteresowanie.

- Niezła historyjka.
- Wiem - Bree uśmiechnęła się do niego. - Na twoim miejscu nie uwierzyłabym w ani jedno słowo. Nie odpowiedział jej uśmiechem.
- Masz jakiegoś naocznego świadka, o którym mi nie powiedziałaś?

- Nie, nie mam.
- Czy to ty zabiłaś Skinnera? - ton jego głosu był natarczywy, gniewny i władczy.
- Nie. Nigdy nie poznałam go osobiście. W chwili jego śmierci rozmawiałam z kobietą, od której wynajęłam lokal na kancelarię. Byłam wtedy daleko od Island Dream.

Jeśli jednak prawdą jest to, co niedawno zaczęło jej świtać w głowie, Hunter nie znajdzie kancelarii, a tym bardziej nie porozmawia z Lavinia Mather. Nagle przeszył ją irracjonalny lęk. Przez jedną straszną chwilę widziała kajdanki zatraskujące się na jej nadgarstkach.

- Po rozmowie z właścicielką domu zabrałam mojego psa Saszę do weterynarza. - Umilkła, bo zdała sobie sprawę, że zaczyna paplać.

Hunter ostrożnie obszedł stertę odpadów odwalonych ze sprężarki. A potem, ku nieopisanemu uldze Bree, wyciągnął komórkę i zadzwonił po ekipę śledczą. Rozłączył się, zamknął telefon i wrzucił go do kieszeni swojego anoraka.

- Gdzie znalazłaś tę rurkę?
- Właśnie wracałam do samochodu. Spieszyłam się trochę, bo znów zaczęło padać, i potrafiłam tę stertę śmieci. Wypadła z niej rurka. Potoczyła się na chodnik, więc podniosłam ją... - urwała, wiedząc że musi opuścić spotkanie z duchem Skinnera. Odchrząknęła. - No więc podniosłam ją, żeby nikt się o nią nie potknął. I wtedy mnie olśniło. Chastity powiedziała, że Skinner wyszedł od niej około 246 wpół do jedenastej. Parkował dokładnie w tym miejscu, jak zawsze, więc musiał zejść do samochodu. Nie sądzę, żeby Chastity kłamała. - Zerknęła na Fairchilda, który zachowywał ponure milczenie. - Natomiast wiem, że pan kłamie, panie Fairchild, i jestem całkowicie pewna, że Jennifer także.

Fairchild otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Hunter powstrzymał go ruchem ręki.

- Uważasz, że w tym miejscu zabił go pan Fairchild?
- spytał.
- Bree potrząsnęła głową.
- Nie wiem.

- A już na pewno nie wiesz, młoda damo, jaka przyszłość czeka cię w Savannah - Fairchild był tak wściekły, że wydobył z siebie jedynie szept. - Zobaczysz, pogonimy cię z powrotem do Karoliny Północnej.

- Spokojnie, panie Fairchild - głos Huntera zabrzmiał jak smagnięcie biczem. - Jeśli chodzi o poczynania Skinnera krytycznego ranka, zeznania panny McFarland zupełnie różnią się od pańskich.

- Chastity to zwykła kłamliwa kurewka - powiedział Fairchild z pogardą.

- Chastity ma obiektywnego świadka, który potwierdzi jej wersję - łagodnie powiedziała Bree.
- Fairchild cofnął się gwałtownie, aż uderzył plecami o ścianę garażu.
- To też jest kłamstwo. Bree pokręciła głową.
- Nie sądzę. Oboje dzwonili razem do Arkansas. Ni mniej, ni więcej, tylko planowali ślub. Rozmowa będzie zapisana w bilingu telefonicznym. A po drugiej stronie linii było dwoje świadków.
- Chcę prawnika - wykrztusił Fairchild. - To jakaś kupa bredni.
- Pańska potrzeba kontaktu z prawnikiem jest uzależniona od tego, co pan robił krytycznego ranka - powiedział

Hunter. Uśmiechnął się do Fairchilda, prawdopodobnie j z zamiarem pokrzepienia go. Dla Bree, która zdążyła go już j nieźle poznać, ten uśmiech nie był bardziej pokrzepiający niż uśmiech rekina w płytkiej wodzie. - Czy był pan tu, w tym garażu, tego ranka, kiedy zginął Benjamin Skinner? Fairchild przełknął ślinę i wymamrotał:

-Byłem w Savannah. Na spotkaniu z dwoma bankowcami i pieprzonym prawnikiem. Wyszedłem ze spotkania około jedenastej i przyjechałem do przystani, a potem wsiadłem na jacht. Nawet się nie zbliżałem do tego miejsca.

Hunter wbił w niego baczne, nieustępliwe spojrzenie.

-Czy tamtego ranka widział się pan ze Skinnerem?

-Nie.

- A telefon do Graingera Skinnera? To też kłamstwo? Fairchild zagryzł wargi. Hunter nie przestawał zasypywać go gradem pytań.

- Zeznanie, które przedstawił pan na przesłuchaniu

- jakoby w południe widział pan Skinnera żywego na pokładzie „Sea Mew” - czy to było kłamstwo?

Fairchild wyciągnął chustkę i otarł pot z czoła.

- Ja już skończyłem, Hunter. Jak chcesz ze mną rozmawiać, to najpierw gadaj z Johnem Stubblefieldem.

- Nerwowo przeciągnął ręką po swoim krawacie. - Aresztujesz mnie?

Hałas na zewnętrznym parkingu zwiastował przybycie ekipy śledczej. Hunter ruszył w stronę podjazdu i rzucił przez ramię:

- Jeszcze nie, panie Fairchild. Ale niech pan nigdzie nie wyjeżdża.

Fairchild rzucił ostatnie spojrzenie w stronę Bree i pognał podjazdem w górę. Po krótkiej chwili usłyszała ryk silnika jego Mercedesa.

Bree poklepała się po kieszeni płaszcza, żeby się upewnić, że rurka jest na swoim miejscu, a potem oparła się o ścianę i czekała, aż wróci do niej Hunter.

Dwadzieścia

*Matce jesteś zwierciadłem: w cery twojej różę Wpatrzona, wskrzesza dawne swe maje i kwietnie.
William Shakespeare, Sonet trzeci tłum. Stanisław Barańczak*

- Przywiozłam trochę próbek, na wypadek gdybyś jednak chciała zrobić to malowanie - powiedziała matka.

Francesca Winston-Beaufort była okrągła, ciepła i podobna do swojej starszej córki nie bardziej niż róża do lilii. Ojciec Bree zwykł do znudzenia opowiadać, w jakich okolicznościach się poznali: zobaczył jej rudobrzowe włosy w jadalni uniwersytetu Duke i zakochał się w niej, zanim jeszcze stanął z nią twarzą w twarz. Francesca miała łagodne szare oczy, różaną cerę, a jej urok tryskał z niej jak fontanna - łagodny, obfity i niewyczerpany.

- a to? Zobacz, niegłupie. Zrobiła to dla nas twoja ciocia Cissy. Masz tu wydrukowany schemat pokoju i nakładasz na niego folię z różnymi kolorami... o, tak. - Wyciągnęła komputerowy rysunek pokoju i przykryła go przezroczystą folią pokrytą plamami głębokiej zieleni. Między plamami znajdowały się puste miejsca na meble i kominiek, kiedy więc arkusz folii przylegał równo do wydruku, kolorowe plamy idealnie pasowały do ścian. Francesca przyłożyła do rysunku arkusz z czerwonymi plamami i ściany w pokoju pokryły się purpurą.

- Ciocia może ci też zrobić szkic twojego biura, wiesz, skarbie? Strasznie bym chciała ci pomóc chociaż w taki sposób.

Bree położyła folię na rysunku, a potem ją zdjęła. Pokój wyglądał bardziej lub mniej realistycznie, w zależności od tego, jaki przymierzała kolor. Wyobraziła sobie mapę Savannah z dwudziestoma czterema placami, wyrysowaną przez Oglethorpe'a. A potem dodatkowe ulice, przy których znajdowało się biuro prywatnego detektywa Gabriela Strikera, Towarzystwa Prawniczego Beaufort i Spółka oraz jedyny w swoim rodzaju cmentarz morderców - wytyczone przez... kogo?

- Ta paskudna sprawa cię tak dołuje, Bree? - Ojciec rozsiadł się w skórzanym fotelu obok kanapy i poczochnął Saszę po uszach. - Dość mocny początek solowej praktyki.

Bree podwinęła pod siebie nogi. Było poniedziałkowe popołudnie; rodzice przyjechali nieco za wcześnie i musiała urwać się z biura, żeby się z nimi zobaczyć. Ronald był zajęty przygotowaniami do przyjęcia. Petru sprawdzał finanse Island Dream. Lavinia zjawiała się przez krótką chwilę na dole z taśmą mierniczą, żądając od Bree, żeby pozwoliła zmierzyć sobie wzrost.

- Chyba już możesz to zamknąć, co? - ciągnął ojciec.

- Takie miałaś zadanie, prawda? Udowodnić, że Skinnera zamordowano?

Bree skinęła głową.

- Sam Hunter dzwonił dziś rano. Wstępne badania wykazały, że na rurce i wężu od sprężarki są ślady ludzkiej krwi, tkanki i śliny. - Pociągnęła łyżeczek mrożonej herbaty.

- Założę się, że należą do Skinnera. Porucznik Hunter też jest tego pewien.

- Powiadomiłaś swoją klientkę? Bree uśmiechnęła się.

- O tak.

Miała nadzieję, że zrobi wrażenie na Liz Overshaw. Liz wysłuchała rewelacji, a kiedy Bree zaproponowała jej rozliczenie, chrząknęła z aprobatą. Potem powiedziała:

- Wiedziałam o tym już wczoraj wieczorem. Przestał mnie nachodzić. Po raz pierwszy, od kiedy zaczęła się cała ta sprawa, naprawdę dobrze spałam - i rozłączyła się.

- Liz nie szalała z wdzięczności, trzeba jej to przyznać - powiedziała Bree.

Francesca pogładziła ją po ręce.

- Klienci potrafią być niewiarygodnie grubiańscy. Na szczęście masz już tę paskudną sprawę za sobą.

- Ja chyba nie chcę tego tak zostawić. Royal uniósł brwi.

- Benjamin Skinner został zamordowany - powiedziała stanowczo Bree. - Muszę ustalić, kto go zamordował.

Matka pokręciła głową, potrząsając lokami.

- Podejrzewam, że to Doug Fairchild. Nigdy nie lubiłam tego człowieka. Ani odrobinę. Ale jestem zaskoczona, że popełnił morderstwo. - Westchnęła. - To może wpłynąć na frekwencję na naszym przyjęciu. Skinnerami nikt się nie przejmuje, ale Fairchildowie mają wielu przyjaciół. Wielka szkoda i tyle. - Spojrzała przez okno w stronę rzeki. Znad Atlantyku nadciągał niewielki tropikalny sztorm, padał gęsty deszcz. - Czy cała ta sprawa, twój guz na głowie i jeszcze ta pogoda to nie jest aby za dużo? Może powinniśmy pomyśleć o zabraniu cię do domu?

- Nic mi nie będzie - powiedziała Bree z roztargnieniem. Spoglądała na Saszę. - Poza tym nie wydaje mi się, żeby to Fairchild zabił pana Skinnera.

- Myślisz, że kryje Graingera? - ojciec zmarszczył brwi. - Nie wyobrażam sobie, po co miałby to robić.

- Policja nie mówi zbyt wiele. Ale Grainger rozmawia z mmi już tylko przez prawnika i nie sądzę, żeby zbyt wiele z niego wyciągnęli.

- Trudno sobie wyobrazić, żeby Grainger mógł zamordować własnego ojca. - Royal Beaufort zabełtał whisky w swojej szklance. Nie był zadowolony. Podobnie jak jej matka, wolałby, żeby Bree zwinęła resztki praktyki stryja Franklina i wróciła do domu. - Poza tym nie bardzo rozumiem, co ty jeszcze masz wspólnego z tą sprawą. Rozwiązałaś już umowę z panną Overshaw.

Ale nie z samą sobą, tato. Skinnera wyciągnęli z trumny, zanim jeszcze wylądowała na niej pierwsza garść ziemi, Ciało pojechało do Atlanty na drugą sekcję. Jest bardziej niż prawdopodobne, że znajdzie się dość dowodów, by zakwestionować orzeczenie o nieszczęśliwym wypadku. Tym razem na pewno będą badać przyczynę śmierci. Jeśli chodzi o samą sprawę morderstwa, moje zobowiązania wobec Liz zostały rozwiązane. Ale muszę się dowiedzieć, kto to zrobił. - Zasłoniła się szklanką, by ukryć ponury grymas. Gdyby ojciec się dowiedział, że Bree ma jeszcze jednego klienta i że jest nim duch, z miejsca odstawiłby ją z powrotem do Raleigh.

A Skinner nie był jeszcze usatysfakcjonowany. Miała złe przeczucie, że dał spokój Liz tylko po to, by zacząć przychodzić do niej. Dziś po przebudzeniu znalazła obok łóżka odrobinę czerwonej gliny i płatek róży. W późnowieczornych wiadomościach telewizja pokazała sensacyjny materiał o tym, jak policja zabiera trumnę Skinnera. Trumna była przystrojona różami. Poza tym znów śniło się jej, że tonie.

- Wyglądasz na zmęczoną. - Francesca wpatrywała się w nią z troską. - Za mało sypiasz. Ta sprawa cię po prostu wykańcza, Bree.

- Zostaw dziecko w spokoju - powiedział Royal. - Wygląda świetnie. Jest tylko ciut za chuda.

Bree wzięła głęboki oddech i modliła się o dar cierpliwości. Ojciec, którego uwadze niewiele uchodziło, wyszczerzył się do niej w ujmującym uśmiechu.

- Wiem, wiem. Jutro po południu będziesz już miała nas z głowy. Zabierzemy też Antonię.

- A gdzie ta twoja siostra się podziewa? - uniosła się matka. - Chyba dałaś jej znać, że przyjechaliśmy?

- Zostawiłam jej wiadomość w teatrze - odparła Bree. - Była na próbie tego nowego spektaklu.

- Asystentka inspicjenta - powiedziała matka z rozpaczą w głosie. - No powiedz sama: co ona będzie miała za 252 życie? Od pierwszego do pierwszego. - Westchnęła potężnie. - No cóż, ma czego chciała. Mówisz, że wygląda na zadowoloną?

- Bardzo - odparła Bree. - Była cała w skowronkach, gdy się dowiedziała, że dostanie tę pracę.

- To dochodowa praca, Francesco. - Royal założył nogę na nogę i pociągnął kolejny łyk whisky. Przed laty palił jeszcze fajkę, ale nawet bez niej był prawdziwym okazem zadowolenia.

- Wiem, wiem, wiem - lamentowała matka. - Boże, nie powinniśmy przecież was ze sobą porównywać. Nie żebyśmy chcieli to robić - dodała pospiesznie. - Ale gdyby Antonia miała trochę więcej rozsądku... - Potem dodała tragicznym tonem: - Chyba po prostu wdała się w moją rodzinę.

Bree spojrzała na psa. Sasza odpowiedział jej głębokim spojrzeniem swoich kochających oczu. Rodzinę? Jaka rodzinę? Czyją? To pytanie dręczyło ją to od czasu niesamowitego zebrania u profesora Cianquino. Wątpliwości urosły do rozmiarów uporczywego, naglącego pytania.

Miała tylko jedno wyjście: zadać je.

Starając się zachować spokojny, zwyczajny, obojętny ton, zapytała:

- A co twoim zdaniem ja odziedziczyłam po mojej rodzinie? Kto właściwie był moją rodziną?

Nikt się nie poruszył. Zapadła nagła, głęboka cisza. Rodzice unikali swojego wzroku. Po dłuższej chwili Royal zapytał gniewnie:

- O czym ty, na Boga, mówisz? - Zerwał się z niecierpliwym szarpnięciem ramion i poszedł do kuchni.
- Nie waż się nigdzie odchodzić, Royalu Beaufort! - zawołała matka. - Wracaj tu i siadaj! Natychmiast! - Zmieniła pozycję na sofie, tak by patrzeć Bree prosto w twarz. - O co chodzi? Ktoś ci czegoś naopowiadał?

Bree czuła, że ledwie może oddychać.

- O tym, że byłam adoptowana?

Nie byłaś adoptowana - ze złością odparła matka. - Jesteś naszą własną córką. Co to za słowo - „adopcja”? Nie znoszę go. Brzmi tak, jakbyś była sierotką porzuconą gdzieś pod drzwiami kościoła. A jeśli uważasz, że nie jestem twoją matką, a twój tata nie jest twoim tatą, to naprawdę poważnie się zastanów.

Bree, która doskonale знаła i kochała ten poniekąd kłopotliwy matczyny brak logiki, odpowiedziała cierpliwie:

- Oczywiście, że jesteście moimi rodzicami. Pytam was, czy jesteście moimi rodzicami?

- Zgoda: nie urodziłam cię tak, jak urodziłam Antonię

- odparła matka. - Ale byłaś dla nas darem, tak jak darem jest każde dziecko. Po prostu przyszedł do nas inną drogą.

Bree czekała.

- Twoja matka chce powiedzieć, że... - ojciec urwał, poklepał się po kieszeniach marynarki w poszukiwaniu fajki, której nie nosił i nie palił już od lat, po czym powtórzył:

- Twoja matka chce powiedzieć, że jesteś dzieckiem brata mojego ojca.

- Stryjecznego dziadka Franklina? - dziwne, ale nie była zaskoczona. - Przecież on się nigdy nie ożenił? Nie żebym oczekiwała, że jestem ślubnym dzieckiem...

- Bree! - krzyknęła matka.

- ...ale to dziwne, że sam nie chciał mnie wychować. Tym razem rodzice popatrzyli na siebie.

- Franklin się ożenił, kochana córeczko. - Twarz matki miała uroczysty wyraz. - Pod koniec życia. Z piękną dziewczyną. I bardzo młodą. A poznali się nigdzie indziej, tylko w kościele. Tylko że ona zmarła. A przed śmiercią wymogła na nim przyrzeczenie, że cię odda.

- Ze mnie odda - powtórzyła Bree. Te słowa nie miały żadnego sensu.

- Sama nie wiem, może chodziło o to, że był od niej tyle starszy - kiedy się urodziłaś, miał siedemdziesiąt lat... choć dożył dziewięćdziesięciu ośmiu lat, pomyślałabyś? Chociaż gdyby wiedział, że będzie żył tak długo, pewnie 254 by cię nam nie oddał i co wtedy? - matka zaczerpnęła tchu.

Ale ona to zrobiła. Wymogła na nim obietnicę. A twój stryj Franklin nigdy nie łamał danego słowa.

- I oczywiście był przy tobie zawsze, kiedy tylko mógł

- dodał Royal.

- No i tak to było - powiedziała beztrąsko matka.

- Było, minęło, sprawa zamknięta. Można powiedzieć tylko tyle - pochyliła się do przodu i objęła Bree ramionami

- że w połowie jesteś z Beaufortów. A jeśli nie łączą cię z Carmichaelami więzy krwi...

- Tak, mam - ucieła Bree. Razem z Antonią od małego słyszały powtarzane w nieskończoność opowieści o rodzinie matki. Carmichaelowie byli przestępczą rodziną.

- ...to na pewno wiąże cię z nimi moja serdeczna miłość. - Matka ucałowała ją czule.

- Wiecie coś więcej o mojej mat... o żonie stryja?

- spytała Bree. - Macie jakieś zdjęcia? Wiecie, skąd pochodziła?

- Franklin przyrzekł jej na wszystkie świętości, że nie będzie o niej mówił - gorączkowo powiedziała matka.

- Zgodziliśmy się na to. Gdybyśmy się nie zgodzili, nie oddałby cię nam. A my tak bardzo chcieliśmy mieć dziecko, skarbie. A co ważniejsze, chcieliśmy mieć ciebie. Byłaś takim mądrym maluszkiem.

Francesce zbierało się na płacz. Bree pomyślała, że zaraz chyba sama się rozpłacze.

- Dobrze, postaramy się odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania - Francesca przygryzła wargę i przycisnęła dłoń do oczu - ale muszę iść do łazienki obmyć twarz. Zaraz wrócę.

Royal odprowadził Francescę wzrokiem. Wyglądał, jakby miał ochotę oddać wszystko, żeby tylko móc do niej dołączyć. Nigdy nie radził sobie zbyt dobrze z emocjami.

- Może udawajmy, że to przypadek prawny - nagle odezwała się Bree.

Royal zacisnął dłoń na szklance z drinkiem, ale powiedział:

- Znacomity pomysł. Postaram się być trochę bardziej obiektywny. - Uśmiechnął się krzywo. - Choć nie jest to łatwe.

- Dla mnie też.

- Posłuchaj, to niczego nie zmienia - powiedział z naciskiem. - Jesteśmy twoimi rodzicami. Byliśmy twoimi rodzicami, od kiedy skończyłaś dwa dni życia.

- Nic tego nie zmieni - powiedziała Bree. - Nigdy. Powietrze było ciężkie od niewypowiedzianych pytań.

- Przykro ci, że nie powiedzieliśmy ci tego wcześniej? - spytał Royal.

W tym pytaniu wybrzmiała tak charakterystyczna dla ojca dwulicowość, że Bree nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Nie chodzi o to, że mi przykro, tato. Po prostu jestem zdziwiona.

Royal położył dłoń na jej ręce.

- Bo to była dziwna sytuacja. Franklin miał swoje powody, żeby cię oddać, najwyraźniej bardzo ważne. Postawił warunek, że nie powiemy ci o niczym, dopóki sama nie zapytasz - który oczywiście nie był prawnie wiążący, ale Franklin zażądał, żebym dał mu słowo. I dałem. - Twarz ojca złagodniała. - Oboje cię kochaliśmy od pierwszej chwili, kiedy tylko Leah włożyła cię w ręce matki. Byliśmy gotowi obiecać wszystko, żeby tylko cię zatrzymać.

- Tak miała na imię? Leah?

- Tak.

Żadne z nich nie przerywało ciszy, która zapadła po tych słowach. Ojciec zachowywał swoje myśli dla siebie. Bree próbowała sobie wyobrazić tę młodą dziewczynę, zmuszoną do oddalenia swojej córki. Pytanie brzmiało: oddalenia od czego?

- Po co ta tajemnica? - Bree spytała nagle natarczywym tonem. - Dlaczego nie mogliście mi powiedzieć?

- Nie wiem - przyznał ojciec. - Taką cenę musieliśmy zapłacić, żeby cię zatrzymać. Zresztą szczerze mówiąc, zanim Franklin umarł, a ja zatwierdziłem jego testament, prawie o tym zapomnieliśmy. To było prawie trzydzieści lat temu. Byliśmy szczęśliwi. Wciąż jesteśmy szczęśliwi. Nie było powodu, żeby grzebać w przeszłości.

- Dopóki str... dopóki Franklin nie zapisał mi w testamencie swojej kancelarii? - podpowiedziała Bree.

Sasza z ciężkim westchnieniem złożył głowę na łapach i zamknął oczy. Bree zmarszczyła czoło, pochyliła się i pogłaskała go po nosie. Pies otworzył oczy, spojrzał na nią, polizał ją w policzek i ziewnął.

- Tak - powiedziała Bree. Wyprostowała się i spojrzała na ojca. Royal zawsze będzie jej ojcem, bez względu na wszystko. - O co chodzi z tym zapisem?

- Jak wiesz, byłem wykonawcą jego testamentu. Początkowo Franklin podzielił cały swój majątek między synagogę Beth-El, miejscowy meczet i kościół świętego Piotra. Tobie nie zostawił nic. Tydzień przed śmiercią dodał kodycył, w którym wyliczył swoje niedokończone sprawy, i zapisał ci swoją kancelarię w Savannah.

- Wiesz może, dlaczego zmienił zdanie? Dlaczego uwzględnił mnie w testamencie?

- Nie mam pojęcia. Ale gdy poszedłem do niego po podpis, zapytałem go.

- I co on na to?

Ojciec wzruszył ramionami.

- Powiedział: „Z ratuszem nie wygrasz”.

Sasza zwrócił ślepią w jej stronę. Bree wybuchła śmiechem, i to na tyle zaraźliwym, że dołączył się do niego Royal.

- Rozumiesz, co miał na myśli? - zapytał.

- O Boże. Obawiam się, że tak. - Bree zaczęła grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki, ale nie znalazła, przyjęła więc chustkę od ojca. - Ech, chciałabym poznać go lepiej, zanim umarł. Chciałabym mu zadać kilka pytań.

Nawet więcej niż kilka. - Na chwilę zamknęła oczy, żeby powstrzymać nagły przypływ smutku. - Przede wszystkim o to, dlaczego nie chciał mieć córki.

Royal spojrzał na nią z taką miłością, że Bree rzuciła mu się w ramiona i przytuliła się do niego.

- Choć dzięki temu spotkało mnie największe szczęście, jakiego można życzyć dziewczynie.

Ojciec skinął głową. Nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Swoją drogą - dodała pogodnie - nie musisz sobie tym zawracać głowy, tato. Na przykład tą listą klientów. Zrobiłam już dla nich wszystko, co mogłam, czyli wysłałam listy z informacją, że przejmuję praktykę Franklina. - W tym momencie przeszło ją nagle, straszne pytanie, jakich to klientów mógł mieć Franklin. Z drżeniem odrzuciła je od siebie. Będzie się tym martwić, kiedy już zamknie sprawę Skinnera. - Przydałoby mi się trochę informacji na ich temat.

- No, z pewnością.

- Więc jeśli zostały po nim jakieś papiery, cokolwiek, chciałabym to zobaczyć.

- Obawiam się, że nie zostało nic. Wiesz, że w przeddzień jego śmierci w kancelarii był pożar.

- Tak - odparła Bree. - Wiedziałam o tym.

- Wszystkie jego papiery spłonęły.

- Ani jednego zdjęcia... - podpowiedziała Bree z niepokojem.

- Zdjęcia Leah? Nie, nie przypominam sobie. - Royal zamyślił się na chwilę. - Właściwie to nigdy jej nie widziałem na żadnym zdjęciu. Ani gdy jeszcze żyła, ani po jej śmierci. Dziwaczne.

Sasza poderwał się jak naelektryzowany i zaczął szczeekać.

- Co jest, do diabła? - spytał ojciec.

Bree spojrzała na uszy Saszy, które ochoczo wychyliły się do przodu. Było to raczej powitalne szczeekanie.

- To pewnie Antonia.

Trzasnęły frontowe drzwi.

- Antonia! Wróciłaś! - Wrzasnęła Francesca. Antonia odwrzasnęła. Bree pozbierała się z sofy. - Muszę wracać do biura. Wysłałam asystenta, żeby sprawdził finanse Island Dream. Mam nadzieję, że wygrzebał już coś ciekawego.

Ojciec rzucił ponure spojrzenie w stronę kuchni, gdzie Antonia trąkotała najgłośniejszym, jak umiała. Francesca stopniowo podnosiła głos, żeby dojść do słowa.

- Nie przypuszczam... Bree pocałowała go w czoło.
 - Wróć za parę godzin. Pójdziemy do Mansion wszyscy razem, tak? - Zawahała się i przygryzła wargę. - Zresztą chcę pobyć przez chwilę sama. Muszę pomyśleć.
 - Bree? Poszłaś już, skarbie? - zawołała Francesca. Wypadła z kuchni z kopertą w dłoni. Za nią weszła ze spuszczoną głową Antonia. - Tonią, zaczekaj chwileczkę! - powiedziała Francesca z nagłym rozdrażnieniem. - Masz natychmiast iść do sypialni i przymierzyć tę śliczną sukienkę, którą ci kupiłam. Wszyscy musimy ładnie wyglądać na przyjęciu Bree. No idź już, idź!
 Antonia dramatycznie przewróciła oczyma w stronę siostry, ucałowała matkę i dumnym krokiem wyszła z salonu.
 - Zobacz! - powiedziała Francesca konspiracyjnym szeptem. - Twoja siostra nie musi jeszcze o niczym wiedzieć. Chcę ci coś pokazać. - Wyglądziła kopertę między palcami. - Leah nie lubiła robić sobie zdjęć, ale kiedyś mi się udało ją sfotografować, dokładnie tutaj, na pikniku. Nie mówiłam o tym nawet twojemu ojcu. Trzymałam to zdjęcie w szufladzie z rupieciami - razem z tym.
 Matka wzięła Bree za rękę i włożyła jej w dłoń naszyjnik z wisiorkiem. Był zimny i ciężki. Bree spojrzała na niego. Łańcuszek był krótki, miał jakieś osiemnaście cali, i był wykonany z pięknych złotych ogniwek. Wisior był mały, długi może na cal i na pół cala szeroki.
 Był to talizman. Przedstawiał parę skrzydeł obejmującą szalki wagi Temidy.
 - Ach, skarbie - powiedziała Francesca. Poglądziła Bree po włosach i wręczyła jej kopertę. - Jeszcze to. Bree otworzyła kopertę. Zdjęcie było zrudziałe ze starości. Leah siedziała na kamiennym murku tuż obok rezydencji Beaufortów. Bree poznałaby ją nawet na końcu świata.
 Leah była ową bladooką, ciemnowłosą kobietą z jej koszmaru, ze Wzlotu kormorana.

Nie rozgniewała się ani nie zmartwiła. Coś ją czekało. Był już czas przekonać się co.

Dwadzieścia jeden

*Tous pour un,
 Un pour tous.*

Alexandre Dumas, Trzej muszkietierowie

Niebo było zaciągnięte chmurami, ale deszcz już nie padał. Bree wzięła płaszcz przeciwdeszczowy, zostawiła Saszę w domu i poszła do biura, nieustannie obracając w myślach rodzicielską rewelację. Musiała się zobaczyć z profesorem Cianquino. Uzmysłował jej kiedyś bardzo ważną rzecz: że będzie w stanie poznać rzeczywistość dopiero wówczas, gdy sama jej doświadczy. Doświadczała jej właśnie teraz i nie miała pojęcia, kim jest ani co robi.

Przebiegła przez West Bay Street, skręciła w Houston i bez zdziwienia zobaczyła u swego boku Gabriela Strikera.

- Ty - powiedziała.
 - Zgadza się - przytaknął.

Zatrzymała się na środku chodnika. Właściwie jeszcze nigdy mu się dokładnie nie przyjrzała. Skórę miał gładką i opaloną, jak gdyby przez długi czas wystawiał ją na dobroczynne promienie słońca. Tu, na Houston Street, w samym środku starego, ale rzeczywistego miasta, jego oczy miały barwę czystej, niezmażonej szarości. Przyszło jej do głowy, że porusza się jak tancerz, a może jak bokser, choć nie miała wielkiego pojęcia o boksie. Miał proporcjonalną, doskonałą sylwetkę, mimo silnie umięśnionej piersi i ramion. Jego specyficzną grą zamykało w sobie jedno słowo: równowaga; miało się wrażenie, że pod wpływem najdrobniejszego impulsu Striker gotów jest natychmiast przemieścić się w każdym możliwym kierunku.

I wukrotnic ją odszukał. Ona znalazła go raz. Zawsze, gdy się przy mnie pojawiał - powiedziała I - robiłeś to, by chronić mnie przed napaścią. - Zamyśliła j się na chwilę, a potem dodała: - Albo po to, żeby ktoś nie | oberwał ode mnie. |

Striker uśmiechnął się. i

- Zatem wiesz już trochę więcej. |

- Wciąż wiem za mało - odparowała. - Znałam stryja | Franklina; tak mi się przynajmniej zdawało. I nie miałam pojęcia, że moją mat... - ugryzła się w język i dokończyła:

- Nie miałam pojęcia o Leah.

Talizman miała zapięty na szyi. Czują na skórze jego chłód i nieproporcjonalny ciężar.

Striker nie odezwał się ani słowem, szedł tylko u jej boku swobodnym krokiem wojownika. Skręcili w Angelus Street i zbliżali się już do cmentarza. Liście magnolii zawirowały jej pod stopami. Niebo zaciągało się wściekłą nawałą czarnych chmur. Zerwał się wicher. Lunęły potężne strugi deszczu, jak gdyby ktoś w niebiosach odkręcił gigantyczny kurek.

Dom dzielnie opierał się uderzeniom nawałnicy. Jedną ręką Bree osłoniła oczy przed deszczem i puściła się biegiem. Wpadła wprost na szerokie plecy Gabriela.

- Stań za mną.

Był to głos Gabriela. I nie Gabriela. Wybrzmiawszy, przerodził się w potężny, pozbawiony echa dźwięk, który bez reszty wypełnił jej głowę. Zagłuszył nawet szum wichru i deszczu. Bree zasłoniła uszy i na dłuższą chwilę zamknęła oczy.

- Nie ruszaj się.

- Przemoknę do suchej nitki - zaprotestowała. Zrobiła krok, żeby go ominąć, i cofnęła się z krzykiem. Z grobu pod dębem wylewał się wąski, wartki strumień światła koloru ropnej żółci. Tak jak w sobotę, rzeka unosiła się w górę węzowymi skrętami. Bree wpatrywała się w nią, zdjęta 262 grozą, która pochodziła spoza jej umysłu i ducha.

- Co? - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Co to...?

- Uciekaj! - Gabriel popchnął ją zdecydowanym ruchem, aż się zachwiała. Minął ją pędem i stanął naprzeciw żółtego światła i olbrzymiej rogatej postaci, która w ślad za światłem powoli formowała się pod drzewem.

Gabriel zdawał się rosnąć i wkrótce rzeka światła wraz z towarzyszącym jej upiorem zniknęła Bree z oczu, zasłonięta przez jego białą, lśniącą sylwetkę.

- Bree!

Chwiejnym krokiem ruszyła w stronę źródła głosu. Wołali ją Ron, Lavinia i Petru.

- Bree!

Zawołali ją ponownie, a potem jeszcze raz, i jeszcze, dopóki nie wpadła przez drzwi wejściowe do środka i nie znalazła się, bezpieczna, w korytarzu. Ron zatrzasnął za nią drzwi.

- Aleś ty zmokła - cmoknęła Lavinia. - Chodź do łazienki, dziecińko, wysuszę cię ździebko.

Bree delikatnie odsunęła od siebie jej ręce i ruszyła ku drzwiom. Na drodze stanął jej Petru z rękoma złożonymi na piersi. Bree zbliżała się do niego, dopóki jej oczy nie znalazły się o kilka cali od jej twarzy.

- Petru, natychmiast mnie przepuść.

- Striker sobie poradzi - powiedział Ron. - No chodź-że. Lavinia ma rację. Nowa klientka nie może cię zobaczyć z mokrą twarzą.

Bree nie zwracała na nich uwagi.

- Petru!

Petru przechylił głowę, jakby nasłuchując. W końcu skinął z zadowoleniem, otworzył drzwi i odsunął się na bok. Bree wybiegła na ganek. Deszcz lał ciepłymi, grubymi falami. Rzeka ohydneho światła zniknęła. Dąb był ledwie widoczny za zasłoną deszczu, ale widać było, że nikt już się tam nie czai.

Nie było też Gabriela.

Bree obróciła się na pięcie i weszła do domu.

-Co tam się wydarzyło? - spojrzała na nich po kolei. - Pracujecie dla mnie, czyż nie? Towarzystwo Prawnicze Beaufort i Spółka - to moje nazwisko jest na drzwiach...

-O mój Boże, święta prawda - mruknął Ron. - Na śmierć zapomniałem o tej tabliczce. Niech ktoś mi o tym przypomni...

-...więc wyjaśnijcie mi to, do diabła!

-Naturalnie - Petru skinął głową. - To naturalne, że chcesz wiedzieć. Było to coś w rodzaju...

-Sprzeciwu - podsunął Ron.

Petru z aprobatą zastukał laską w podłogę.

-Otóż to. Pyszne słowo. Sprzeciwu wobec otwarcia twojej kancelarii.

Bree wołała nie pytać, kto wnosil ten sprzeciw. Domyślała się.

- A więc wsadzamy kij w mrowisko, tak? - powiedziała.

- Czy to dobrze?

Petru bezradnie rozłożył ręce.

- Jesteśmy przekonani, że właśnie dlatego dręczono cię bardziej niż zazwyczaj. Choćby przez tego Pendergasta - Kusiciela, najprzebieglejszego ze wszystkich. I przez tego rogatego - Metatrona.

Wśród członków towarzystwa zapadło krótkie, zimne milczenie.

Petru, który wydawał się pogrążony we własnych myślach, westchnął i oprzytomniał.

- Tak, prześladowały cię Piekielne Psy. Po rosyjsku to też byłaby aliteracja. Prześladowały - powtórzył z niejakim zadowoleniem. - Pyszne słowo.

Bree wzruszyła ramionami.

- Pod warunkiem, że to nie ty jesteś ofiarą. - Mimowolnie zerknęła ponad jego ramieniem. - Gabe'owi chyba nic się nie stało? Może byśmy go poszukali? Nie jest... no... ranny?

Obfity brzusek Petru aż zatrząsł się od śmiechu. 264

- Gabriel? Zraniony przez to coś? Nic ma takiej możliwości.

- To mało prawdopodobne - powiedział Ron. - Za to ty, dziecińko, nie jesteś aż tak odporna. Na przyszłość lepiej uważaj, dobrze?

Bree ruszyła w stronę salonu służącego jako poczekalnia.

- Ale dlaczego to się stało teraz? Chodzi o moje przyjęcie? Nie chcę, żeby się odbyło?

- Przyjęcie? - spytał Ron. - Och, nie, skąd! Co ich to obchodzi? To doczesna rzecz, nie ma z nimi nic wspólnego. To znaczy wiesz, mnie to obchodzi, bo po prostu lubię przyjęcia. No i - zreflektował się po chwili - lubię twoją matkę.

- Którą? - nonszalancko spytała Bree.

- O, powiedzieli ci - odezwała się Lavinia. - Rychło w czas. Leah by tego chciała, oj, chciałaby. Spoglądali na nią ciepłym i przyjaznym wzrokiem.

- Znaliście moją matkę? - spytała Bree. Petru zachichotał.

- George napisał o niej, że miała twarz, dla której tysiąc okrętów wypłynęło w morze. Podobnie jak ty, Bree. George? George Gordon Byron? Mówienie o niezujących od dawna poetach jak o dobrych znajomych było charakterystycznym dziwactwem Petru. Może rzeczywiście ich znał? Chyba jednak nie byłby w stanie poznać ich wszystkich.

- Była też tak samo dzielna, jak ty - dodała Lavinia.

- Bardzośmy za nią tęsknili, dopóki się nie zjawiłaś.

- Ale dlaczego... - Bree urwała i zaczęła jeszcze raz:

- Co to wszystko ma znaczyć? Kim ja właściwie jestem? Kim wy jesteście?

Petru uśmiechnął się życzliwie.

- Jesteśmy aniołami, członkami Towarzystwa pod doczesnym przywództwem. Naszą przywódczynią jesteś teraz ty. W przeszłości była nią Leah. A w przyszłości będzie nią twoja córka.

-Aniołami - powtórzyła Bree. A potem dodała: - Moja córka?

-Zakładając, że wszystko pójdzie zgodnie z planem - powiedziała Lavinia. - Nigdy nie wiadomo.

- Racja - rzekła Bree.

-O to już my będziemy się martwić - Lavinia wyciągnęła kciuk w stronę wyjścia.

- Racja - rzekła Bree.

-Będziesz miała czas, żeby sobie to wszystko poukładać - dobrotliwie powiedział Petru. - Tyle czasu, ile tylko będzie ci potrzeba. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nawet całą wieczność.

Nagle Bree poczuła, że nie chce już ich słuchać. Miała dość. Dowiedziała się zbyt wielu rzeczy w zbyt krótkim czasie. W tej chwili nie była w stanie zrobić nic więcej, jak tylko przyjrzeć się otaczającym ją twarzom członków jej towarzystwa.

- Dostyc tego! - Ron przerwał ciszę kłaśnięciem w dłoń. - Tyle roboty, a my tracimy czas. Musimy bronić naszego klienta. A oto najnowsze wieści! - powiedział wesoło. - Petru przekopał się przez finanse Island Dream. Nasz pan Fairchild ma długi w całej Georgii, a nawet trochę w Karolinie Południowej.

- O, naprawdę? - spytała Bree z najwyższym zainteresowaniem. - Wiecie mniej więcej, na jaką sumę?

- Na dwadzieścia milionów - odparł Ron. - Kosztowało to trochę zachodu, ale zdobyłem dla ciebie listę głównych wierzycieli. Swoją drogą biedny pan Skinner również miał kłopoty - jako jego poręczyciel.

- Czy któryś z wierzycieli wyróżnia się jakoś szczególnie?

- Oczywiście Montifiore. Fairchild wisiał mu mnóstwo forsy. - Ron poruszył brwiami. - Z Montifiorem wiąże się jeszcze jedna ciekawa sprawa. Kilka jego ostatnich inwestycji było na jakiś czas zamykanych przez inspektorów budowlanych. Nie udało mi się ustalić, co się za tym kryło, 266 ale wszystko wskazuje na to, że miał naprawdę poważne kłopoty.

- A to ciekawe - powiedziała Bree w zamyśleniu. Nagle zdała sobie sprawę, że Lavinia ciągnie ją za rękaw. - Och, przepraszam, Lavinio. Czyżbym o czymś zapomniała?

- Tylko o mojej biednej siostrzenicy. Jeśli pozwolicie... trochę już tam czeka.

- O kurczę - powiedział Ron. - Zupełnie o niej zapomniałem. Czeka w twoim pokoju, Bree.

- Siostrzenica Lavinii czeka w moim pokoju? - spytała Bree.

- Nowa klientka. - Ron delikatnie popchnął ją w stronę pokoju przyjęć, otworzył drzwi i wprowadził ją do środka. - Interes się kręci! - uśmiechnął się promiennie. Wycofał się i zostawił Bree sam na sam z roslą Murzynką o znajomej twarzy. Kobieta siedziała w wytartym skórzanym fotelu, z torebką starannie złożoną na kolanach.

Bree wyciągnęła rękę.

- Witam panią. Nazywam się Bree Beaufort, ale o tym pewnie już pani wie. Chyba już się znamy. Spotkałyśmy się u Liz Overshaw, prawda? Pomagała jej pani w prowadzeniu domu. Pani Mather, zgadza się?

- Elphine Mather. Chodzi o Rebusa Kingsleya, mojego krewniaka, a przeze mnie też krewniaka Lavinii. Jestem siostrzenicą Lavinii. Tak to wygląda.

Rebus Kingsley. Nazwisko brzmiało dziwnie znajomo. Bree zmarszczyła brwi i zasiadła za biurkiem.

- Czym mogę pani służyć?

- To syn mojego męża. Mój pasierb. Bree skinęła głową.

- Rebus Kingsley?

- Słyszała pani, jak okręgowy inspektor budowlany spadł z dachu i się zabił?

- Nie, obawiam się, że nie. - Bree zamyśliła się przez chwilę. - Chwileczkę. Tak, było coś o tym w wiadomościach. Urzędniku, który zginął na służbie. - Spojrzała

z troską na Elphine. - To pani pasierb? Był inspektorem \ budowlanym hrabstwa Chatham?

- Zgadza się. Ale to było morderstwo. Przynajmniej ciągle mi tak gada. - Elphine wydała z siebie głębokie westchnienie, w którym pobrzmiwała odrobina irytacji.

- Powiem pani z ręką na sercu: ten chłopak już za życia | był moim utrapieniem, a jeszcze gorszym utrapieniem jest teraz, jak już nie żyje.

Bree z trudem przełknęła ślinę.

- Jednym słowem nawiedza panią.

No proszę. Powiedziała to. I wcale nie brzmiało to już dziwacznie. Brzmiało niemal... rutynowo.

- Ot, i taka to sprawa, panno Beaufort. On twierdzi, że został zamordowany. Że nie spocznie, dopóki na tym cmentarzu koło domu nie znajdzie się kolejny grób.

Na jedynym cmentarzu morderców w Georgii. To oczywiste.

Bree zakręciło się w głowie. I to raczej nie z powodu wczorajszego uderzenia w głowę. Z głową wszystko było w porządku. Problem w tym, że jej kancelaria była ulokowana na środku cmentarza morderców. I to nie przez przypadek. Tego akurat była pewna.

- Panno Beaufort?

- Przepraszam, pani Mather - powiedziała Bree. - Zatem chciałaby pani, żeby Towarzystwo Prawnicze Beaufort i Spółka znalazło mordercę pani pasierba i zapewniło mu spoczynek.

- Ja nie wiem, czy to wystarczy - powiedziała pani Mather. - Chłopak musi odpokutować za całą masę grzechów i ma nadzieję, że może zechciałaby pani go bronić, tak jak pana Skinnera.

Bree nie miała najmniejszego pojęcia, jakim wynikiem zakończy się sprawa Skinnera, mogła więc odpowiedzieć jedynie wieloznacznym:

- Hmm.

- Nie dowiemy się, dopóki pani z nim nie porozmawia. 268

- Tak - odparła Bree. Znów zajęło jej chwilę, zanim przełknęła ślinę, po czym rzekła: - Oczywiście. Myślę, że zaprowadzi mnie pani do niego?

- Panno Beaufort, ja już nie chcę widzieć tego chłopaka na oczy. - Pani Mather wywinęła wargi w szerokim uśmiechu. - Znajdzie go pani sama, tak jak pani znalazła pana Skinnera. Ja chcę się tylko porządnie wyspać.

- Tak - powiedziała Bree. - To zwykły problem naszych klientów. Nieszczęsne konsekwencje pośmiertnych odwiedzin. Zrobimy, co będzie w naszej mocy.

- Mogę pani od razu wypisać czek - pani Mather pospiesznie pogrzebała w torebce i wyciągnęła książeczkę czekową. - Zechce pani wymienić sumę?

- No cóż, to trochę sprawa grzecznościowa - powiedziała Bree. - Lavinia, to znaczy pani ciotka, jest członkiem naszego towarzystwa. Nawet nie jestem pewna, czy powinnam...

- Elphine! - zza drzwi dobiegł głośny i wyraźny głos Lavinii. - Wypisz tej dziewczynie czek na pięćset dolarów. Nawet nie próbuj jej wykorzystywać.

Elphine wypisała czek. Bree przyjęła go z podziękowaniem.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, pani Mather. - Spojrzała na zegarek. Przyjęcie miało się zacząć za pół godziny. - Czy może mi pani powiedzieć, gdzie zginął pani pasierb? Pojadę tam porozm... no... znaczy się, pojadę tam jutro z samego rana.

- To żadna tajemnica, panno Beaufort. W apartamentach pana Skinnera. Tych, co je nazywają Island Dream.

Dwadzieścia dwa

Chcąc niepewności przekroczyć granicę, Sumienie króla w teatrze pochwyce.

William Shakespeare, Hamlet t tłum. Maciej Słomczyński

- i kto by pomyślał, że nagle tak cudownie się wypogodzi!

Francesca była w swoim żywiole. Ubrana w dyskretnie elegancki kostium z błękitnego szantungu, ze sznurem rodowych pereł na szyi, aż mruczała z zadowolenia. Mrugnęła do Bree.

- Ach, ten twój lśniący czerwony atłas, skarbie - wyglądasz w nim jak królowa. A menu? Szef kuchni zasługuje na całe pięć gwiazdek, co do jednej. Jedzenie jest wspaniałe.

Restauracja 700 Drayton była częścią rezydencji Mansion w Forsyth Park i trzeba przyznać, że Francesca dokonała dobrego wyboru. Na drugim piętrze znajdował się szereg mniejszych sal, idealnych do zapoznania Bree z przedstawicielami miejscowego środowiska prawniczego. Ściany były pomalowane na ciemny bakłażanowy kolor. Żyrandole mieniły się różnymi odcieniami czerwieni i złota, a na oknach wisiały zasłony ze srebrnej lamy. Wszystko razem nie powinno było do siebie pasować, a jednak pasowało.

Francesca szturchnęła Bree w bok.

- Słuchaj, kim jest ten przystojniak, co tak energicznie rozprawia z twoją siostrą? Wygląda wielkomięsko, to chyba jakiś prawnik z dużej firmy z Atlanty.

Bree wyciągnęła szyję. Antonia, ubrana we wspaniałą czarną koktajlową sukienkę bez pleców i z głęboko wcię- tym przodem, pogrążona była w bliskiej rozmowie z oszalamiająco przystojnym długowłosym mężczyzną w czarnej skórzanej marynarce.

- Przykro mi, mam, to aktor. Gwiazda telewizji Sa-vannah. Poznałam go, kiedy go tu ciągnęła. Słodziutki, ale biedny jak mysz kościelna.

- Mogłam się domyślić - sarknęła matka. - Jak to się dzieje, że wszyscy przystojni faceci są bez grosza?

- Tata też był bez grosza, gdy za niego wychodziłaś

- przypomniała jej Bree. - Nie znoszę ci o tym przypominać, mam, ale to ty wniosłaś majątek do waszego związku.

- Być bez grosza to nie zawsze znaczy to samo - mruknęła Francesca. - Twój tatuś miał perspektywy.

Bree krążyła po sali i czuła się jak obrany ziemniak na rozgrzanej blasze. John Stubblefield wodził rej przy małym mahoniowym barze. Swoimi szarymi oczkami od czasu do czasu wyluskiwał ją z tłumu gości. Payton przyczał się u jego boku. Zwracała uwagę nieobecność Douglasa Fairchilda; Hunter zdecydował się oskarżyć go o utrudnianie śledztwa i Fairchild albo jego żona postanowili, że nie będą pokazywać się publicznie, aby uniknąć plotek. Zła atmosfera wokół nich i tak nie powinna trwać długo

- społeczność Savannah była w stanie wybaczyć niemal wszystko, może z wyjątkiem morderstwa. Bree przyjęła kondolencje od znajomego Franklina, sędziego i starszego wspólnika w jednej z miejscowych firm rachunkowych, wymanewrowała wścibskie dociekania wspólnej znajomej na temat Jennifer Skinner i uchyliła się od odpowiedzi na pytania o obecną lokalizację jej kancelarii.

- Przeprowadzisz się do starego biura Franklina, kiedy tylko skończy się remont; o ile oczywiście zamierzasz zostać w Savannah - powiedział Royal, gdy znaleźli chwilę spokoju. - Ta Angelus Street jest zupełnie nie po drodze. Mówiłem już ludziom, że to tymczasowy adres.

- Mogę dzielić czas między dwa biura - powiedziała Bree z rozmyślną dwuznacznością. - Widziałam Carltona Montifiore.

Ojciec był wysoki, więc z łatwością wypatrzył Carltona ponad głowami gości.

- Rzeczywiście, przyszedł. Starzy koledzy Franklina nie zawiedli. Ten lokal aż kipi od pieniędzy i wpływów.

- Wybacz, tato, muszę się przywitać.

Bree ruszyła wężym przez tłum gości w stronę Carltona. Montifiore stał oparty plecami o ścianę. Szara sportowa marynarka ciasno opinała jego szerokie barki. Krawat miał rozluźniony. Bez uśmiechu obserwował zbliżającą się Bree. Odprężony i wesoły przewodnik po biurowcu Pyramid zniknął bez śladu; w tłumie ludzi na przyjęciu Carlton wydawał się spięty i zły.

- Czy mogę ci czymś służyć, Carlo? - spytała uprzejmie. - Mam nadzieję, że się dobrze bawisz.

- Stubblefield mówi, że to ty uziemiłaś Douga Fairchilda.

- Na to wygląda.

Montifiore uśmiechnął się, przełożył do lewej ręki szklanekę z manhattanem, a prawą chwycił ją za ramię w geście powinszowania. Uścisk był mocny. Bree z irytacją strząsnęła z siebie jego dłoń.

- Bardzo mnie to cieszy. Dougowi już od dawna należała się porządna nauczka.

- Uważasz, że czuł się zbyt ważny? - spytała Bree.

- Powiedzmy, że pożyczął więcej, niż był w stanie oddać.

- Twoja firma jest jego głównym wierzycielem - zauważyła Bree. - To musi być dla ciebie kłopotliwe. Poza tym - dodała w myślach - zełgałeś w żywe oczy. Pieniądze zawsze się znajdują, co? Dobrze sobie.

Montifioremu pociemniał wzrok, ale odpowiedział pogodnie:

- Och, prędzej czy później dostaniemy, co nasze. Nie martw się o nas.

Bree była pewna, że to banki martwią się o Carla. Matka obdarłaby ją jednak żywcem ze skóry, gdyby na przyjęciu wdała się w zawodową sprzeczkę, zakończyła więc słowami:

- Może powinniśmy o tym porozmawiać, Carlo. Montifiore zeszytniał, zmierzył ją wrogim spojrzeniem i obrócił się na pięcie, żeby odejść.

Ktoś zastukał widelcem w kieliszek. Głośne „dzyń” wzbilo się ponad gwar rozmów i wszyscy przycichli, a potem umilkli. Kelnerzy zaczęli krążyć wśród gości z szampanem. Bree odwróciła się i zobaczyła uśmiechniętych rodziców stojących ręką w rękę przy stole z zakąskami. Royal odchrząknął, uniósł kieliszek i powiedział:

- Bree? Podejź tu, skarbie.

Bree skinęła głową Carltonowi Montifiore i precyzyjnie się na honorowe miejsce. Ojciec chwycił jej dłoń i objął ją ramieniem.

- Chciałbym was serdecznie powitać na tej uroczystości. Dla mnie i Franceski to naprawdę szczęśliwy dzień. Nasza starsza córka przejęła wodze po Franklinie i tu, w Savannah, rozpoczęła nowe życie i nową karierę. Razem z moją rodziną chciałbym wam wszystkim podziękować, że jesteście tu z nami. Piję zdrowie was wszystkich. - Wzniósł do góry kieliszek. -1 za dobrą praktykę prawną w Georgii!

- Za prawo! - wszyscy poszli jego śladem i wypili.

Francesca z przejściem odwróciła się w stronę olbrzymiego tortu zajmującego środek stołu. Ron przeszedł samego siebie. Tort był miniaturową repliką budynku sądu w Savannah przy Montgomery Street. Nagle szyby w oknach zadźwięczały od porywu wiatru i Francesca, która właśnie zatopiła w torcie nóż, dramatycznie zadrżała.

A potem tort zapadł się z jednej strony, osunął powolnym ruchem i przewrócił na bok. Francesca odwróciła się do wszystkich z udawaną rozpaczą i wybuchła śmiechem.

- No, siostrzyczko! - zawołała Antonia. - Mam nadzieję, że prawo w stanie Georgia stoi na mocniejszych fundamentach!

Bree odwróciła się, żeby zgromić wzrokiem swoją niesforną siostrę. Carlton Montifiore pochwyił jej spojrzenie i wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu. Oczy zalśniły mu złośliwie.

Bree zamarała jak rażona gromem. Fundamenty. W tamtym momencie, kiedy ktoś uderzył ją w głowę, klęczała przy ścianie garażu, czyli przy fundamentach. W jednej ręce trzymała foliowy woreczek, a druga manipulowała ! przy ścianie. Jak gdyby usiłowała pobrać próbki betonu.

Głowę wypełniły jej szepty, ciche i niewyraźne jak głos w źle dostrojonym radiu. Ich szum narastał, a potem ucichł.

...morderstwo...

Otrząsnęła się z tych zboliałych głosów. Fakty. Logika. Racjonalna analiza. Tego uczył ją profesor Cianuino i to właśnie musiała teraz zaprząć do pracy:

Inspektor budowlany został zabity.

Skinner desperacko próbował wycofać się z czegoś, co wyglądało na wyjątkowo lukratywny interes. Zdążył już poczynić pewne kroki w kierunku zatrzymania całej inwestycji.

Fairchild był w poważnych tarapatach finansowych.

Montifiore już wcześniej miał problemy z inspektorami budowlanymi.

Bree niespecjalnie się znała na sprawach budowlanych, ale wiedziała, że spełnienie nowych wymogów zabezpieczających przed huraganami było dla inwestorów rujnująco kosztowne. Zwiększając proporcje piasku w betonie, z którego budowane były fundamenty, można było zaoszczędzić setki tysięcy dolarów; kolejne tysiące - zmniejszając o połowę ilość zbrojenia w ścianach. Może nawet więcej niż o połowę.

Bree odstawiała kieliszek na stół i ruszyła w kierunku Montifiore'a. Ten odwrócił się tyłem i zaczął się przeciskać 274 przez tłum. Bree ruszyła jego śladem, aż nagle stanęła jak wryta. Szepty wokół niej wzbierały, aż przerodziły się w umęczony krzyk: Ratuj ją... ratuj ją... ratuj ją...

Poryw wichru uderzył w Mansion, a szyby zadźwięczały od smagnięcia deszczu.

Bree przeszło nagle olśnienie.

Trzeba wyciągnąć Chastity McFarland z Island Dream, zanim Wyspiarski Sen zmieni się w wyspiarski koszmar.

- Jesteś pewna tego, co mówisz? - Sam Hunter prowadził samochód, pozornie nie zwracając uwagi na wściekłe porywy wiatru. Deszcz spływał po szybie niczym fale przyływu. Bree ledwo była w stanie dostrzec światła jadącego przed nimi samochodu pomocy drogowej.

- Szkoda, że nie widziałeś twarzy Montifiorego. Miał winę wypisaną na czole wielkimi literami.

Sam chrząknął z niezadowoleniem.

- Wyraz twarzy nie przejdzie jako dowód w żadnym nu dzie stanu Georgia. Może w Teksasie, ale nie tu.

- Bardzo śmieszne. Dowód będzie w samym budynku. Czy mógłbyś jechać szybciej? - Niecierpliwość Bree była podszyta poczuciem winy. Matka przyjęła nagle opus/ czenie przez nią własnego przyjęcia z właściwą sobie godnością, ale Bree była pewna, że później czeka ją za to niezłe kazanie.

- Lepiej, żebyś miała naprawdę diablo dobry powód, by w taką pogodę wyciągać w teren ekipę ratunkową. Culu wyspa została ewakuowana. Nie ma tam żywej duszy.

- Chastity ciągle tam jest - powiedziała z uporem Bree. - Dzwoniłam do niej. Mówiła, że nie opuści mieszkania, chyba że ją wyrzucą siłą, ale zanim zdążyłam ją ostrzec, że blok się zawali jak domek z kart, przerwało nam połączenie. Dziewczyna nie ma komórki, linie telefoniczne zerwane, a helikopter nie dotrze na wyspę przy takim wietrze. Musimy ją uratować.

* Nie masz żadnego dowodu na to, że coś jej grozi.

* Ten budynek nie wytrzyma takiego sztormu.

Sam skwitował to westchnieniem, w którym pobrzmiwało rozdrażnienie i irytacja.

-Co za partyzancka logika: żadnych faktów, tylko emocje. Jesteś prawniczką, może więc spróbowałabyś jednak spojrzeć na sprawę okiem prawnika?

-Zgoda! Niegłupia sugestia - odparła Bree z niecierpliwością. - Tylko że spośród wszystkich możliwych wyjaśnień żadne tak dobrze nie pasuje do faktów, jak to. Montifiore i Grainger Skinner spijali samą śmietankę z inwestycji Island Dream. A Montifiore starym, dobrym zwyczajem oszukiwał na jakości materiałów budowlanych.

-Potrafię sobie wyobrazić co najmniej dwa równie logiczne wyjaśnienia - odparł Sam. Z wprawą prowadził wóz przez narastające potoki wody.

-No, słucham? - spytała Bree po długiej chwili milczenia.

Sam zerknął na nią z uśmiechem.

- No dobra, przyznaję: nie umiem wymyślić nic, co by uwzględniało wszystkie fakty. Niech to szlag! - oboje mimowolnie pochylili głowy, gdy odłamany konar przeleciał obok drzwi po jego stronie. - A Chastity jest na tyle głupia...

- Chastity nie jest głupia - przerwała mu Bree. - Po prostu nikt nigdy nie dał jej szansy.

Sam wymamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak „już to kiedyś słyszałem”. Bree miała nadzieję, że się przesłyszała.

Koła zadudniły po metalowej powierzchni. Wjeżdżali na most. Bree spoglądała przez okno. Potężne fale rozbijały się o filary.

- Czy prognozy pogody mówiły coś o wysokości fal? Nie umiem ocenić na oko - przyznała.

- Przybój ma osiągnąć dwadzieścia stóp. Fala sztormowa szacowana jest na piętnaście. - Sam zerknął na zegarek. - Ma dotrzeć do brzegu za jakieś dwadzieścia minut.

Bree pochyliła się i próbowała przeniknąć wzrokiem ciemność. Nie widziała kompletnie nic. Westchnęła i oparła się na fotelu. W samochodzie Huntera panował straszny bałagan. Po podłodze walały się stare styropianowe kubki, zmięte papierowe saszetki po hamburgerach i puste butelki po wodzie. Czubkiem stopy odsunęła na bok puste pudełko po pączkach z Dunkin' Donuts.

- Czy Skinnerowie zaczęli mówić?

- Tylko przez swojego prawnika, tego parszywego sukinsyna Stubblefielda.

- Nie żartuj.

- Ich bajeczka wygląda tak: jeśli tatuś faktycznie był martwy, zanim jeszcze „Sea Mew” wypłynęła w morze - chociaż do niczego się nie przyznają - to tylko dlatego, że spanikowany Fairchild zadzwonił do nich z prośbą, by pomogli mu pozbyć się trupa. A jeśli czuli się zobowiązani pomóc staremu przyjacielowi rodziny, to tylko dlatego, że zagrożone były interesy ich wszystkich. Gdyby Skinnerowi udało się wycofać udziały z Island Dream - a jego nowi prawnicy mieli zamiar nad tym pracować, nawet po jego śmierci - Fairchild straciłby wszystko. Grainger nie chce przyznać, ile straciłby on sam, ale założył się, że sporo.

- To nie Fairchild zabił Skinera?

- Fairchild ma alibi. Grainger i Jenny też mają alibi. Ciało Skinera znalazł ten bałwan Tiptree - natychmiast zadzwonił do Fairchilda, a Fairchild zadzwonił do Graingera, bo miał go w tym momencie na wyciągnięcie ręki.

- Chyba nie podejrzewasz Calvina Tiptree.

- Nie. Zgoda, był w pobliżu w krytycznym momencie. Tylko aż do dziesiątej był zajęty sprzedażą mieszkań, sprawdziliśmy to. A telefon do Fairchilda wykonał dokładnie pięć minut i trzydzieści dwie sekundy po tym, jak się pożegnał z frajerami. Raport medyczny stwierdza, że jest wysoce nieprawdopodobne, by w ciągu pięciu minut zdążył zdzielić biedaka w głowę, wpompować mu słoną wodę do płuc i zaaranżować jego śmierć. Poza tym nie pasuje do profilu mordercy.

- Masz nosa do takich rzeczy, co? - spytała z przekąsem Bree. - Ja też mam. I dla mnie jest oczywiste, że zamordowanie Skinera to sprawa Montifiorego. Podobnie jak zabójstwo nieszczęsnego pasierba Elphine Mather.

- Czekaj - wyciągnął przed nią rękę na wysokości brzucha i ostro zahamował. Samochód wpadł w poślizg, obrócił się i stanął. - Przewrócone drzewo - powiedział krótko. Zgasił silnik, ale nie wyłączył reflektorów. Kierowca pomocy drogowej nie był na tyle szybki: wpakował się maską swojego samochodu w pień dębu wirginijskiego zwalonego w poprzek szosy. Przez grube smugi deszczu widać było migające awaryjne światła.

- Gdzie jesteśmy?

- Mniej więcej w połowie tylnego dojazdu do budynku. Widzisz? Jest jakieś ćwierć mili przed nami.

- Zdziwiłabym się, gdyby udało mi się zobaczyć własną rękę - odparła Bree. Owinęła się nieprzemakalnym płaszczem, wcisnęła na głowę przeciwdeszczowy kapelusz i przygotowała się do wyjścia z wozu.

- Hola - Sam chwycił ją za ramię. - Dokąd to?

- Jak to dokąd? Do budynku.

- Zwariowałaś?

Bree zmierzyła go wzrokiem. Sam spojrzał na nią z wyrzutem, potrząsnął głową i zaczął mamrotać pod nosem. Wciągnął jednak na siebie swój płaszcz przeciwdeszczowy i otworzył drzwi.

Przynajmniej nie jest zimno - pomyślała Bree. Powietrze było ciężkie i wilgotne, a deszcz wdzierał się wszędzie: za rękawy, za kołnierzyk, w oczy. Trzy postacie opatulone w gumowe stroje brodziły wokół ciężarówki, wyciągając gałęzie spod kół. Bree i Sam minęli ich i przeleźli przez pień. Raptem zelżał deszcz i zwolniły porywy wicheru. 278

Bree poczuła, że znów może oddychać. Pozostawiając za sobą migające czerwone światła, mogli już zobaczyć jakieś pół mili na wschód niewyraźne zarysy przystani. Wiele jachtów zabezpieczono przed sztormem, wyciągając je głęboko na ląd. Te, które zostały na wodzie, były zalewane przez fale.

Dokładnie na wprost Bree dostrzegła górujący nad przystanią zarys apartamentowca Island Dream. O dziwo działała elektryczność i budynek jarzył się światłami niczym wielki transatlantyk na nocnym oceanie. Nawet z tej odległości Bree widziała światła penthouse'u. Nagle Sam przyciągnął ją do siebie. - Popatrz tam - odezwał się ponurym głosem. - Nadchodzi sztormowa fala.

Potężna ściana wody wbiła się w głąb lądu. Przetoczyła się po jachtach, topiąc je aż po czubki masztów. Przetoczyła się po dokach i pirsach, wpadła na plażę i pędziła dalej przed siebie.

Bree mocno chwyciła Sama za rękę. Wodna ściana powoli pełzła przed siebie niczym leniwa bestia niewyobrażalnych rozmiarów. Z niszczycielską siłą wtoczyła się na ulicę. Szerokim frontem otoczyła budynek i chlusnęła o fundamenty. Śladem pierwszej ściany nadciągnęła druga i pniąc się wściekle, uderzyła w budynek.

Odpowiedziało jej potężne, głuche stęknienie. A potem z bolesną, śmiertelną powolnością wieżowiec przechylił się, zgiął i zaczął się przewracać.

Śmierć Island Dream była głośna. Pokrycie dachu runęło do morza. Miażdżone okna trysnęły w powietrze gradem odłamków szkła. Stalowe dźwigary jęczały, jak gdyby ktoś je wydzierał z głębi ziemi.

A potem zgasły wszystkie światła. W ciemnościach wciąż było słychać pomruk zniszczenia. Bree zadrżała, wstrząśnięta i zdjeta nagłym chłodem. Poczowała, że uginają się pod nią kolana, usiadła więc na pniu przewróconego drzewa.

- Za późno - powiedziała cicho. - Za późno. Tak mi przykro, panie Skinner. - Zaczęła szczekać zębami. Sam wyciągnął komórkę i zagadał do kogoś nagłym tonem. Potem wrzucił telefon z powrotem do kieszeni i pomógł jej wstać. - Chodź - powiedział łagodnie. - Wracajmy do samochodu.

Bree przycisnęła dłoń do oczu, po czym wyprostowała się gwałtownie.

- Biedaczka! - krzyknęła gwałtownie. - Nigdy, przenigdy sobie tego nie wybaczę! Sam, powinniśmy byli coś zrobić!
- Zrobiliśmy tyle, ile się dało - odezwał się głosem tak niskim i cichym, że niemal niesłyszalnym. - Zgłosiłem to. Lepiej wróćmy do samochodu, zanim znowu się rozpadą i zaczną wiać.

- Zaczekaj! - Bree pociągnęła go za rękaw. - Słyszałeś coś?

- Niby co?

Usłyszała to jeszcze raz: piskliwy, jakby koci krzyk. Wątlą nitkę dźwięku, ledwie słyszalną w narastającym wietrze.

- Nie słyszysz? To ona! Krzyczy „Zaczekajcie! Zaczekajcie!” - Bree złożyła dłoń w trąbkę i zawołała: - Tutaj!

- Zaczekajcie na mnie!

Chastity McFarland wynurzyła się z ciemności na miękkich nogach i rzuciła się Bree w ramiona.

- To było niesamowite! - Chastity, znów ubrana w t-shirt i dżinsy-biodrówki, była przemoczona do suchej nitki, co zdaniem Bree musiało zachęcić suszących ją ratowników do zdwojenia wysiłków. Dziewczyna siedziała z tyłu furgonetki, drżąc ze strachu i przejęcia. - To było niesamowite! - powtarzała. - Już byłam przygotowana, żeby przeczekać ten sztorm w środku i wiesz, co się stało? - Wpatrywała się w Bree swoimi wielkimi oczyma. Z wdzięcznym uśmiechem przyjęła od jednego z techników kubek gorącej herbaty i wypijała duży łyk.

Bree podejrzewała, że wie, ale spytała tylko:

- Coś sprawiło, że postanowiłaś uciekać? Chastity pochyliła się i szepnęła Bree prosto do ucha:

- Pojawił się Bennie! - Oparła się na siedzeniu i odgarnęła przemoczone włosy z twarzy. - Nie miałam nic do picia, nawet kropli wody. Byłam w takim szoku, że o mało nie umarłam.

- Ale nie bałaś się?

- Eee tam - Chastity wyszczerzyła się w uśmiechu. - Ja tam się tego starego piernika nie bałam - nawet jak jeszcze żył, a co dopiero teraz.

Rozejrzała się na boki. Sam był na zewnątrz, rzucał właśnie rozkazy do telefonu. Znow wiało i padało, technicy przygotowywali się do odjazdu. Chastity ściszyła głos:

- Powiedz mi, czy ja już zupełnie zbzikowałam?

- Myślę, że po prostu Bennie kochał cię na tyle mocno, że udało mu się przedostać z ciemności do naszego świata - powiedziała Bree. - Wierz mi, mężczyzny nie można prosić o więcej.

Dwadzieścia trzy

Sprawiedliwości pragniesz, więc bądź pewien, że jej otrzymasz więcej, niżli pragniesz.

William Shakespeare, Kupiec wenecki tłum. Maciej Słomczyński

-Wiesz, że Montifiore zniknął z miasta? - Bree rzuciła na biurko świeży numer „Savannah Daily”. Nagłówek głosił: Zniknięcie magnata budowlanego. Policja prowadzi poszukiwania w pięciu stanach. - Co za porażka.

-W rzeczy samej - przytaknął Ron. - Ale wygląda na to, że już niedługo możemy zamknąć sprawę Skinnera.

- Zamykam ją właśnie w tej chwili. - Bree ułożyła dokumenty dotyczące Benjaminą Skinnera w zgrabny stosik i umieściła je w skoroszytcie. Zamknęła skoroszyt i wręczyła Ronowi, który spojrział na niego z zakłopotaniem.

- Co mam z tym zrobić?

- Może odłóż do akt? - spytała Bree słodko. Rozparła się na obrotowym krześle i założyła nogi na biurko. - Sam Hunter jest przekonany, że prędzej czy później go złapią. Chciałabym mieć tyle wiary w sprawność policji. W tej chwili drań może już być w połowie drogi na Arubę.

Ron zamachał jej teczką przed oczyma.

- Nie zapomniałaś o czymś? Zbliża się termin naszej rozprawy.

Bree opuściła nogi na podłogę i wyprostowała się.

- Nie mam najmniejszego zamiaru cię pytać, co masz na myśli. Najmniejszego.

- Pamiętasz o tym, że pan Skinner jest naszym klientem? - spytał Ron. - Że ma mały problem? Że został 282 oskarżony o występki w postaci chciwości? Że wynajął nas jako swoich obrońców? Nie możemy go zostawić na pastwę losu, Bree. Czekają go ciężkie kary.

- No tak... - płątała się Bree - ale... - zamachała ręką - wydawało mi się, że już zrobiliśmy, co trzeba. Przecież znaleźliśmy mordercę. Oczyściliśmy go z zarzutu współudziału w kłęsce Island Dream. Wszystko widać jak na dłoni: Skinner próbował zatrzymać inwestycję, gdy tylko odkrył, że Montifiore używa gorszego betonu.

- Wszystko to ani trochę nie przekona wiesz-Kogo.

- Ron spojrzął na zegarek. - Nasza rozprawa zaczyna się za pół godziny. Masz chwilę czasu, żeby przejrzeć oświadczenia stron. - Otworzył teczkę, poszperał w papierach i wręczył Bree pozew i akt oskarżenia wraz z odpowiedziami. Jak można było się spodziewać, nagłówek brzmiał:

„Sąd Okręgowy Dziewiątej Sfery Dot. Sprawy: Niebiańska Sfera kontra Skinner”

- Petru wynotował wszystkie analogiczne pozwy. Na szczęście trochę się ich zebrało. Myślę, że naszą najlepszą bronią będzie precedens ze sprawy Niebiańska Sfera kontra Rockefeller z 1915 roku. Okazało się wtedy, że liczący przekazał sporą część swoich dochodów na całkiem znaczne cele. Oskarżyciel miał w ręku mocne dowody, ale sędzia ostatecznie przychylił się do argumentów obrony.

- Kto dziś zasiada? - słabym głosem spytała Bree. Ron przekartkował akta.

- Azreal. Hmm, nie znam go.

- Może to „ona” - nonszalancko podpowiedziała Bree.

- Aniołowie są bezpłciowi - powiedział Ron. - Jesteś gotowa?

- Dokąd...? - Bree odchrząknęła. - Dokąd idziemy?

- Do Sądu Hrabstwa Chatham - odparł Ron. - A gdzieżby indziej?

- A gdzieżby indziej. - powtórzyła Bree. Wcisnęła akta do teczki, poprawiła włosy i strzepnęła pyłek z zakietu. - Dobrze, że dziś się elegancko ubrałam. Mało brakowało, a włożyłabym dzinsy.

- W sądzie nosi się specjalną togę - powiedział Ron z naganą w głosie. - Lavinia skończyła ją dzisiaj w nocy. Mam ją w swojej teczce. - Zakotłował się na czubkach palców. - Wolisz jechać czy iść pieszo?

Bree spojrzała przez okno. Tropikalna burza minęła i całe Savannah aż lśniło po deszczu.

- Przejdźmy się.

Sąd mieścił się w olbrzymim, sześciopiętrowym, betonowym budynku na rogu Montgomery Street i Martin Luther King Boulevard. Otynkowany był na żółto i emanował nieokreśloną aurą dostojności, charakterystyczną dla siedzib miejskich instytucji. Bree i Ron przeszli przez bramki z wykrywaczem metalu i stanęli przed windami. Bree przejrzała białą tablicę z dzisiejszą wokandą: zatwierdzenie testamentu, sąd pokoju, nieletni, sprawa administracyjna... Żadnej Dziewiątej Sfery. Azreal nie figurował też na dziennej liście zasiadających sędziów.

Windy były zatłoczone. Bree wcisnęła się w kąt. Ron ulokował się przy tablicy z przyciskami i winda z szarpnięciem ruszyła do góry. Opróżniła się na szóstym piętrze.

I pojechała dalej.

- Siódme! - oznajmił wesoło Ron.

Hal nie różnił się niczym od korytarzy na niższych piętrach, poza jednym wyjątkiem: na ścianie nie było godła stanu Georgia. Jego miejsce zajmowało godło z napisem „Sąd Niebiańskiej Sfery”, przedstawiające szalki złotej wagi obejmowane przez parę pierzastych skrzydeł. W korytarzu nie było żywej duszy.

- Spokojny dzień - zauważył Ron. - Jesteśmy na miejscu. Nikt się tu nie kręci, więc nie musisz się przebierać w toalecie.

- Postawił teczkę na podłodze, otworzył ją i wyciągnął długą, aksamitną szatę. Była purpurowa, z przodu miała zakładki ozdobione złotą nitką.

- Lavinia jest w tym naprawdę dobra - powiedział Ron. Pomógł Bree się ubrać. Szata była bardzo podobna do togi, którą Bree miała na sobie podczas absolutorium; różniła się jedynie obszyciami. Bree pogładziła złotą nić. Na obu zakładkach wyszyte było dziewięć sfer zbiegających się na górze w jeden punkt.

Energicznie stukając obcasami, Ron poprowadził Bree wzdłuż korytarza i zatrzymał się przed misternie rzeźbionymi drewnianymi drzwiami. Na prawo od drzwi wisiała drewniana tabliczka z napisem:

SalaG Przewodniczący: Azreal

- Denerwuję się - szepnęła Bree.

- Też coś! - powiedział Ron. - Dasz sobie radę. Otworzył drzwi.

- Ty pierwsza.

Bree poprawiła togę, wygładziła włosy i weszła do środka.

- To wcale nie było takie straszne, jak się obawiałam - powiedziała Bree. Było jej lekko na duszy. Rażącym krokiem szli we dwójkę przez Montgomery Street. Powietrze po burzy było przejrzyste, a niebo olśniewająco błękitne.

- Jak ci się wydaje: czy przedstawiłam sprawę w odpowiednio ... - urwała, szukając właściwego słowa - zdecydowany sposób?

- Bezapelacyjnie - odparł Ron bez wahania.
- Myślałam, że będzie trochę bardziej dostojnie - zagadnęła po chwili Bree. - Myślałam, że w Sądzie Niebiańskim jest... sama nie wiem... może trochę więcej gładzenia.
- A po co gładzenie? - powiedział Ron, lekko zaskoczony. - To sąd niższej instancji, Bree. Drobniejsze przestępstwa, wykroczenia. Coś jakby sąd pokoju.
- Sąd pokoju! - Bree aż zatrzymała się z przerażenia. Chcesz powiedzieć, że byłam obrońcą w sprawie nie większej rangi niż jazda na gapę?
- Nie, skąd, oczywiście, że nie - Ron zaczął ją niezdarnie uspokajać. - To było coś znacznie poważniejszego. Ale nie zapominaj: duch pyszny poprzedza upadek.
- Jasne - mruknęła Bree, po czym powtórzyła do siebie gniewnym tonem: - Sąd pokoju.
- Na poważniejsze sprawy jeszcze przyjdzie czas.
- A co z orzeczeniem? Kiedy będzie wiadomo, czy Benjamin Skinner poszedł do... w inne miejsce niż to, w którym był do tej pory?
- Po powrocie do biura zajrzemy do Corpusu. Tam są zapisywane wyroki. Zatrzymali się przed małym domkiem przy Angelus Street.
- Szkoda, że pozwoliliśmy Montifioremu uciec - powiedziała Bree. - W tej sprawie też chciałabym usłyszeć wyrok. Nie cieszy mnie myśl, że facet fruwa sobie gdzieś na wolności. Zamordował dwie osoby. A jeśli nawet go złapią, nie jestem pewna, czy znajdzie się dość dowodów, żeby go skazać.
- Ron przechylił się przez żelazne ogrodzenie i skinął głową w stronę dębu.
- Nowy grób - powiedziała Bree z niepokojem. - i to pusty.
- Mam nadzieję, że nie na długo. Widzisz nagrobek? Oczywiście bez daty. Ale prędzej czy później znajdzie się lokator.

R. I. P.
 Carlton Montifiore
 Młyny Boże mielą powoli
 ale mielą dokładnie

Epilog

- Jak ci minął dzień?

Antonia leżała właśnie płasko na kanapie, unosiła nad głową obie nogi i opuszczała je z powrotem.

- Świetnie. - Bree postawiła aktówkę przy kominku, schyliła się, by pogłaskać Saszę i rzuciła się na fotel. - Ciekawie.
- Co ty powiesz? - Antonia nie przerywała ćwiczeń. Zaklinała się, że pomagają jej zachować płaski brzuch. - Rodzice wyjechali zaraz po tym, jak wyszłaś do biura. - Opuściła stopy na podłogę i usiadła. Twarz miała czerwoną od wysiłku. - Jak im powiedziałam, że zostaję z tobą, tyle brakowało do awantury - wyciągnęła palec wskazujący i kciuk rozwarte o włos.
- Cieszę się, że nie było wielkiego halo - powiedziała Bree.
- No więc co dziś robiłaś? Bree uśmiechnęła się.
- Wygrałam sprawę. Jestem bardzo zadowolona. Mój klient jest w siódmym niebie.
- Nie żartujesz? Gratulacje. Nie chciałabyś z tej okazji pójść do Shrimp Factory?
- Bree rozplatała warkocze i rozpuściła włosy.
- Chodźmy.

Uwagi o pochodzeniu aniołów

Kosmologia stworzona na potrzeby niniejszej książki nawiązuje do jedenasto- i dwunastowiecznej teologii. Był to szczególny moment w dziejach chrześcijaństwa. Pisma zachowane w europejskich klasztorach zaświadczenia, że krzyżowały się wówczas ze sobą wpływy trzech wielkich religii: chrześcijaństwa, judaizmu i islamu. Mnisi szczególnie upodobali sobie postacie aniołów - manuskrypty z tamtych czasów wypełnione są długimi listami anielskich imion.

Wielu aniołom przypisywano odpowiedzialność za zjawiska przyrodnicze, takie jak trzęsienia ziemi, deszcz, światło księżyca czy słońca. Postacie aniołów w niniejszej książce zostały zainspirowane również wątkami z kilku wielkich religii Chin. Jedną z nich jest buddyzm mahajana.